

BORIS

VIAN



Piana ztudzeń

BORIS VIAN

PIANA ZŁUDZEŃ

TYTUŁ ORYGINAŁU: L'ECUME DES JOURS

PRZEKŁAD: MAREK PUSZCZEWICZ



P. W. „EGROSS” — OFICYNA WYDAWNICZA WARSZAWA 1991

Mojej Kruszynce

Przedmowa

Najważniejsze w życiu to opierać się na sądach a priori. I faktycznie, okazuje się, że masy się mylą, a jednostki zawsze mają rację. Należy się wystrzegać wyprowadzania stąd reguł zachowania: wcale nie muszą one zostać sformułowane, aby ich przestrzegać. Istnieją tylko dwie rzeczy: miłość we wszystkich odmianach, z ładnymi dziewczynami, oraz muzyka Nowego Orleanu albo muzyka Duke'a Ellingtona. Reszta powinna zniknąć, bo jest paskudna, a tych kilka następnych stron czerpie swą siłę z faktu, że historia ta jest całkowicie prawdziwa, sam ją wymyśliłem od początku do końca. Jej realizacja materialna w sensie dosłownym opiera się w zasadzie na projekcji rzeczywistości, w atmosferze rozgrzanej i pochylej, na płaszczyźnie odniesienia nieregularnie pofalowanej i pełnej zakłóceń. Widać od razu, że jest to metoda godna uznania, no, chyba żeby było inaczej.

Nowy Orlean 10 marca 1946

I Colin kończył właśnie toalety. Wychodząc z kąpieli owinał się obszernym ręcznikiem frotte, spod którego wystawały mu jedynie nogi i tors. Ze szklanej etażerki zdjął pulweryzator i rozpylił na swoje jasne włosy pachnącą, gęstą oliwkę. Jego bursztynowy grzebień rozdzielił jedwabistą masę na długie, pomarańczowe kosmyki, podobne do bruzd, które rado-sny oracz robi widelcem w dzemie morelowym. Colin odłożył grzebień i uzbroiwszy się w obcinacz paznokci, przyciął ukośnie kąciki swych matowych powiek, aby

przydać spojrzeniu tajemniczości. Czynność tę musiał często powtarzać, bowiem szybko odrastały. Zapalił małą lampkę umieszczoną w powiększającym lusterku i nachylił się nad nim, aby skontrolować stan swego naskórka. Kilka wągrów wystawało w okolicy skrzydełek nosa. Gdy tylko ujrzały odbicie swej brzydoty w powiększającym lusterku, błyskawicznie ukryły się pod skórą, a Colin, zadowolony, zgasił lampkę. Rozwiązał ręcznik, który opasywał mu biodra, i jednym z jego koniuszków wycierał zagłębienia między palcami stopy, by osuszyć ostatnie ślady wilgoci. W lustrze można było dostrzec, do kogo jest podobny, mianowicie do tego blondyna, który gra Slima w *Hollywood Canteen*. Głowę miał okrągłą, uszy małe, prosty nos i złocistą cerę. Uśmiechał się często uśmiechem bobaska, w związku z czym zrobił mu się w podbródku dołeczek. Był dość wysoki, szczupły, długonogi i bardzo miły. Imię Colin właściwie do niego pasowało.

Do dziewcząt mówił łagodnie, do chłopców wesoło. Prawie zawsze był w dobrym humorze, a przez resztę czasu spał.

Opróżnił wannę wybijając dziurę w jej dnie. Podłoga łazienki wyłożona jasnożółtymi płytkami była pochylona i kierowała wodę do otworu umieszczonego dokładnie nad biurkiem sąsiada z dołu. Jakiś czas temu, nie uprzedziwszy Colina, przestawił on swoje biurko i teraz woda lała mu się prosto do kredensu.

Wsunął stopy w sandały ze skóry gacka wielkoucha i przywdział elegancki domowy garnitur, zamszowe spodnie w prążki, o zielonym odcieniu bardzo głębokiej wody, oraz marynarkę z orzechowego atłasu. Powiesił ręcznik na suszarce, a dywanik kąpielowy przełożył przez brzeg wanny i posypał go gruboziarnistą solą, żeby zwrócił całą pochłoniętą wodę. Dywanik zaczął się ślinić, wypuszczając całe kiście banieczek mydlanych.

Wyszedł z łazienki i udał się do kuchni, aby nadzorować ostatnie przygotowania do posiłku. Jak w każdy poniedziałek, wieczorem na kolację miał przyjść Chick, a mieszkał tuż tuż. Co prawda była dopiero sobota, lecz

Colin odczuł gwałtowną potrzebę zobaczenia Chicka i chciał z nim wypróbować menu opracowane z niezmaconą radością przez Mikołaja, nowego kucharza. Chick, również kawaler, miał też dwadzieścia dwa lata, takie same gusta literackie, tylko mniej pieniędzy. Colin posiadał wystarczającą fortunę, by żyć jak należy, nie pracując na innych. Chick natomiast musiał co osiem dni chodzić do ministerstwa, by spotkać się ze swoim wujem i pożyczyć od niego pieniądze, gdyż jego zawód inżyniera nie przynosił mu dochodów pozwalających na utrzymanie się na takim poziomie jak robotnicy, którymi zarządzał, a wiadomo, jak trudno jest kierować ludźmi lepiej od nas odzianymi i lepiej odżywionymi. Colin pomagał mu, jak umiał najlepiej, zapraszając go na kolację, gdy tylko to było możliwe, lecz duma Chicka zmuszała go do zachowania ostrożności, by nie okazać przez nadmierną troskliwość, że pragnie mu przyjść z pomocą.

Korytarz prowadzący do kuchni był jasny i oszklony z obydwu stron, a z każdej świeciło jedno słońko, Colin lubił światło. Ze wszystkich możliwych miejsc wystawały krany ze starannie wyczyszczonego mosiądzu. Igraszki promieni słonecznych na kurkach dawały bajecznie piękne efekty. Kuchenne myszki lubiły tańczyć przy dźwiękach, jakie wydawało światło słoneczne padając na krany, i uganiały się za małymi kuleczkami powstałymi z promyków, które rozpryskiwały się na posadzce jak strumyki żółtej rtęci. Przechodząc Colin pogłaskał jedną z myszy; miała bardzo długie czarne wąsy, była szara, szczupła, o cudownie błyszczącym futerku. Kucharz doskonale je karmił, jednakże nie pozwalał, aby zbyt utyły. Myszy nie hałasowały w ciągu dnia i bawiły się wyłącznie na korytarzu.

Colin popchnął emaliowane drzwi kuchni. Kucharz Mikołaj czuwał nad swoją tablicą rozdzielczą. Siedział przed pulpitem, również emaliowanym na żółto, na którym znajdowały się zegary odpowiadające poszczególnym przyrządom kuchennym, ciągnącym się wzdłuż ścian. Wskazówka kuchenki elektrycznej, nastawionej na pieczoną indyczkę, wahała się między „prawie” a „już”. Wkrótce należało ją wyjąć. Mikołaj nacisnął zielony guzik, który

uruchomił czujnik dotykowy. Przeniknął on w głąb nie napotkawszy oporu, i wskazówka w tym momencie stanęła na „już”. Szybkim ruchem odciął dopływ prądu do kuchenki i włączył podgrzewacz talerzy.

— Czy to będzie dobre? — zapytał Colin.

— Może być Pan pewien! — potwierdził Mikołaj. — Indyczka była wyśmienicie skalibrowana.

— A cóż przygotowałeś na przystawkę?

— O Boże. Tym razem niczego nie wymyślałem. Ograniczyłem się do popełnienia plagiatu na Gouffém.

— Mogłeś wybrać gorszego mistrza! — zauważył Colin. — A którą część jego dzieła zechcesz nam odtworzyć?

— Rzecz dotyczy strony 638 jego *Książki kucharskiej*. Przeczytam Panu odpowiedni akapit.

Colin zasiadł na taborecie wyłożonym porowatym kauczukiem i pokrytym impregnowanym jedwabiem, dobranym do koloru ścian, a Mikołaj rozpoczął tymi słowy:

— Przygotować gorący pasztet, jak do przystawek. Wziąć dużego węgorza i pociąć go na trzycentymetrowe dzwonka. Dzwonka włożyć do garnka, dodać białego wina, sól, pieprz, pokrojoną w plastry cebulę, natkę pietruszki, tymianek, liść laurowy i ostry ząbek czosnku.

— Ten ząbek nie jest tak ostry, jak bym sobie tego życzył — rzekł Mikołaj — lecz osełka jest zbyt zużyta.

— Każę ją wymienić — odparł Colin.

Mikołaj ciągnął dalej:

— Ugotować. Wyjąć węgorza z garnka i włożyć go do brytfanki. Wywar precedzić przez jedwabne sitko, dopieprzyć i odparować tak, by sos sięgał do wysokości łyżki. Przepuścić przez gazę, zalać węgorza sosem i gotować przez dwie minuty. Umieścić go w pasztecie. Uformować obwódkę z panierowanych grzybków, a pośrodku umieścić kępkę karpiego mleczu. Podlać pozostałą

resztką sosu.

— Zgoda — przyzwolił Colin. — Sądzę, że Chickowi będzie to smakować.

— Nie mam jeszcze przyjemności znać Pana Chicka — stwierdził Mikołaj — lecz gdy-by mu to nie smakowało, następnym razem przygotuję coś innego, co pozwoli mi na określenie niemal z dokładnością przestrzennego porządku jego smaków i niesmaków.

— No!... — rzekł Colin. — Zostawiam cię, Mikołaju. Zajmę się nakryciem.

Ruszył korytarzem w przeciwnym kierunku i przekroczył służbówkę, aby zatrzymać się w małej jadalnio-pracowni, której jasnoblękitny dywan i beżoworóżowe ściany dawały odpoczynek otwartym oczom.

Salka, mniej więcej cztery na pięć metrów, wychodziła dwoma oknami na ulicę Louisa Armstronga. Lustra pozbawione podlewu wysuwały się po bokach i pozwalały na przeniknięcie wiosennych zapachów, jeśli tylko takie pojawiły się na zewnątrz. Po przeciwległej stronie jeden z kątów pomieszczenia zajmował dębowy stół. Dwie ustawione prostopadle ławeczki odpowiadały dwóm krawędziom stołu, a starannie dobrane krzesła, wyściełane błękitnym safianem, ozdabiały dwa wolne boki. W skład wyposażenia wchodził także długi, niski mebel przerobiony na płytotekę, wysokiej jakości gramofon i drugi mebel, symetryczny do pierwszego, zawierający wiosła, talerze, szklanki i inne akcesoria, jakimi cywilizowani ludzie posługują się przy jedzeniu.

Colin wybrał jasnoniebieski obrus pasujący do dywanu. Pośrodku stołu umieścił paterę w kształcie słoja z formaliną, w której dwa kurze embriony zdawały się naśladować *Widmo Róży* w choreografii Niżyńskiego. Dookoła rozrzucił kilka gałązek mimozy rzemiennej: ogrodnik jego przyjaciół otrzymywał ją przez skrzyżowanie mimozy kulistej ze wstążkami czarnej lukrecji, którą można dostać w pasmanterii, tuż koło szkoły. Następnie wziął dla każdego po dwa talerzyki z białej porcelany inkrustowanej krzyżykami z przezroczystego złota i sztucze z nierdzewnej stali, o ażurowych uchwytych, a w

każdym między dwiema szybkami z pleksiglasu siedziała wypchana biedronka i przynosiła szczęście. Dodał jeszcze kryształowe kielichy i serwetki ułożone w kształcie księżego biretu; zabrało mu to trochę czasu. Zaledwie skończył te przygotowania, gdy dzwonek odpadł od ściany oznajmiając nadejście Chicka.

Colin wyrównał fałdkę na obrusie i poszedł otworzyć.

— Jak się masz? — zapytał Chick.

— A ty? — odparł Colin. — Zdejmij płaszcz i chodź zobaczyć, co upichcił Mikołaj.

— Twój nowy kucharz?

— Tak — powiedział Colin. — Wymieniłem go z ciotką na starego plus kilo belgijskiej kawy.

— Dobry jest? — zapytał Chick.

— Wygląda na to, że wie, co robi. — To uczeń Gouffégo.

— Tego faceta z kufra — zaniepokoił się wystraszony Chick, a jego czarne wąsiki opadły tragicznie.

— Nie, baranie, Julesa Gouffégo, znanego kuchmistrza.

— Och, wiesz! Ja... — rzekł Chick — poza Jean-Sol Partrem wiele nie czytam.

Podążył za Colinem przez wykładany kafelkami korytarz, pogłaskał mysz i przechodząc schwytał do swojej zapalniczki kilka kropelek słońca.

— Mikołaju — powiedział Colin wchodząc — przedstawiam ci mojego przyjaciela Chicka.

— Dzień dobry Panu — powiedział Mikołaj.

— Dzień dobry Mikołaju — odparł Chick. — Czy ty przypadkiem nie masz siostrze-nicy imieniem Aliza?

— Ależ tak, proszę Pana — powiedział Mikołaj. — Zresztą to bardzo ładna dziewczyna, że ośmielę się wtrącić.

— Jest do ciebie bardzo podobna — stwierdził Chick. — Chociaż, jeśli chodzi o klatkę piersiową, widać niejakie różnice.

— Ja jestem dość szeroki — powiedział Mikołaj — a ona rozwinęła się raczej w kierunku prostopadłym, jeżeli Pan pozwoli mi na takie sprecyzowanie zagadnienia.

— No, proszę — powiedział Colin — możemy się czuć prawie jak w rodzinie. Mikołaju, nie mówiłeś mi, że masz siostrzenicę.

— Moja siostra stoczyła się, proszę Pana — westchnął Mikołaj. — Ukończyła filozofię. Nikt nie lubi się chwalić takimi rzeczami w rodzinie dumnej ze swych tradycji...

— Hmm... — powiedział Colin — sądzę, że chyba masz rację. W każdym razie rozumiem cię doskonale. Więc pokaż nam ten pasztet z węgorzem.

— W tym momencie byłoby niebezpiecznie otworzyć piecyk — ostrzegł Mikołaj. — Mogłoby to doprowadzić do stopniowego wysuszenia spowodowanego wtargnięciem powie-trza nie tak bogatego w parę wodną, jak to, które akurat tam się znajduje.

— Wolę mieć niespodziankę — powiedział Chick — oglądając go po raz pierwszy dopiero na stole.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak zgodzić się z Panem — powiedział Mikołaj — mogę prosić pana o zezwolenie na powrót do moich zajęć?

— Pracuj, Mikołaju, bardzo proszę.

Mikołaj powrócił do swego zajęcia, które polegało na wydobyciu z formy filetów z kerguleny w galarecie, upstrzonych kawałkami trufli, a przeznaczonych do przybrania rybnej przekąski. Colin i Chick opuścili kuchnię.

— Łykiesz coś na apetyt? — zainteresował się Colin. — Mój pianoktail jest już ukończony, mógłbyś go wypróbować.

— Działa? — zapytał Chick.

— Doskonale. Trochę się nabiedziłem, żeby go wyregulować, ale rezultat przekracza wszelkie moje oczekiwania. Na bazie *Black and Tan Fantasy* otrzymałem mieszankę naprawdę piorunującą.

— A na czym polega działanie urządzenia? — zapytał Chick.

— Każdej nucie — odparł Colin — odpowiada jeden gatunek alkoholu, likieru bądź aromatu. Pedał mocny to bita piana, a słaby — lód. Aby otrzymać wodę selcerską, trzeba wykonać tryl w górnym rejestrze. Serwowane ilości są pochodną czasu trwania: trzydziestce dwójce odpowiada jedna szesnasta miarki, ćwierćnucie cała miarka, całej nucie poczwórna miarka. Kiedy gra się powolną melodię, uruchamiany jest cały system rejestrów, tak aby nie zwiększyć ilości płynu — co dałoby koktajl nazbyt obfity — lecz zawartość alkoholu. I niezależnie od czasu trwania melodii, można, jeśli się chce, różnicować wartość jednej miarki, zmniejszając ją, na przykład do jednej setnej, tak by za pomocą bocznej regulacji móc otrzymać trunek zawierający pełną gamę dźwięków.

— Ależ to skomplikowane — powiedział Chick.

— Całość jest sterowana za pomocą przełączników elektrycznych i przekaźników. Nie podaję ci szczegółów, i tak je znasz. A poza tym pianino naprawdę działa.

— To cudowne! — zawołał Chick.

— Jest tylko jedna kłopotliwa sprawa — powiedział Colin — ten mocny pedał z bitą pianą. Musiałem zamontować specjalny system załączania, bo kiedy gra się kawałek nazbyt „hot”, do koktajlu wpadają kawałki omletu, co ciężko jest przełknąć. Ja to jeszcze zmienię. Na razie wystarczy uważać. Żeby otrzymać świeżą śmietanę, trzeba wziąć dolne sol.

— Zrobię go sobie na bazie *Loveless Love* — powiedział Chick. — To będzie straszne.

— Na razie pianoktajl jest jeszcze w składziku, gdzie urządziłem sobie warsztat — powiedział Colin — bo ścianki ochronne nie są jeszcze przykręcone. Chodźmy. Na początek nastawię go na dwa koktajle, tak mniej więcej po dwieście mililitrów.

Chick zasiadł do fortepianu. Pod koniec melodii fragment przedniej płyty opuścił się z suchym trzaskiem i ukazał się rząd szklanek. Dwie z nich wypełnione były po brzegi apetyczną miksturą.

— Miałem stracha — rzekł Colin. — W pewnym momencie zafalszowałeś. Na szczęście utrzymałeś się w melodyce.

— To on pilnuje melodyki? — zapytał Chick.

— Nie zawsze — odparł Colin. — To byłoby zbyt skomplikowane. Jest tylko kilka zależności. Pij i chodź do stołu.

II — Ten pasztet z węgorza jest wyśmienity — powiedział Chick. — Kto podsunął ci myśl, żeby go podać?

Mikołaj sam wpadł na ten pomysł — powiedział Colin. — Jest taki węgorz — a raczej był — który codziennie podpływał do jego umywalki przez dopływ zimnej wody.

- To ciekawe — powiedział Chick. — A po co?

- Wystawiał łeb i opróżniał tubkę pasty do zębów, wyciskając ją zębami. Mikołaj używa wyłącznie amerykańskiej pasty ananasowej i to musiało go skusić.

— A jak go złapał? — zapytał Chick.

— Zamiast tubki położył całego ananasa. Kiedy węgorz jadł pastę, mógł ją przełknąć, a następnie schować głowę, lecz z ananasem mu się to nie udało, im bardziej ciągnął, tym mocniej jego zęby wbijały się w ananasa. Mikołaj...

Colin przerwał.

— Co Mikołaj? — zapytał Chick.

— Waham się, czy powiedzieć, bo mogę ci odebrać apetyt.

— Śmiało — powiedział Chick. — I tak już mi go wiele nie zostało.

— Mikołaj wszedł w tym momencie i uciął mu głowę brzytwą. Potem odkręcił kran i wyszła cała reszta.

— To wszystko? — zapytał Chick. — Nałóż mi jeszcze pasztetu. Mam nadzieję, że ten węgorz posiada w rurach liczną rodzinę.

— Mikołaj podłożył pastę malinową, żeby to sprawdzić... — powiedział Colin. — Ale powiedz, ta Aliza o której napomykałeś...?

— Właśnie mam ją przed oczami — powiedział Chick. — Spotkałem ją na wykładzie Jean-Sola Partra. Leżeliśmy oboje na brzuchu pod estradą i tak ją właśnie poznałem.

— Jaka ona jest?

— Nie potrafię ci jej opisać — powiedział Chick. — jest ładna...

— Ach! — westchnął Colin.

Nadchodził Mikołaj, niósł indyczkę.

— Usiądź z nami Mikołaju — powiedział Colin. — W końcu, jak to zauważył Chick, należysz prawie do rodziny.

— Jeśli to Panu nie sprawi różnicy, zajmę się najpierw myszami — odparł Mikołaj. — Indyczka jest podzielona... Sos jest tam...

— Zaraz coś zobaczysz — powiedział Colin. — Jest to sos z kremu mangowego z do-datką jałowca, zaszyty w zraz zawijany z cielęciny. Tu naciskasz, a tędy wychodzi struż-kami.

— Ekstra! — zachwycił się Chick.

— Czy nie zechciałbyś mi opisać, w jaki sposób udało ci się zawrzeć z nią znajomość?... — dopytywał się Colin.

— No cóż... — zaczął Chick — zapytałem ją, czy lubi Jean-Sol Partra, a ona odpowiedziała mi, że ma cały komplet jego dzieł. Wtedy powiedziałem: „Ja też”... I za każdym razem gdy jej coś mówiłem, odpowiadała „Ja też”... i vice versa... Wtedy, na koniec, po prostu dla dokonania egzystencjalistycznego doświadczenia, rzekłem jej: „Bardzo mi się podobasz”, a ona odparła: — „Och!”

— Doświadczenie się nie udało — stwierdził Colin.

— Tak — przyznał Chick. — Lecz jednak nie uciekła. Wtedy powiedziałem — „Ja idę tędy”, a ona — „A ja nie” — i dodała — „Ja idę tamtędy”.

— To nadzwyczajne — zapewnił Colin.

— Wtedy ja powiedziałem — „To ja też” — rzekł Chick. — I byłem wszędzie gdzie i ona...

— No i jak to się skończyło? — zapytał Colin.

— Hmm... — powiedział Chick. — Była właśnie najwyższa pora, żeby pójść do łóżka...

Colin zakrztusił się i wypił pół litra burgunda, nim doszedł do siebie.

— Jutro niedziela. Pójdę z nią jutro na ślizgawkę. Idziesz z nami? Postanowiliśmy wy-brać się rano, tak żeby było mało ludzi. Trochę się denerwuję, bo słabo jeżdżę, ale będziemy mogli porozmawiać o Partrze.

— Pójdę — obiecał Colin. — Pójdę z Mikołajem... Może ma jeszcze jakieś siostrzenice...

II
I Colin wysiadł z metra i wszedł po schodach. Wynurzył się ze złej strony i okrążył stację, żeby się zorientować. Zbadał kierunek wiatru za pomocą żółtej jedwabnej - chusteczki, a kolor porwany z niej przez podmuch rozpostarł się na potężnym budynku o nie-regularnej formie, nadając mu tym samym wygląd lodowiska Molitor.

Przed nim znajdowała się pływalnia zimowa. Przeszedł tamtędy i bocznym wejściem, przedzierając się przez dwuskrzydłe, oszklone drzwi o miedzianych poręczach, przedostał się do wnętrza tego skostniałego organizmu. Wyciągnął swoją kartę wstępu, która puściła oko do kontrolera za pomocą dwóch wyciętych dziurek. Kontroler odpowiedział porozumiewawczym uśmiechem, lecz mimo to wyciął trzecią dziurę w pomarańczowym! kartonie i karta została oślepią. Colin wsadził ją bez skrpułów do swojej portskórki z rosyjskiej monetki i ruszył w lewo gumowochodnikowym korytarzem, który prowadził do ustawionych rzędem kabin. Na parterze nie było już wolnych miejsc. Wszedł

więc po betonowych schodach, mijając istoty potężne, bo wsparte na metalowych, pionowych ostrzach próbowały nadać swym piruetom wygląd naturalny, mimo wyraźnych utrudnień. Jakiś mężczyzna w białym swetrze otworzył mu kabinę, zainkasował napiwek, który zapewne później wydał na chleb, jako że wyglądał na kłamczucha. Potem pozostawił go w tym in-pace, nakreśliwszy uprzednio niedbale inicjały klienta na czarnym prostokącie, umieszczonym w tym celu wewnątrz kabiny. Colin zauważył, że mężczyzna miał głowę bynajmniej nie ludzką, lecz gołębią, i całkiem nie potrafił zrozumieć, dlaczego przydzielono go do obsługi lodowiska, a nie basenu.

Z tafli dochodził owalny odgłos, który muzyka płynąca z głośników rozstawionych dookoła dodatkowo zagęszczała. Szuranie łyżwiarzy nie osiągnęło jeszcze tego natężenia dźwięków z godzin szczytu, kiedy można je porównać z odgłosem regimentu piechoty brnącego w chlapiącym o bruk blocku. Colin poszukiwał wzrokiem Alizy i Chicka, lecz ci nie pojawiali się na lodzie. Mikołaj miał do nich dołączyć nieco później; została mu jeszcze robota w kuchni przy przygotowaniu południowego posiłku.

Colin rozsznurował buty i stwierdził, że podeszwy całkiem odeszły. Wyciągnął z kieszeni rolkę przylepca, lecz było go zbyt mało. Toteż ustawił buty w małej kałuży, która utworzyła się pod cementową ławeczką, i skropił je skondensowanym nawozem, żeby skóra odrosła. Wdział parę wełnianych skarpet o szerokich, na przemian żółtych i fioletowych paskach i włożył buty łyżwiarskie. Krawędzie łyżew rozdzielały się z przodu, by pozwolić mu na łatwiejsze dokonywanie zmiany kierunku jazdy.

Wyszedł i udał się piętro niżej. Nogi wyginały mu się nieco na perforowanym kauczukowym chodniku, wyściełającym betonowe korytarze. Gdy już odważył się wskoczyć na tafelę, musiał w wielkim pośpiechu wycofać się po dwóch drewnianych schodkach, żeby uniknąć upadku: jakaś łyżwiarka, wywinąwszy wspaniałego orła, zniosła w tym momencie wielkie jajo, które rozprysło się u stóp Colina.

Podczas gdy jeden z giermków-czyścicieli zbierał rozsypane kawałki, Colin dostrzegł Chicka i Alizę, sunących po drugiej stronie lodowiska. Dał im znak, którego nie dostrzegli, i udał się na ich spotkanie, nic zwracając jednak uwagi na ruch okrężny. Na skutek tego błyskawicznie powstał okazały tłum protestujących, do których z sekundy na sekundę dołączał ludźmi machający desperacko rękami, nogami, ramionami całymi ciałami, dopóki nie zwałili się na pierwszych poległych. Słońce rozpuściło nawierzchnię, która chlupotała pod całą tą kupą.

W krótkim czasie dziewięć dziesiątych łyżwiarzy było tam już zgromadzone, Chick i Aliza weszli w wyłączne posiadanie całej tafli, no, prawie całej. Podeszli do kotłującej się masy i Chick, rozpoznawszy Colina po jego dwudzielnych łyżwach, wyrwał go z kłębowiska ciągnąc za kostki. Podali sobie ręce. Chick przedstawił Alizę i Colin zajął miejsce po jej lewej stronie, podczas gdy Chick był już po prawicy.

Przejechawszy na prawy koniec lodowiska, stanęli tak, by zrobić miejsce dla giermków-czyścicieli, którzy nie mając nadziei na odnalezienie w kupie ofiar niczego prócz nieciekawych strzępów rozszczepionych indywidualności, chwycili za swoje skrobaczki, żeby usunąć całość kupy, i spychali ją do dziury na wyskrobki, nucąc hymn Molitoru, ułożony w 1709 przez Vailana-Couturier, a zaczynający się od słów:

Panie i Panowie
Opuście tafle
(Jeśli łaska)
Byśmy mogli
Przystąpić do sprzątnięcia...

Całość, podkreślona dźwiękami klaksonu, miała wzbudzić w otchłaniach najbardziej zatwardziałychem dusz dreszcz trwogi nie do opanowania.

Łyżwiarze, którzy jeszcze trzymali się na nogach, przyklasnęli tym poczynaniom, a reszta zniknęła w zapadni. Chick, Aliza i Colin zmówili krótki pacierz i przystąpili do dalszej jazdy.

Colin przyglądał się Alizie. Dziwnym zbiegiem okoliczności ubrana była w biały sweter i żółtą spódnicę. Na nogach miała biało-żółte buciki i łyżwy hokejowe. Nosila jedwabne przydymione pończochy i białe skarpety, zawinięte tuż nad kostką na cholewce butów zasnurowanych białymi bawełnianymi sznurowadłami, trzykrotnie opasującymi kostkę. Oprócz tego posiadała jasnozielony jedwabny szalik i blond włosy, nadzwyczaj gęste, okalające jej twarz spoistą, kędzierzawą masą. Spoglądała za pomocą błękitnych otwartych oczu, a jej trójwymiarowość była ograniczona złotawą, świeżą skórą. Miała toczony ramiona i łydki, wąską talię i biust tak pięknie zarysowany, że rzec by można — fotografia.

Colin popatrzył z drugiej strony, żeby odzyskać utraconą równowagę. Udało mu się, toteż spuszczaając oczy zapytał Chicka, czy węgorz przyjął mu się bez problemów.

— Daj spokój — powiedział Chick. — Całą noc łowiłem w moim kranie, żeby zobaczyć, czy też jakiegoś nie złapię. Ale do mnie przychodzą tylko pstrągi.

— Mikołaj niewątpliwie będzie umiał coś z nich zrobić — zapewnił Colin... — Masz — rzekł, zwracając się raczej do Alizy — niezwykle utalentowanego wuja.

— To chluba naszej rodziny — powiedziała Aliza. — Moja matka nie może odżałować, że wydała się za zwykłego matematyka, podczas gdy jej brat zrobił taką karierę.

— Twój ojciec jest matematykiem?

— Tak, wykłada w Collège de France i jest członkiem Akademii czy coś w tym rodzaju... — powiedziała Aliza.

— Pożałowania godne... i to w wieku trzydziestu ośmiu lat. W końcu mógł

się trochę postarać. Ale, na szczęście, jest jeszcze wuj Mikołaj.

— Czyż nie miał zjawić się tu dziś rano? — zapytał Chick.

Cudowny zapach unosił się z jasnych włosów Alizy. Colin odsunął się nieco.

— Sądzę, że się trochę spóźni. Rano coś mu chodziło po głowie... A może tak byście przyszli oboje na obiad? Zobaczymy, co to było...

— Dobra — powiedział Chick. — Lecz jeśli sądzisz, że przyjmę taką propozycję, to stwarzasz sobie fałszywą koncepcję wszechświata. Trzeba ci znaleźć jakąś czwartą. Inaczej nie puszczę Alizy do ciebie, sam byś zresztą tego nie chciał.

— Och!... — zaprotestował Colin. Co on chciał przez to powiedzieć?

Lecz nie usłyszał już odpowiedzi, bo jakiś nadmiernej długości osobnik, który już od pięciu minut dawał popisy szybkiej jazdy, właśnie przejechał mu między nogami, wyciągnąwszy się maksymalnie do przodu, a powstały w ten sposób przeciąg uniósł Colina kilka metrów w górę. Uczepił się występu na galerii pierwszego piętra, doprowadził do porządku i opadł obok Chicka i Alizy, zresztą w niewłaściwym kierunku.

— Powinno im się zabronić tak szybkiej jazdy — powiedział Colin.

Następnie uczynił znak krzyża, gdy łyżwiarz roztrzaskał się o ścianę restauracji na przeciwległym krańcu lodowiska i pozostał tam przyklejony jak meduza z papier maché, rozszarpana przez okrutnego bachora.

Giermkowie-czyściciele uczynili ponownie swoją powinność, a jeden z nich umieścił lodowy krzyż na miejscu wypadku. W czasie gdy topniał, nadzorca puścił muzykę kościelną.

Później wszystko wróciło do normy. Chick, Aliza i Colin kręcili się dalej.

I — Jest Mikołaj! — krzyknęła Aliza.
V — I Izis! — zauważył Chick.

Mikołaj pojawił się właśnie koło budki nadzorcy, a Izis na lodowisku. On udał się na wyższe piętra, ona zaś ruszyła w kierunku Chicka, Colina i Alizy.

— Witaj, Izis — powiedział Colin. — Przedstawiam ci Alizę. Alizo, to jest Izis. Chicka już znasz.

Odbyło się ogólne ściskanie dłoni i Chick skorzystał z okazji, żeby prysnąć z Alizą, pozostawiając Izis w ramionach Colina, a ci natychmiast także ruszyli naprzód.

— Cieszę się, że cię widzę — powiedziała Izis.

Colin też się cieszył, że ją widzi. W wieku lat osiemnastu Izis udało się zaopatrzyć w kasztanowe włosy, biały sweter i żółtą spódnicę, wściekle zielony szalik, biało-żółte buty i przeciwsłoneczne okulary. Była piękna. Lecz Colin dobrze znał jej rodziców.

— W przyszłym tygodniu będzie u nas poranek — powiedziała Izis. Z okazji urodzin Duponta.

— A któż to jest Dupont?

— Mój pudel. Zaprosiłam wszystkich przyjaciół. Przyjdiesz? O czwartej!...

— Tak. Bardzo chętnie.

— Poproś swoich przyjaciół, żeby też przyszli! — powiedziała Izis.

— Chicka i Alizę?

— Tak, są tacy mili... No to do przyszłej niedzieli!

— Już uciekasz? — zapytał Colin.

— Tak, nigdy długo nie zostaję. Jestem tutaj już od dziesiątej, sam wiesz, rozumiesz...

— Ale dopiero jest jedenasta! — powiedział Colin.

— Byłam w barze!... Pa!...

V Colin szedł pospiesznie przez rozświetlone ulice. Wiał suchy i ostry wiatr, a małe tafelki lodu pękały z trzaskiem pod jego stopami.

Ludzie chowali nosy w co tylko mogli: w kołnierze płaszczy, szaliki, mufki, ujrzał nawet jednego używającego w tym celu drucianej klatki na ptaszki, której sprężynujące drzwiczki odciskały mu się na czole.

Jutro pójdę do Przemądrzalskich — myślał Colin.

To byli właśnie rodzice Izis.

— Dziś wieczór zjem kolację z Chickiem...

— Wracam do domu, żeby się przygotować na jutro...

Zrobił wielki krok, żeby ominąć szparę między kaflami, która zdawała się wyglądać dość groźnie.

— Jeśli uda mi się zrobić dwadzieścia kroków nie wpadając w dziurę, nie będę miał jutro pryszczu na nosie...

— Nie ma się co przejmować — powiedział rozkładając się na całej długości przy dziewiątej szczelinie — wszystko to bzdury. I tak nie będę miał pryszczu.

Pochylił się i zerwał niebiesko-różową orchideę, którą mróz wywabił spod ziemi.

Pachniała zupełnie jak włosy Alizy.

— Jutro zobaczę Alizę...

Tej myśli powinien był uniknąć. Pełne prawo do Alizy miał Chick.

— Jutro na pewno znajdę jakąś dziewczynę...

Lecz jego myśli jakoś pozostały przy Alizie.

— Czyż naprawdę mówią o Jean-Sol Partrze, kiedy są sami!?!...

Chyba lepiej byłoby nie myśleć o tym, co robią, kiedy są sami.

— Ile artykułów napisał Jean-Sol Partre w ciągu tego roku?

W każdym razie za mało miał czasu, by przeliczyć je wszystkie przed dojściem do domu.

— Co Mikołaj przygotuje na dzisiejszy wieczór?...

Jeśli się dobrze zastanowić, to podobieństwo Alizy i Mikołaja nie ma w sobie nic nad-zwyczajnego, w końcu pochodzą z jednej rodziny. Tyle że znowu zbliżył się do zakazanego tematu.

— Cóż — pytam raz jeszcze — co Mikołaj przygotuje na dzisiejszy wieczór?

— Nie wiem, co Mikołaj, który jest tak podobny do Alizy, przygotuje na dzisiejszy wieczór...

Mikołaj jest starszy o jedenaście lat od Alizy. Czyli ma dwadzieścia dziewięć lat. Jest bardzo utalentowany w kwestiach kulinarnych. Na pewno zrobi szpikowaną pieczeń cielęcą.

Colin dochodził już do domu.

— W oknach kwaciarni nigdy nie ma krat. Nikt nie chce kraść kwiatów.

Nie ma w tym nic dziwnego. Zerwał jeszcze szaro-pomarańczową orchideę, której delikatna korona zaraz się odłamała. Lśniła różnymi barwami.

— Ma taki kolor jak czarnowąsa mysz... I już jestem u siebie.

Colin wszedł po schodach z kamienia odzianego w wełnę. Wsadził w zamek srebrzystolustrzanych drzwi mały złoty kluczyk.

— Do mnie, moi wierni słudzy!... Bo oto wróciłem do domu!...

Rzucił płaszcz na krzesło i poszedł zajrzeć do Mikołaja.

V — Czy robisz, Mikołaju, szpikowaną pieczeń cielęcą na dzisiejszy
I wieczór? — zapytał Colin.

— O Boże! — zawołał Mikołaj. — Pan mnie nie uprzedził. Miałem zgoła inny projekt.

— Dlaczego, psiakrew, cholera jasna — powiedział Colin — mówisz do mnie bez prze-rwy w trzeciej osobie?

— Jeśli Pan zechce pozwolić mi na podanie powodów, to wyjaśnię, że niejaka zażyłość jest do przyjęcia jedynie, gdy obie strony zachowują pewne granice, co tu akurat wcale nie ma miejsca.

— Ależ ty jesteś wyniosły, Mikołaju — powiedział Colin.

— Jestem dumny z mojej pozycji, proszę Pana — powiedział Mikołaj — i Pan z pewnością nie powinien mieć mi tego za złe.

— Oczywiście — powiedział Colin. — Lecz chciałbym, abyś był mniej oficjalny.

— Żywię do Pana szczerze, choć ukryte uczucie — powiedział Mikołaj.

— Jestem z tego dumny i szczęśliwy, Mikołaju, i odwzajemniam ci je. Tak więc, cóż podasz dziś wieczór?

— Utrzymam się raz jeszcze w tradycji Gauffégo, przygotowując tym razem krwawą kiszkę w muszkatołowym porto.

— Jak to się robi? — zapytał Colin.

— W sposób następujący: Wziąć kiszkę i obdrzeć ze skóry, nie zważając na jej wrzaski. Skórę starannie przechować. Kiszkę naszpikować homarzymi odnóżami, pokrajanymi w cienkie plastry, puszczonej co koń wyskoczy na rozgrzane masło. Rzucić na lód do cienkie-go rondelka. Przegarnąć węgle i na uzyskanej w ten sposób powierzchni rozstawić gustownie garnki z duszoną grasicą. Kiedy kiszka wyda głuchy dźwięk, wyciągnąć ją szybko z ognia i zalać dobrym porto. Wybełtać platynową warząchwią. Nasmarować brytfankę i schować ją, żeby nie zardzewiała. W chwili podawania zalać wywarem z ćwiartki mleka i oranżady w proszku. Przybrać grasicą, podać i wynieść się w cholere.

— Odjęło mi mowę — powiedział Colin. — Gauffé by! naprawdę wielkim człowiekiem. Powiedz mi, Mikołaju, czy będę miał jutro pryszcz na nosie?

Mikołaj skonsultował kulfona Colina i wysunął wniosek negatywny.

— A skoro już przy tym jestem, czy nie wiesz, jak się tańczy przeleć mnie?

— Osobiście trzymam się raczej połamańca w stylu Gambetty oraz tramontany z kursu otwartego w ostatnim semestrze w Neuilly i nie posiadałem dogłębnie przeleć mnie, lecz opanowałem jedynie jego podstawy.

— Czy uważasz — zapytał Golin — że można osiąść niezbędną technikę w ciągu jednego seansu?

— Wydaje mi się, że tak — odparł Mikołaj. — Samo sedno nie jest zbyt skomplikowane. Należy unikać jedynie grubiańskich pomyłek i wykroczeń przeciw dobremu smakowi. Mogłoby to polegać na przykład na tańczeniu przeleć mnie w rytmie boogie-woogie.

— To byłaby pomyłka?

— To byłoby wykroczenie przeciwko dobremu smakowi.

Mikołaj odłożył na stół grapefruita, którego oskubał w trakcie rozmowy, i opłukał ręce w zimnej wodzie.

— Czy jesteś zajęty? — zapytał Colin.

— O Boże, skąd, proszę Pana, wszystko gotuje się samo.

— Więc będę ci zobowiązany, jeśli nauczysz mnie podstaw przeleć mnie — powiedział Colin. — Chodźmy do living-roomu, nastawię płytę.

— Radziłbym Panu tempo nastrojowe w stylu *Chloe* w aranżacji Duke'a Ellingtona albo *Concerto for Johnny Hodges...* Coś, co ci zza Atlantyku określają jako *moody* lub *sultry tune*.

VI — Główna zasada przeleć mnie — powiedział Mikołaj — którą
I Pan zna bez wątpienia, polega na wytworzeniu interferencji dwóch
źródeł poruszających się ruchem drgającym, rygorystycznie
synchronicznym.

— Nie przypuszczałem — powiedział Colin — że wchodzi tu w grę

zagadnienia z tak dalece zaawansowanej fizyki.

— W danym przypadku — powiedział Mikołaj — tancerz i tancerka trzymają się w niewielkiej odległości, wprawiając całe ciało w falowanie zgodne z rytmem muzyki.

— Tak? — rzekł Colin nieco zaniepokojony.

— Tworzy się wówczas system fal statycznych, składających się, jak w akustyce, z pętli i wybrzuszeń, co sprzyja powstaniu na sali tańca pewnej atmosfery.

— Niewątpliwie... — szepnął Colin.

— Zawodowcom w przeleć mnie — kontynuował Mikołaj — udaje się czasami wy-tworzyć źródła fal zakłócających wprowadzając oddzielnie w synchroniczne drgania niektóre członki. Ale dość tych wykładów, zaraz spróbuję panu pokazać, jak to się robi.

Colin wybrał *Chloe*, tak jak mu poradził Mikołaj, i umieścił płytę na talerzu adapteru. Delikatnie opuścił igłę na początek rowka i patrzył, jak Mikołaj wchodzi w wibracje.

VII I

— Na pewno się Panu uda! — zawołał Mikołaj. — Jeszcze jeden wysiłek.

— Ale dlaczego — zapytał zlany potem Colin — wybiera się wolny kawałek? Przecież to jest o wiele trudniejsze.

— Jest pewien powód — powiedział Mikołaj. — Na ogół tancerz i tancerka trzymają się w średniej odległości jedno od drugiego. Przy wolnej muzyce można dojść do regulacji falowania, w taki sposób aby źródła stałe znalazły się w połowie wysokości obojga partnerów: poruszają się więc stopy i głowa. Jest to rezultat, który, teoretycznie, powinno się osiągnąć. Lecz, co jest pozałowania godne, zdarzają się osoby bez skrupułów, które tańczą przeleć

mnie na sposób czarnuchów w tempie szybkim.

— To znaczy? — zapytał Colin.

— To znaczy że przy jednym źródle stałym w stopach, przy drugim w głowie i, niestety, przy ruchomym elemencie pośrednim na wysokości lędźwi, punktami stałymi, bądź pseudospojeniami, pozostają jedynie kolana i mostek.

Colin spłoszył.

— Rozumiem — powiedział.

— Przy boogie — podsumował Mikołaj — efekt jest, nie bójmy się tego powiedzieć, jeszcze bardziej obsceniczny, zważywszy, że melodia jest na ogół obsesyjna.

Colin trwał pogrążony w rozmyślaniach.

— Gdzie nauczyłeś się przeleć mnie? — zapytał Mikołaja.

— Nauczyła mnie siostrzenica... — powiedział Mikołaj. — Kompletną teorię przeleć mnie sporządziłem na podstawie rozmów z moim szwagrem. Jest członkiem Akademii, o czym Pan bez wątpienia wie, i uchwycenie metody nie stanowiło dla niego problemu. Powiedział mi nawet, że udało mu się to dziewiętnaście lat temu...

— Twoja siostrzenica ma osiemnaście lat? — zapytał Colin.

— I trzy miesiące... — sprostował Mikołaj. — Jeżeli nie jestem już Panu potrzebny, wrócę do kuchni.

— Idź, Mikołaju, i dziękuję — powiedział Colin zdejmując płytę, która właśnie zatrzymała się.

IX — Włożę beżowy garnitur i niebieską koszulę, beżowo-czerwony krawat, dziurkowane zamszowe buty i czerwono-beżowe skarpetki.

— Najpierw dokonam ablucji, ogolę się i dokładnie obejrzę. I pójdę do kuchni zapytać Mikołaja:

— Mikołaju, czy zechcesz udać się ze mną na tańce?

— O Boże — powiedział Mikołaj, jeśli Pan bardzo nalega, to pójdę, lecz w przeciwnym razie byłbym szczęśliwy, mogąc uregulować kilka spraw, których pilność jest doprawdy nagląca.

— Czy będę niedyskretny, Mikołaju, dopytując się, o co chodzi?

— Jestem — odparł Mikołaj — Przewodniczącym Kółka Filozoficznego Służb Domowych w naszej dzielnicy, a co za tym idzie, zmusza mnie to do pewnej obowiązkowości na spotkaniach.

— Nie śmiem, Mikołaju, zapytać cię o temat dzisiejszych obrad...

— Będziemy mówili o zaangażowaniu. Stwierdzono istnienie pewnej paraleli między zaangażowaniem zgodnym z teorią Jean-Sol Partra a zaangażowaniem, lub ponownym zaangażowaniem się w wojny kolonialne i zaangażowaniem bądź wypłacaniem gaży przez osoby prywatne służbom zwanym domowymi.

— To by dopiero mogło zainteresować Chicka! — powiedział Colin.

— Przykro mi szalenie — powiedział Mikołaj — ale Kółko jest bardzo ekskluzywne. Pan Chick nie mógłby zostać przyjęty. Wyłącznie służby domowe...

— Dlaczego, Mikołaju — zapytał Colin — używasz cały czas liczby mnogiej?

— Z pewnością Pan zauważy — powiedział Mikołaj — że o ile słowo „służący” jest łagodne, o tyle „służąca” nabiera w sposób oczywisty agresywnego znaczenia...

— Masz rację, Mikołaju. Czy twoim zdaniem spotkam dzisiaj bratnią duszę? Pasowała-by mi bratnia dusza w rodzaju twojej siostrzenicy...

— Popelnia Pan błąd myśląc o mojej siostrzenicy — powiedział Mikołaj — wynika bowiem z ostatnich wydarzeń, że Pan Chick pierwszy dokonał wyboru.

— Ale, Mikołaju — powiedział Colin — ja tak bardzo chciałbym się

zakochać...

Delikatny obłoczek uniósł się z dzióbka, czajnika, a Mikołaj poszedł otworzyć. Dozorca przyniósł dwa listy.

— Jest jakaś poczta? — zapytał Colin.

— Bardzo Pana przepraszam, ale oba są do mnie. Czyżby Pan oczekiwał jakichś no-win?

— Chciałbym, żeby napisała do mnie jakaś panienka — rzekł Colin. — Pokochałbym ją bardzo.

— Akurat mamy południe — uciał Mikołaj. — Czy zechciałby Pan zjeść śniadanie? — Jest mielony ogon wołowy i dzbanek aromatycznego ponczu z maślanymi grzankami z anchois.

— Mikołaju, dlaczego Chick nie chce przyjść na obiad z twoją siostrzenicą, jeśli nie zaproszę jakiejś innej panienki?

— Zechce mi Pan wybaczyć — powiedział Mikołaj ale ja postąpiłbym tak samo. Pan jest niewątpliwie dość przystojnym chłopcem...

— Mikołaju — powiedział Colin — jeśli dziś wieczór nie zakocham się, ale tak naprawdę, ja... zacznę kolekcjonować dzieła Księżnej de Bovouard i zrobię brzydki kawał mojemu przyjacielowi Chickowi.

X — Chciałbym się zakochać — powiedział Colin.— Ty chciałbyś się zakochać. On chciałby się zakochać. My, wy chcielibyśmy, chcielibyście się. Oni również chcieliby się zakochać...

Wiązał krawat przed lustrem w łazience.

— Została mi do włożenia marynarka i płaszcz, i szalik, i rękawiczka prawa, i rękawiczka lewa. A kapelusza nie, żeby się nie potargać. A ty, co tu robisz?

Zwrócił się do szarej czarnowąsej myszy, która z pewnością nie

znajdowała się na swo-im miejscu, siedząc w kubku do mycia zębów, nawet jeśli wspierała się łokciami o brzeg tegoż kubka przybrawszy obojętną minę.

— Wyobraź sobie — powiedział do myszy, siadając na brzegu wanny (prostokątnej i żółto emaliowanej), żeby się do niej przybliżyć — że u Przemądrzalskich zjawi się mój stary przyjaciel...

Mysz przytaknęła.

— Wyobraź sobie, bo czemu by nie? że ma on kuzynkę. Byłaby ubrana w biały sweter, żółtą spódnicę i nazywałaby się Al... na przykład Iza...

Mysz skrzyżowała łapki i zdawała się być zaskoczona.

— Być może nie jest to ładne imię — powiedział Colin. — Ale ty jesteś myszą, a masz wąsy. No i co?

Podniósł się.

— Już trzecia. Widzisz, ile czasu przez ciebie tracę, Chick i... Chick przyjdzie z pewnością bardzo wcześnie.

Poślinił palec i uniół go nad głowę. Prawie natychmiast opuścił go z powrotem. Buchało jak z pieca.

— Miłość unosi się w powietrzu — stwierdził. — Niezle grzeje.

— Ja wstaję, ty, on wstaje, my, wy, oni wstajemy, wstajecie, wstają. Chcesz wyjść z kubka?

Mysz dowiodła, że nie potrzebuje niczyjej pomocy, wychodząc samodzielnie i odgryzając kawałek mydła w kształcie smoczka.

— Nie krusz wszędzie — powiedział Colin. — Ależ z ciebie łakomczucha!

Wyszedł, udał się do swojego pokoju i wdział marynarkę.

— Mikołaj pewnie już wyszedł... On to musi znać nadzwyczajne dziewczyny... Powiadają, że panienki z Auteuil służą u filozofów jako bony do prawie wszystkiego...

Zamknął drzwi do swego pokoju.

— Podszewka przy prawym rękawie trochę się odpruła... A ja nie mam już przyłepca... Trudno, przybiję gwoździem.

Drzwi zamknęły się za nim z odgłosem dłoni spadającej na nagi pośladek...
Aż za-drżał...

— Chcę myśleć o czymś innym... Powiedzmy, że stłukę sobie pysk na schodach...

Chodnik na schodach, w kolorze jasnej malwy, był zużyty tylko co trzeci stopień: istotnie Colin zawsze schodził w trymiga. Zaczepił nogą o niklowany drążek i uderzył się o po-ręcz.

— Będę miał nauczkę, żeby nie gadać głupot. Dobrze mi tak. Ja, ty jestem, on jest idiota!...

Coś go uwierało w plecy. Zszedłszy na dół zrozumiał, co to było, i wyciągnął cały drążek zza kołnierza swojego płaszcza.

Zewnętrzne drzwi zamknęły się za nim z odgłosem pocałunku złożonego na nagim ramieniu...

— A cóż ciekawego słysząc na ulicy?

Na pierwszym planie było widać dwóch robotników ziemnych grających w klasy. Brzuch tego większego podskakiwał w całkiem innym momencie niż jego właściciel. Zamiast kamyka używali pomalowanego na czerwono krucyfiks, przy którym brakowało krzyża.

Colin wyminął ich.

Po lewej i po prawej wznosiły się piękne konstrukcje lepierek z zasuwanyimi oknami. Jakaś kobieta wychylała się przez okno. Colin przesłał jej całusa, ona zaś strzepnęła mu na głowę dywanik spod łóżka, z czarno-srebrnego moltonu, którego nie lubił jej mąż.

Sklepy rozweselały okrutny wygląd potężnych budynków. Wystawa z towarami dla fakirów przyciągnęła uwagę Colina. Porównując z ubiegłym tygodniem, dostrzegł podwyżkę cen sałatki z tłuczonego szkła i gwoździ do wyściełania łóżek.

Minął psa i dwie inne osoby. Mróz zatrzymał ludzi w domach. Ci, którym udało się wyrwać z jego okowów, zostawiali strzępy ubrań i umierali na anginę.

Policjant na skrzyżowaniu owinął się z głową w pelerynę. Podobny był do wielkiego czarnego parasola. Kelnerzy z pobliskiej kawiarni biegali wokół niego dla rozgrzewki.

Dwoje zakochanych całowało się w bramie.

— Nie chcę ich widzieć... Ja nie, ja nie chcę ich widzieć... Nudzą mnie...

Colin przeszedł na drugą stronę ulicy. W bramie całowało się dwoje zakochanych.

Zamknął oczy i ruszył pędem.

Bardzo szybko je otworzył, bo przed oczami miał całe stada dziewczyn, a to mogło doprowadzić do zgubienia drogi. Jedna szła tuż przed nim. Podążała w tym samym kierunku. Widać było jej białe nogi wystające z białych barankowych botków, płaszcz z dekatyzowanej skóry pandura i dobrany toczek. Pod toczkiem rude włosy. Płaszcz poszerzał jej ramiona i tańczył wokół niej.

— Chcę ją wyprzedzić. Chcę zobaczyć jej twarz...

Wyprzedził ją i gorzko zapłakał. Liczyła co najmniej pięćdziesiąt dziewięć lat. Usiadł na skraju chodnika i jeszcze trochę popłakał. To przynosiło mu widoczną ulgę, a łzy zamarzały z cichym chrzęstem i rozpryskiwały się o gładki granit chodnika.

Po jakichś pięciu minutach spostrzegł, że znajduje się przed domem Izis Przemądrzalskiej. Obok niego przeszły dwie panienki i zniknęły w bramie budynku.

Jego serce nadmiernie wezbrało, stało się lekkie, poderwało go z ziemi i Colin wszedł za dziewczynami.

XI Już od pierwszego piętra można było usłyszeć niewyraźny zgiełk przyjęcia u rodzi-ców Izis. Schody trzykrotnie zakręcały i wzmacniały dźwięki na klatce, jak skrzydełka w cylindrycznym rezonatorze

wibrafonu. Colin wchodził z nosem na wysokości obcasów obu pańienek. Pięknie wzmocnione obcasy, z jasnego nylonu, wysokie buty z delikatnej skóry i szczupłe kostki. Wyżej szwy lekko zmarszczonych pończoch, podobne do długich gąsienic, i wyraźne zagłębienia między ścięgnami kolanowymi. Colin zatrzymał się i stracił dwa stopnie. Ruszył ponownie. Teraz widział brzeg pończoch tej z lewej, podwójny rząd oczek i ocienioną biel uda. Sukienka tej drugiej, płasko plisowana, nie dostarczała podobnej rozrywki, lecz pod bobrowym futrem jej biodra wydawały się być bardziej okrągłe niż tej drugiej i tworzyły załamującą się na przemian zmarszczkę. Colin, przez skromność, zaczął się przypatrywać jej stopom i spostrzegł, że stanęły na drugim piętrze.

Podążył za dwiema dziewczynami, którym pokojówka właśnie otworzyła.

— Dzień dobry, Colin — powiedziała Izis. — Jak się masz?

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w okolicę włosów, ładnie pachniała.

— Ależ to nie moje urodziny! — zaprotestowała Izis — tylko Duponta!...

— Gdzie jest Dupont? Niech mu powinszuję!...

— Obrzydlistwo — powiedziała Izis. — Dziś rano zaprowadziliśmy go do postrzygacza, żeby był piękny. Wykąpaliśmy go, a o drugiej przyszli tutaj trzej jego przyjaciele z paczką wstrętnych starych kości i zabrali go ze sobą. Na pewno wróci w opłakanym stanie!...

— W końcu to jego urodziny — zauważył Colin.

Przez szczelinę między podwójnymi drzwiami widział dziewczęta i chłopców. Kilkoro z nich tańczyło. Większość, stojąc jedni przy drugich z rękami założonymi do tyłu, w parach tej samej płci, wymieniała z niezbyt przekonanymi minami niezbyt przekonywające poglądy.

— Zdejmij płaszcz — powiedziała Izis. — Chodź, zaprowadzę cię do szatni męskiej.

Ruszył za nią, mijając w przejściu dwie inne pańienki, które, pobrzękując torebkami i puderniczkami, powracały z pokoju Izis przekształconego w szatnię damską. Pod sufitem wisiały żelazne haki wypożyczone od rzeźnika, a żeby

było ładniej, Izis pożyczyła również dwie dobrze wypatroszone głowy baranie, które uśmiechały się serdecznie.

Szatnia męska, założona w gabinecie ojca Izis, opierała swoje istnienie na fakcie usunięcia z niego wszelkich mebli. Rzucało się swoją kapotę i było po wyścigach. Colin nie omieszkał tak uczynić i zatrzymał się przed lustrem.

— No, chodźmy — niecierpliwiła się Izis. — Przedstawię cię czarującym paniąkom.

Przyciągnął ją do siebie za oba nadgarstki.

— Masz cudowną sukienkę — rzekł jej.

Była to całkiem zwyczajna wełniana sukienka w kolorze migdałowej zieleni, z wielkimi guzikami ze złoconej ceramiki i z kratką z kutego żelaza, tworzącą karczek na plecach.

— Podoba ci się? — zapytała Izis.

— Jest zachwycająca — rzekł Colin. — Czy można wsadzić rękę za kraty bez obawy, że coś ugryzie?

— Nie radzę ryzykować — powiedziała Izis.

Wyswobodziła się, schwyciła Colina za rękę i zaciągnęła go na środek całej tej łaźni. Rozepchnęli dwoje nowo przybyłych płci spiczastej, wpadli w poślizg na zakręcie korytarza i osiągnęli samo sedno przez drzwi jadalni.

— Coś podobnego!... — powiedział Colin. — Aliza i Chick już tu są?

— Tak — powiedziała Izis. — Chodź, to cię przedstawię...

Połowa paniątek nadawała się do przedstawienia. Jedna z nich nosiła wełnianą sukienkę w kolorze migdałowej zieleni, z wielkimi guzikami ze złoconej ceramiki i karczkiem o szczególnym kształcie.

— Przedstaw mnie zwłaszcza tamtej — powiedział Colin.

Izis potrząsnęła nim, żeby go uspokoić.

— Będziesz wreszcie grzeczny?

A on obserwował już całkiem inną i ciągnął za rękę swoją przewodniczkę.

— To jest Colin — powiedziała Izis. — Colin, przedstawiam ci Chloe.

Colin przełknął ślinę. W ustach czuł niesmak przypalonych racuchów.

— Dzień dobry! — powiedziała Chloe...

— Dzień... czy jesteś zaaranżowana przez Duke'a Ellingtona? — zapytał Colin... I zaraz uciekł, bo był przekonany, że palnął głupstwo.

Chick złapał go za połę marynarki.

— Gdzie tak pędzisz? Chyba nie chcesz już iść? Popatrz!...

Wyciągnął z kieszeni książeczkę oprawioną w czerwony safian.

— Jest to pierwsze wydanie *Paradoksu o Wymiocinach* Partra...

— Więc jednak go dopadłeś? — zapytał Colin.

Ale przypomniał sobie, że właśnie ucieka, i uciekł.

Drogę zagroziła mu Aliza.

— Więc to tak, uciekasz, nie zatańczywszy nawet ze mną jeden jedyny raz? — stwierdziła.

— Wybacz mi — powiedział Colin — lecz właśnie się zbłądziłem i głupio mi tu zostać.

— Jednak kiedy się tak na ciebie patrzy, to nie pozostaje nic innego, jak tylko to zaakceptować...

— Alizo... — jęknął Colin — obejmując ją i przyciskając policzek do jej włosów.

— Co takiego, mój stary?

— Niech to licho, gęś i szlag! Psiakrew, cholera jasna. Widzisz tamtą dziewczynę?

— Chloe?...

— Znasz ją?... — zapytał Colin. — Palnąłem jej głupotę i właśnie dlatego uciekałem.

Nie dodał, że w klatce piersiowej czuł coś na kształt niemieckiego marsza wojskowego, w którym słychać jedynie wielki bęben.

— Jest piękna, nieprawdaż? — zapytała Aliza.

Chloe miała karminowe usta, brązowe włosy, szczęśliwą minę, a jej

sukienka nie miała z tym nic wspólnego.

— Ja się nie ośmielę! — powiedział Colin.

Potem jednak puścił Alizę i poszedł poprosić Chloe. Popatrzyła na niego. Uśmiechnęła się i położyła prawą rękę na jego ramieniu. Czuł jej delikatne palce na swojej szyi. Zmniejszył odległość między ciałami za pomocą przekazanego z mózgu, przez parę roztropnie wybranych nerwów czaszkowych, skurczu prawego bicepsa.

Chloe spojrzała na niego raz jeszcze. Miała błękitne oczy. Potrząsnęła głową, żeby od-rzucić w tył swoje kędzierzawe i lśniące włosy i zdecydowanym ruchem przyłożyła skroń do policzka Colina.

Wokół nastąpiła gęsta cisza, a większa część całej reszty świata przestała się liczyć.

Lecz, jak tego można było oczekiwać, płyta się skończyła. Dopiero wówczas Colin po-wrócił do rzeczywistości i spostrzegł, że sufit jest przezroczysty i zaglądamy przez niego sąsiedzi z góry, że gęsta grzywa morskich irysów zakrywa dolną część ścian, a kłęby różnokolorowych gazów wydobywają się z rozmieszczonych tu i ówdzie otworów oraz że jego przyjaciółka Izis stoi przed nim i podaje mu w niecce kruche ciasteczka.

— Dziękuję, Izis — powiedziała Chloe, potrząsając lokami.

— Dziękuję, Izis — powiedział Colin, biorąc miniaturowego eklerka z gatunku rozgałęzionych.

— Żałuj — zwrócił się do Chloe. — Są wyśmienite.

I zaraz się zakrztusił, natrafiwszy nieszczęśliwie na drut kolczasty ukryty w ciastku.

Chloe uśmiechnęła się, ukazując swe piękne zęby.

— Co się stało?

Musiał ją opuścić i odszedł, żeby wykaszleć się do woli, aż wreszcie uspokoił się. Chloe podeszła z dwoma szklankami.

— Wypij to — powiedziała — poczujesz się lepiej.

— Dziękuję — odparł Colin. — To szampan?

— To taka mieszanka.

Wypił tęgi łyk i omal się nie udusił. Chloe nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Chick i Aliza podeszli do nich.

— Co się stało? — zapytał Chick.

— On nie umie pić! — powiedziała Chloe.

Aliza walnęła go delikatnie w plecy, aż zadudniło jak balijski gong. Wszyscy od razu przestali tańczyć i ruszyli do stołu.

— No, wreszcie — ucieszył się Chick. — Mamy święty spokój. Może by tak nastawić jakąś dobrą płytę?

Puścił oko do Colina.

— A gdyby tak zatańczyć przeleć mnie? — zaproponowała Aliza.

Chick myszkował w stercie płyt koło gramofonu.

— Zatańcz ze mną, Chick — poprosiła Aliza.

— Już — powiedział Chick — tylko puszczyć płytę.

Było to boogie-woogie.

Chloe czekała.

— Chyba nie będziecie tańczyć przeleć mnie pod tę melodię?... — zapytał oburzony Colin.

— Czemu by nie?... — odparł Chick.

— Nie patrz na to — powiedział Colin do Chloe.

Pochylił lekko głowę i pocałował ją między uchem a ramieniem. Zadrzała, lecz nie odsunęła główki.

Colin również nie cofnął ust.

Tymczasem Aliza i Chick oddawali się imponującej demonstracji przeleć mnie w stylu murzyńskim.

Płyta przeszła bardzo szybko. Aliza wyrwała się i poszła szukać następnej. Chick opadł na tapczan. Colin i Chloe stali na wprost niego. Złapał ich za nogi i obalił obok siebie.

— No, jak tam robaczki, w porządku?

Colin usiadł, a Chloe usadowiła się koło niego.

— Miłe dziewczę, no nie? — zauważył Chick.

Chloe uśmiechnęła się. Colin nic nie odrzekł, tylko oplótł ramieniem szyję Chloe i zaczął bawić się od niechcienia pierwszym guzikiem jej sukienki, która rozpinana się z przodu.

Nadchodziła Aliza.

— Posuń się, Chick, chcę usiąść między Colinem a tobą.

Umiała wybrać płytę. Była to *Chloe* w aranżacji Duke'a Ellingtona. Colin skubał zęba-mi włosy Chloe w okolicy ucha. Wyszeptał:

— To właśnie cała ty.

I zanim Chloe zdążyła coś odpowiedzieć, cała reszta powróciła na parkiet, zdawszy sobie w końcu sprawę, że chwila była jednak nieodpowiednia na zasiadanie do stołu.

— Och!... — powiedziała Chloe — jaka szkoda!...

XII — Czy spotkasz się z nią jeszcze? — zapytał Chick.

Siedzieli właśnie przy stole, nad ostatnim dziełem Mikołaja, nad kabaczką nadziewaną orzechami.

— Nie wiem — powiedział Colin. — Nie wiem, co robić. No wiesz, to dobrze wychowana dziewczyna. Ostatnim razem, u Izis, wypiła za dużo szampana...

— Było jej z tym całkiem do twarzy — powiedział Chick. — Jest bardzo ładna. Nie rób takiej miny!... — Wyobraź sobie, że dziś znalazłem wydanie *Wstępnego Wyboru przed Nudnościami Partra* na nieząbkowanym papierze toaletowym...

— Skąd ty bierzesz na to pieniądze? — zapytał Colin.

Chick spochmurniał.

— Drogo mnie to kosztuje, lecz nie mogę się bez niego obejść. Potrzebuję Partra. Jestem kolekcjonerem. Muszę mieć wszystko, co napisał.

— Ależ on bez przerwy coś pisze — zauważył Colin. — Publikuje co najmniej pięć artykułów tygodniowo...

— Dobrze o tym wiem — powiedział Chick...

Colin nałożył mu kabaczki.

— A jak mógłbym znów spotkać Chloe? — zapytał.

Chick spojrzał na niego i uśmiechnął się.

— No tak — powiedział. — A ja ci tu zawracam głowę historiami o Jean-Sol Partrze. Bardzo chciałbym ci pomóc... Co mogę dla ciebie zrobić?...

— To straszne — rzekł Colin. — Jestem jednocześnie zrozpaczony i okropnie szczęśliwy. Jak to przyjemnie mieć na coś ochotę do tego stopnia.

— Chciałbym — kontynuował — położyć się w lekko spalonej trawie, na suchej ziemi, w pełnym słońcu, wiesz, w trawie żółtej jak słoma, łamliwej, pełnej małych żyjatek i równie suchego mchu. Można położyć się na brzuchu i obserwować. Potrzebne jest jeszcze ogrodzenie z kamieni i koślawe drzewa i zielone listki. Wtedy jest tak błogo.

— I Chloe? — zapytał Chick.

— I Chloe, oczywiście — powiedział Colin. — I Chloe w wyobraźni.

Milczeli przez kilka chwil. Skorzystała z tego karafka wydając krystaliczny dźwięk, który odbił się od ścian.

— Nalej sobie jeszcze wina — powiedział Colin.

— Dobrze — odpowiedział Chick.

— Dziękuję.

Mikołaj wnosił właśnie ciąg dalszy, chleb ananasowy w pomarańczowym kremie.

— Dziękuję, Mikołaju — powiedział Colin. — Jak sądzisz, co powinienem uczynić, aby znów spotkać się z dziewczyną, w której się zakochałem?

— O Boże, proszę Pana — powiedział Mikołaj — taki fakt rzeczywiście może zai-stnieć... Muszę wyznać Panu, że nigdy mi się nic takiego nie przydarzyło.

— No jasne — powiedział Chick. — Jesteś zbudowany jak Johnny Weismüller. Ale to w końcu nie jest regułą!

— Dziękuję Panu za tę ocenę, która zapadnie głęboko w me serce — odrzekł Mikołaj. — Radziłbym — ciągnął, zwracając się do Colina — postarać się o zgromadzenie za pośrednictwem osoby, u której spotkał Pan tę, której obecności wydaje się Panu brakować, pewnych informacji o obyczajach i miejscach uczęszczanych przez tę ostatnią.

— Mimo złożoności twoich sformułowań — powiedział Colin — sędzę, Mikołaju, że faktycznie istnieje taka możliwość. Ale sam rozumiesz, zakochany to jak idiota. Właśnie dla-tego nie powiedziałem Chickowi, że myślałem o tym już od dawna.

Mikołaj powrócił do kuchni.

— Ten chłopak jest nieoceniony — stwierdził Colin.

— Tak — powiedział Chick — naprawdę potrafi kucharzyć.

Napili się jeszcze wina. Nadchodził Mikołaj niosąc olbrzymi tort.

— Jest to dodatkowy deser — powiedział.

Colin wziął nóż i powstrzymał się w momencie, gdy miał już zadrasnąć gładką powierzchnię.

— Jest zbyt piękny. Zaczekamy chwilę.

— Oczekiwanie — powiedział Chick — jest jak preludium w tonacji minorowej.

— A ty skądżeś to wytrzasnął? — zapytał Colin.

Ujął szklankę Chicka i napełnił ją złocistym winem, ciężkim i ruchliwym jak zagęszczony eter...

— Nie wiem — powiedział Chick. — To taka niespodziewana myśl.

— Skosztuj! — powiedział Colin.

Wspólnie wychylili kielichy.

— Straszliwe!... — powiedział Chick, którego oczy zaczęły świecić jak dwie czerwona-we, migocące latarnie.

Colin trzymał się za pierś.

— O, nie, to jeszcze lepsze — powiedział. — To nie przypomina mi nic znanego.

— No i co z tego — powiedział Chick. — Ty też jesteś niepodobny do czegokolwiek znanego.

— Jestem pewien — powiedział Colin — że jeśli wypijemy tyle, ile trzeba, Chloe zjawi się tu natychmiast.

— Tego należałoby dowieść! — powiedział Chick.

— Prowokujesz mnie! — odrzekł Colin wyciągając kieliszek.

Chick napełnił oba.

— Zaczekaj! — powiedział Colin.

Zgasił żyrandol i lampę oświetlającą stół. Jedyne w kącie świeciła zielona lampka przy szkockiej ikonie, przed którą Colin zazwyczaj oddawał się medytacjom.

— Och!... — szepnął Chick.

W kryształach wino lśniło fosforyzującym i niewyraźnym blaskiem, który, rzec by można, emanował z miriady świetlnych, różnokolorowych punkcików.

— Pij! — powiedział Colin.

Wypili. Poświata pozostała na ich wargach. Colin ponownie zapalił światło. Wyglądał, jakby się wahał, czy stać dalej, czy usiąść.

— Wyjątek nie czyni reguły — powiedział. — Myślę, że możemy dokończyć butelkę.

— A może pokroimy tort? — zaproponował Chick.

Colin wziął srebrny nóż i zaczął kreślić spiralę na wygładzonej bieli tortu. Nagle zatrzymał się i spojrzał na swoje dzieło ze zdziwieniem.

— Mam pewien pomysł — rzekł.

Urwał liść ostrokrzewu z bukietu stojącego na stole i podniósł tort. Zakręciwszy nim szybko na czubku palca, drugą ręką umieścił jeden z kolców ostrokrzewu w rowku spirali.

— Słuchaj!... — powiedział.

Chick słuchał. To była *Chloe* w aranżacji Duke'a Ellingtona.

Chick spojrzał na Colina. Był całkiem blady.

Chick wziął nóż z jego rąk i stanowczym ruchem wbił go w tort. Przekroił go na pół, a wewnątrz był nowy artykuł Partra dla Chicka i randka z *Chloe* dla Colina.

XIII Colin czekał na *Chloe* stojąc w kącie placu. Plac był okrągły, znajdowały się tam gołębie, skwerek i ławki oraz kościół przed nim, na makadamie auta i autobusy. Słońce także czekało na *Chloe*, ale mogło przynajmniej zabawić się robieniem cieni, zmuszaniem do kiełkowania ziarenek dzikiej fasoli w odpowiednich szparkach, trzaska-niem okiennicami i zawstydzaniem latarni zapalanej na skutek nieświadomości ze strony jakiegoś gazownika.

Colin rolował brzeg swoich rękawiczek i przygotowywał pierwsze zdanie. Zmieniało się ono coraz szybciej, w miarę jak zbliżała się właściwa godzina. Nie wiedział zupełnie, co robić z *Chloe*. Może zaprosić ją do herbaciarni, ale atmosfera jest tam na ogół niemiła i jeszcze te czterdziestoletnie żarłoczne damy, które zjadają siedem kremówek, odchylając przy tym mały palec, paskudztwo. Obżarstwo uznawał jedynie u mężczyzn, u których nabiera ono zgoła innego znaczenia, nie ujmując im przy tym wrodzonej godności. Do kina też nie, na pewno nie będzie chciała. Na posłodrom też nie, bo nie będzie się jej podobało. Na wyścigi cieląt też nie, bo się będzie bała. Do Szpitala Dzieciątka Jezus też nie, bo to zabronione. Nie do Luwru, bo za asyryjskimi cherubinami

kryją się obleśni starcy. Na Dworzec Świętego Łazarza też nie, bo tam są tylko same taczki i ani jednego pociągu.

— Dzień dobry!...

Chloe zaszła go od tyłu. Ściągnął szybko rękawiczkę. Zaplątał się w nią, palnął się pięścią w nos, krzyknął „Aj!...” i uściskał jej dłoń. Śmiała się.

— Ale masz zakłopotaną minę!...

Miała futro z długim włosiem, w kolorze włosów, toczek również futrzany i krótkie botki z futrzanymi cholewkami.

Ujęła Colina pod rękę.

— Podaj mi ramię. Coś dzisiaj nie jesteś zbyt śmiały!...

— Ostatnim razem szło lepiej — przyznał Colin.

Znów się zaśmiała. Spojrzała na niego i zaśmiała się jeszcze głośniej.

— Żartujesz sobie ze mnie — markotnie powiedział Colin. — To nie po chrześcijańsku.

— Cieszysz się, że mnie widzisz? — zapytała Chloe.

— Tak!... — powiedział Colin.

Szli pierwszym napotkanym chodnikiem. Mała różowa chmurka spłynęła z góry i zbliżała się w ich kierunku.

— Idę! — ostrzegła.

— Idź! — zezwolił Colin.

I chmurka szczelnie ich otoczyła. Wewnątrz było ciepło i pachniało cukrem cynamono-wym.

— Już nas nie widać — stwierdził Colin... — A my widzimy ich wszystkich.

— Trochę prześwituje — powiedziała Chloe. — Lepiej uważaj.

— Nie szkodzi, tak jest przyjemniej — powiedział Colin. — Co chciałabyś robić?

— Po prostu spacerować... Nie podoba ci się to?

— To opowiedz jakąś historię...

— Nie znam się na historii zbyt dobrze — odparła Chloe. — Możemy oglądać wystawy. Popatrz na tę!... Dość ciekawa.

W witrynie piękna kobieta spoczywała na sprężynującym materacu. Była naga, a jakiś aparat szorował jej piersi pod włos za pomocą długich jedwabistych szczotek z białego delikatnego włosia. Na plakacie widniał napis: „Zaoszczędzicie butów dzięki „Antypodzie Wielebnego Karola”.

— Niezły pomysł — powiedziała Chloe.

— Ależ to nie ma żadnego związku!... — zauważył Colin. — O wiele przyjemniej robić to ręcznie.

Chloe splonęła się.

— Nie mów takich rzeczy. Nie lubię chłopców, którzy plotą podobne okropieństwa w obecności dziewcząt.

— Przepraszam najmocniej... — powiedział Colin — ja nie chciałem...

Minę miał tak skruszoną, że uśmiechnęła się i lekko go poklepała, żeby pokazać, że już się tak bardzo nie gniewa.

Na następnej wystawie grubas w rzeźnickim fartuchu szlachtował sierotki. Była to witryna propagandowa Opieki Społecznej.

— Oto dokąd idą nasze pieniądze — powiedział Colin. — Sprzątanie tego co wieczór musi okropnie drogo kosztować.

— One chyba nie są prawdziwe!... — krzyknęła zaniepokojona Chloe.

— Któż to może wiedzieć? — rzekł Colin. — W Opiece Społecznej mają ich na kopy...

— Nie podoba mi się to — powiedziała Chloe. — Kiedyś nie było takich wystaw propagandowych. Wcale nie uważam, żeby na tym polegał postęp.

— To bez znaczenia — powiedział Colin. — Działa tylko na tych, którzy wierzą w te bzdury.

— A to?... — spytała Chloe.

Na wystawie stał brzuch na gumowych kółkach, mocno zaokrąglony i dobrze napchany. Na kartce można było przeczytać: „Twój również nie będzie

się marszczył, jeśli wyprasujesz go Żelazkiem Elektrycznym.”

— Ależ ja go znam!... — powiedział Colin. — To brzuch Sierioży, mojego poprzednie-go kucharza!... Co on tu może robić?

— Nic nie robi — powiedziała Chloe. — Daj już spokój z tym brzuchem. I tak jest zbyt tłusty...

— Bo on naprawdę znał się na kuchni!...

— Chodźmy stąd — powiedziała Chloe. — Mam już dość wystaw, nie podobają mi się.

— A co będziemy robić? — zapytał Colin. — Może pójdziemy gdzieś na herbatę?

— Och!... Pora jest niewłaściwa.... a poza tym ja tego zbytnio nie lubię. Colin westchnął z ulgą i pękły mu szelki.

— Co to za dźwięk?

— Nastąpiłem na suchą gałązkę — wyjaśnił Colin czerwieniejąc.

— A gdybyśmy tak poszli do Lasku? — zapytała! Chloe.

Colin spojrzał na nią uszczęśliwiony.

— Wspaniały pomysł. Nikogo tam nie będzie.

Chloe spłoszyła.

— To wcale nie dlatego. A zresztą — dorzuciła, żeby się zemścić — nie zejdziemy z głównych alejek, bo gdzie indziej można pomoczyć sobie nogi.

Przycisnęła trochę mocniej ramię, które czuł przy swoim.

— Pójdziemy przejściem podziemnym — powiedział.

Po obu stronach przejścia ciągnęły się szeregi wielkich wolier, w których Układacze Miejscy składowali gołębie zamienne na Skwery i Pomniki. Była także Szkółka wróbli i słychać było ćwierkanie małych wróbelków. Ludzie rzadko tamtędy przechodzili, bowiem skrzydła wszystkich tych ptaków robiły straszny przeciąg, który unosił maleńkie białe i niebieskie piórka.

— Czy one nigdy nie przestaną się kręcić? — zapytała Chloe — poprawiając toczek, tak by nie uleciał.

— To nie są te same przez cały czas — zauważył Colin.

Walczył z połami swojego płaszcza.

—Przejdźmy szybko przez gołębie. Wróble robią mniejszy wiatr — powiedziała Chloe, tuląc się do Colina.

Przyspieszyli kroku i wyrwali się z niebezpiecznej strefy. Chmurka nie popłynęła za nimi. Ruszyła na skróty i czekała już na nich po drugiej stronie.

XI V

Ławka wydawała się lekko wilgotna i ciemnozielona. Mimo wszystko ta alejka nie była nazbyt uczęszczana, było im więc całkiem dobrze.

— Nie jest ci zimno? — zapytał Colin.

— Nie, dzięki tej chmurce — odparła Chloe. — Ale... i tak mam ochotę się przysunąć.

— Och!... — westchnął Colin i zaczerwienił się.

Wywołało to w nim dziwne uczucie. Objął ramieniem talię Chloe. Jej toczek był prze-krzywiony na drugą stronę, więc miał tuż przy ustach gęstwiny lśniących włosów.

— Bardzo lubię być z tobą — powiedział.

Chloe nic nie odrzekła. Oddychała nieco szybciej i przytuliła się niepostrzeżenie.

Colin mówił jej prawie do ucha.

— Nie nudzisz się? — zapytał.

Potrząsnęła głową, a Colin przybliżył się jeszcze bardziej, korzystając z tego ruchu.

— Ja... — szepnął jej w samo ucho, a ona w tym momencie, jakby przez pomyłkę, odwróciła głowę i Colin pocałował ją w usta. Nie trwało to długo, ale już następnym razem było znacznie lepiej. Toteż zanurzył twarz we włosy Chloe

i tak pozostali bez słowa.

X
V

— To miło, że przyszłaś, Alizo — powiedział Colin. — Tyle, że będziesz jedyną dziewczyną...

— Nie szkodzi — odpowiedziała. — Chick się zgodził.

Chick przytaknął. Lecz, prawdę mówiąc, głos Alizy nie był całkiem wesoły.

— Chloe nie ma teraz w Paryżu — powiedział Colin. — Wyjechała z krewnymi na trzy tygodnie na Południe.

— Ach! — westchnął Chick — ależ musisz być nieszczęśliwy!

— Nigdy w życiu nie byłem bardziej szczęśliwy! Chciałem wam oznajmić o naszych zaręczynach...

— Gratuluję — rzeki Chick.

Starł się nie patrzeć na Alizę.

— A co z wami? — zapytał Colin. — Coś nie wygląda, żeby wszystko grało.

— Wszystko w porządku — powiedziała Aliza. — Tylko Chick jest głuptas.

— Ależ skąd — zaprzeczył Chick. — Nie słuchaj jej, Colin... Wszystko w porządku.

— Oboje mówicie to samo, a jednak się nie zgadzacie — powiedział Colin — a więc jedno z was kłamie albo nawet oboje. Chodźmy na obiad.

Przeszli do jadalni.

— Siadaj, Alizo — poprosił Colin. — Usiądź koło mnie, powiesz mi, co się dzieje.

— Chick jest głuptas. Twierdzi, że źle robi zatrzymując mnie przy sobie, bo nie ma dość pieniędzy, żeby zapewnić mi godziwe życie i jest mu wstyd, że jeszcze się ze mną nie ożenił.

— Jestem łajdakiem — powiedział Chick.

— Nie wiem, co wam radzić — powiedział Colin.

Był tak szczęśliwy, że sprawiło mu to ogromną przykrość.

— Nie chodzi tu wyłącznie o pieniądze — powiedział Chick. — Idzie o to, że rodzice Alizy nigdy nie zechcą, żeby ona za mnie wyszła, i będą mieli rację. Podobna historia jest opisana w jednej z książek Partra.

— To doskonała książka — powiedziała Aliza. — Nie czytałeś jej, Colinie?

— I tak właśnie wygląda rozmowa z wami — powiedział Colin. — Jestem pewien, że na to idą całe wasze pieniądze.

Chick i Aliza spuścili głowy.

— To moja wina — powiedział Chick. — Aliza nie wydaje już ani grosza na Partra. Odkąd jest ze mną, prawie wcale się nim nie zajmuje.

W jego głosie wyczuć można było wymówkę.

— Kocham ciebie bardziej niż Partra — odrzekła Aliza bliska płaczu.

— Jesteś bardzo miła — powiedział Chick. — Nie jestem wart ciebie. Lecz kolekcjonowanie Partra to moja słabość, a zwykły inżynier nie może sobie na wszystko pozwolić.

— Bardzo mi przykro — powiedział Colin. — Tak chciałbym, żeby wam się wszystko dobrze układało. Rozłóżcie serwetki.

Pod serwetką Chicka spoczywał oprawny w skórę półskunksa egzemplarz *Wymiotów*, a u Alizy gruby złoty pierścień w kształcie mdłości.

— Och!... — powiedziała Aliza.

Oplotła ramionami szyję Colina i ucałowała go.

— Fajny z ciebie chłop — powiedział Chick. — Nie wiem, jak ci dziękować; sam zresztą rozumiesz, że nie mogę ci podziękować, tak jak bym chciał...

Colin poczuł się nieco podniesiony na duchu. Aliza była naprawdę piękna tego wieczora.

— Jakich perfum używasz? — zapytał. — Chloe perfumuje się olejkiem z

podwójnie destylowanej orchidei.

— Nie używam perfum — powiedziała Aliza.

— To zapach naturalny — dodał Chick.

— To cudowne!... Pachniesz lasem, w którym płynie strumyk i kicają małe króliczki.

— Opowiadaj nam o Chloe!... — powiedziała Aliza mile połączona.

Mikołaj wnosił przystawki.

— Dzień dobry, Mikołaju — powiedziała Aliza. — Jak się masz?

— Dziękuję — odpowiedział Mikołaj.

Postawił tacę na stole.

— Nie pocałujesz mnie? — zapytała Aliza.

— Nie krępuj się, Mikołaju — powiedział Colin. — Przeciwnie, sprawisz mi wielką przyjemność, jeżeli zjesz z nami...

— Och! Tak... — potwierdziła Aliza. — Zjedz z nami.

— Pan wprawia mnie w zakłopotanie — odparł Mikołaj. — Nie mogę zasiąść do stołu w tym stroju...

— Posłuchaj, Mikołaju — rzekł Colin. — Idź się przebrać, jeśli chcesz, lecz ja rozkazuję ci zjeść obiad razem z nami.

— Dziękuję Panu — odpowiedział Mikołaj. — Idę się przebrać. — Pozostawił tacę na stole i wyszedł.

— No więc? — spytała Aliza — co z Chloe?

— Częstujcie się — powiedział Colin. — Nie wiem, co to jest, ale powinno być niezłe.

— Każesz nam czekać!... — niecierpliwił się Chick.

— Ożenię się z Chloe za miesiąc — powiedział Colin. — A tak chciałbym, żeby to było już jutro!...

— Och! — westchnęła Aliza. — Szczęśliwcy z was.

Colinowi było wstyd, że jest tak bogaty.

— Posłuchaj, Chick. Czy chcesz trochę moich pieniędzy?

Aliza popatrzyła na Colina z czułością. Był tak miły, że widziało się w żyłach jego rąk pulsujące błękitne i fiołkowe myśli.

— Nie sądzę, aby to pomogło — stwierdził Chick.

— Mógłbyś poślubić Alizę — powiedział Colin.

— Jej rodzice nie zechcą — powiedział Chick. — A ja nie życzę sobie, żeby się z nimi kłóciła. Jest jeszcze zbyt młoda...

— Wcale nie jestem taka młoda — powiedziała Aliza, prostując się na wyścielanej ławie, żeby podkreślić swoje prowokujące piersi.

— Jemu wcale nie o to chodzi!... — przerwał Colin. — Posłuchaj, Chick, mam sto tysięcy dublezonów, dam ci jedną czwartą i będziesz mógł żyć spokojnie. Będziesz dalej pracował i jakoś to się ułoży.

— Nigdy nie będę mógł ci dostatecznie się odwdziaczyć — powiedział Chick.

— Nie dziękuj — powiedział Colin. — Mnie nie interesuje szczęście wszystkich ludzi, ale każdego z osobna.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

— Pójdę otworzyć — powiedziała Aliza. — Jestem w końcu najmłodsza, sam mi to wypominałeś...

Podniosła się i jej stopki delikatnie zaszurały po sprężystym dywanie. To był Mikołaj, który wszedł kuchennymi schodami. Teraz wracał odziany w płaszcz z gęstego godonu w beżowo-zieloną jodelkę oraz w ekstra płaski filcowy amerykański kapelusz. Miał rękawiczki z zaszlachtowanego prosiaka, trzewiki z zawiesistego gawiala, a gdy zdjął płaszcz, pojawił się w całej okazałości w marynarce z kasztanowego aksamitu z wybrzeżem kości słoniowej i w naftowogranatowych spodniach o mankietach szerokich na pięć palców i kciuk.

— Och! — zawołała Aliza. — Ależ jesteś szykowny!...

— Jak się masz, siostrzenico? Jak zwykle piękna?...

Pogłaskał ją po piersiach i biodrach.

— Siadaj do stołu — powiedziała Aliza.

— Witajcie, przyjaciele — rzekł Mikołaj, wchodząc do jadalni.

— No — powiedział Colin. — Wreszcie zdecydowałeś się mówić po ludzku!...

— Jasne! — potwierdził Mikołaj. — To umiem również. Lecz powiedz — kontynuował — może wszyscy czworo przeszlibyśmy na ty?

— Zgoda — powiedział Colin. — Kłapnij sobie.

Mikołaj usiadł naprzeciw Chicka.

— Nałóż sobie — powiedział ten ostatni.

— Chłopaki — zawołał Colin. — Czy zechcielibyście zostać moimi drużbami?

— Pewnie — przytaknął Mikołaj. — Bylebyś nas tylko nie skojarzył z jakimiś paskudnymi babskami, co? Jasne jak słońce...

— Zamierzam zaprosić Alizę i Izis, aby zostały druhnami — powiedział Golin — a braci Desmaret, żeby byli pederastami weselnymi.

— Umowa stoi! — zawołał Chick.

— Alizo — podjął Mikołaj — idź do kuchni i przynieś danie, które jest w piekarniku. Powinno być już gotowe.

Posłuchała Mikołaja i przyniosła półmisek z masywnego srebra. Gdy Chick uniósł pokrywkę, ujrzeli wewnątrz dwie figurki wyrzeźbione w soczystej wątróbce, które przedstawiały Colina we fraku i Chloe w ślubnej sukni. Wokół można było odczytać datę ślubu, a w rogu widniał podpis: „Mikołaj”.

XV I

Colin biegł ulicą.

— To będzie bardzo piękne wesele. Już jutro, jutro rano.

Przyjdą wszyscy moi przyjaciele...

Ulica wiodła do Chloe.

— Chloe, twoje usteczka są słodkie. Cere masz brzoskwiową. Twoje oczy widzą wszystko tak jak należy, a twoje ciało mnie rozgrzewa...

Ulicą toczyły się szklane kulki, a za nimi biegły dzieci.

— Upłyną długie, długie miesiące, zanim się nasycę całowaniem ciebie. Potrzebne będą lata miesięcy, nim wyczerpią się pocałunki, które chcę złożyć na twoim ciele, na twoich dłoniach, na twoich włosach, na twoich oczach, na twojej szyi...

Napotkał trzy dziewczynki; śpiewały całkiem okrągłe rondo i tańczyły w trójkącie.

— Chloe, chciałbym czuć twoje piersi na moich, moje obie ręce skrzyżowane na twoim ciele, twoje ramiona wokół mojej szyi, twoją pachnącą główkę w zagłębieniu mojego ramienia, twoją pulsującą skórę i zapach, który bije od ciebie...

Niebo było błękitne i przejrzyste, mróz jeszcze ostry, lecz już nie tak bardzo. Drzewa, całkiem czarne, ukazywały na czubkach swych matowych gałęzi grube, zielone pączki.

— Kiedy tak jesteś daleko ode mnie, widzę cię w tej sukience ze srebrnymi guzikami, lecz kiedy miałaś ją na sobie? Nie, chyba nie za pierwszym razem? To było w dzień naszej randki, pod ciężkim i miękkim futrem miałaś ją na sobie.

Popchnął drzwi do kwaciarni i wszedł.

— Chciałbym mnóstwo kwiatów dla Chloe — powiedział.

— Kiedy należy je dostarczyć? — zapytała kwaciarka.

Była młoda i wątła i miała czerwone ręce. Bardzo kochała kwiaty.

— Proszę je przynieść jutro rano do mnie. Cały pokój musi być zasypany, liliami, białymi mieczykami, różami i mnóstwem innych białych kwiatów, a przede wszystkim proszę nie zapomnieć o ogromnym bukietcie czerwonych róż...

XVI I

Bracia Desmaret szykowali się na wesele. Bardzo często byli zapraszani ja-ko pederasci weselni, świetnie się bowiem prezentowali. Byli bliźniakami. Starszy nazywał się Koriolan. Miał czarne ufryzowane włosy, skórę białą i delikatną, dziewiczy wygląd, prosty nos i błękitne oczy ukryte za długimi żółtymi rzęsami.

Młodszy, imieniem Pegaz, wyglądał podobnie, z tym że jego rzęsy były zielone, co w zasadzie wystarczało, aby ich rozróżnić. Wybrali karierę pederastów z konieczności i zgodnie z własnym zamiłowaniem. Ich funkcja pederastów weselnych była bardzo popłatna, toteż prawie już nie pracowali, i niestety ta zgubna beczynność wiodła ich od czasu do czasu do występku. Tak więc poprzedniego dnia Koriolan źle poczynał sobie z pewną panią. Pegaz stojąc przed wielkim dwuskrzydłym lustrem beształ go ostro, wcierając sobie w łędzwie krem z męskich migdałów.

— A o której to godzinie wróciłeś, co? — pytał Pegaz.

— A bo ja wiem — odparł Koriolan. — Daj mi spokój. Zajmij się swoimi łędzwiami.

Koriolan wyskubywał sobie brwi za pomocą szczypczyków chirurgicznych.

— Jesteś obrzydliwy! — powiedział Pegaz. — Dziewczyna!... Gdyby to widziała twoja ciotka!...

— Och!... A ty nigdy tego nie robiłeś, co? — zapytał Koriolan wrogo.

— A niby kiedy? — zaniepokoił się Pegaz.

Przerwał masaż i wykonał przed lustrem kilka odprężających ruchów.

— Dobrze, już dobrze — powiedział Koriolan. — Nie nalegam. Nie chcę, abyś zapadł się pod ziemię ze wstydu. Już lepiej zapnij mi spodenki.

Nosili specjalne majtki z rozporkami z tyłu, trudnymi do zapięcia samemu.

— Aha! — szydził Pegaz — sam widzisz. Nie masz nic na swoją obronę!...

— No dobrze, już dobrze! — powtórzył Koriolan. — Kto dziś bierze ślub?

— Colin żeni się z Chloe — powiedział z odrazą jego brat.

— Dlaczego takim tonem? — zapytał Koriolan. — Przecież to fajny gość.

— Tak, on jest fajny — powiedział Pegaz z zazdrością. — Ale za to ona ma piersi tak wypukłe, iż naprawdę trudno jest sobie wyobrazić, że to chłopak!...

Koriolan zaczerwienił się.

— Uważam, że jest piękna... — szepnął. — Ma się ochotę dotknąć jej piersi... Nie odnosisz takiego wrażenia?...

Brat spojrział na niego osłupiały.

— Ależ z ciebie łajdak! — stwierdził energicznie. — Jesteś bardziej rozpustny niż ktokolwiek na świecie... Jeszcze pewnego dnia ożenisz się z kobietą!...

XVII I

Z plebanii wyszedł Zakonnik, a za nim Kościelniak i Sfajcar. Nieśli potężne pudła z falistego kartonu, pełne przeróżnych elementów dekoracyjnych.

— Kiedy przyjedzie ciężarówka Pacykarzy, podprowadzi ją Józef aż pod ołtarz — powiedział do Sfajcara.

Prawie wszyscy Sfajcarzy zawodowi mają na imię Józef.

— Wszystko malujemy na żółto? — zapytał Józef.

— W fioletowe paski — powiedział Kościelniak, Emanuel Judo, potężny, sympatyczny jegomość, którego uniform i złoty łańcuch lśniły jak zamarznęty nos.

— Tak — potwierdził Zakonnik — bo Piskub przyjeżdża na Błogowieństwo. Naprzód udekorujmy galerijkę Muzyków wszystkimi tymi elementami, które są w pudłach.

— Ilu będzie muzyków? — zapytał Sfajcar.

— Siedemdziesięciu trzech — powiedział Kościelniak.

— I czternaście Niewiniątek — dodał Zakonnik z dumą.

Sfajcar gwizdnął przeciągle: „Fjuuu...”

— A przecież ich jest tylko dwoje do tego ślubu! — zawołał z podziwem.

— Tak — powiedział Zakonnik. — Tak to już jest u tych bogaczy.

— Dużo będzie ludzi? — zapytał Kościelniak.

— Mnóstwo — powiedział Sfajcar. — Wezmę moją długą czerwoną halabardę i laskę z czerwoną gałką.

— Skąd — powiedział Zakonnik. — Potrzebna będzie żółta halabarda i fioletowa laska. Tak będzie bardziej dostojnie.

Podeszli pod balkon. Zakonnik odsłonił małą furtkę, ukrytą w jednej z kolumn podtrzymujących sklepienie, i otworzył ją. Jeden za drugim ruszyli wąskimi schodkami w kształcie spirali Archimedesesa. Z góry dochodziło niewyraźne światło.

Pokonali dwadzieścia cztery zwoje spirali i przystanęli dla nabrania oddechu.

— Ciężka sprawa — westchnął Zakonnik.

Sfajcar stojący najwyżej przytaknął, a Kościelniak, wzięty w dwa ognie, nie miał nic do dodania.

— Jeszcze dwa i pół obrotu — powiedział Zakonnik.

Wychynęli na platformę usytuowaną naprzeciwko ołtarza na wysokości stu metrów nad ziemią, której obecności ledwo można było się domyślać poprzez mgłę. Chmury przenikały bezceremonialnie do kościoła i przepływały przez nawę w postaci obfitych szarych płatów.

— Będzie ładna pogoda — powiedział Kościelniak, wdychając zapach chmur. — Pachną macierzanką.

— Z lekkim odcieniem bławatków — dorzucił Sfajcar — też to czuć.

— Mam nadzieję, że ceremonia będzie udana — powiedział Zakonnik.

Rozłożyli kartony i zaczęli ozdabiać krzesła Muzykantów. Sfajcar

rozkladał je, dmuchał na nie, by odkurzyć, i podawał Kościelniakowi i Zakonnikowi.

Przed nimi kolumny wznosiły się i wznosiły, i można było pomyśleć, że łączą się gdzieś w oddali. Matowe kamienie, o pięknej kremowej bieli, wypieszczone łagodnym blaskiem dnia, odbijały zewsząd delikatne i spokojne światło. Całkiem w górze widać było zielonkawy błękit.

— Trzeba by wypucować mikrofony — rzekł Zakonnik do Sfajcara.

— Jeszcze tylko jeden element — powiedział Sfajcar — i zaraz się tym zajmę.

Wyciągnął ze swojej bezecy szmatkę z czerwonej wełny i zaczął szorować energicznie cokół pierwszego mikrofonu. Było ich cztery, ustawione w rzędzie przed krzesłami orkiestry i połączone w ten sposób, że każdej melodii odpowiadał dźwięk dzwonów na zewnątrz kościoła, gdy tymczasem wewnątrz dalej było słychać muzykę.

— Pospiesz się, Józefie — ponaglał Zakonnik. Myśmy z Emanuelem już skończyli.

— Poczekajcie na mnie — powiedział Sfajcar. — Potrzebuję jeszcze pięciominutowego odpustu.

Kościelniak i Zakonnik przykryli pudła na ozdoby i ułożyli je w rogu balkonu, by je potem odszukać po ślubie.

— Jestem gotów — powiedział Sfajcar.

Wszyscy trzej dociągnęli rzemienie swoich spadochronów i z gracją skoczyli w otchłań. Trzy wielkie różnokolorowe kwiaty rozkwitły z jedwabistym klapnięciem i mężczyźni bez kłopotu postawili stopy na wygładzonych płytach nawy.

XIX — Czy uważasz, że jestem ładna?

Chloe przeglądała się w wodzie nalanej do miednicy z piaskowego srebra, w której baraszkowała bez żenady złota rybka. Na jej ramieniu szara czarnowąsa myszka tarła sobie łapkami nosek i śledziła błyskające refleksy.

Chloe nałożyła pończochy, delikatne jak kadzidlany dym, w kolorze swego jasnego ciała, oraz wysokie botki z białej skóry. Poza tym była naga, jeśli nie liczyć ciężkiej bransolety z błękitnego złota, która jeszcze bardziej wydelikacała jej drobny nadgarstek.

— Jak sądzisz, powinnam się ubrać?...

Mysz ześliznęła się po okrągłej szyi Chloe i wylądowała na jednej z piersi. Popatrzyła na nią z dołu i wydawało się, że zgadza się z nią.

— To muszę cię postawić na ziemi! — powiedziała Chloe. — Wiesz, dziś wieczorem wracasz do Colina. Pożegnaj, się tutaj ze wszystkimi!...

Postawiła myszkę na dywanie, wyjrzała przez okno, opuściła zasłonę i podeszła do łóżka. Leżała na nim rozłożona jej biała suknia i dwie suknie w kolorze jasnej wody Izis i Alizy.

— Jesteście gotowe?

W łazience Aliza pomagała Izis w układaniu fryzury. Obie również miały już na sobie buty i pończochy.

— Zbyt szybko nam to nie idzie, ani wam, ani mnie — powiedziała Chloe z udaną srogością! — Czy wiecie, moje kochane, że dziś wychodzę za mąż?

— Masz jeszcze całą godzinę! — zawołała Aliza.

— To wystarczy — dodała Izis. — Jesteś już uczesana!

Chloe uśmiechnęła się i potrząsnęła lokami. W pomieszczeniu pełnym pary było ciepło, a plecy Alizy wyglądały tak apetycznie, że Chloe pogłaskała je swoimi płaskimi dłońmi. Izis, siedząc przed lustrem, nadstawiała posłusznie głowę w rytm precyzyjnych ruchów Alizy.

— Łaskoczesz mnie! — powiedziała Aliza, zaczynając chichotać.

Chloe głaskała ją specjalnie w łaskotliwym miejscu, po kręgach aż do bioder. Skóra Alizy była ciepła i pełna życia.

— Zepsujesz mi lokówkę — stwierdziła Izis, robiąc sobie manikiur dla zabicia czasu.

— Obie jesteście śliczne — powiedziała Chloe. — Jaka szkoda, że nie możecie tak iść, bardzo bym chciała, żebyście pozostały jedynie w butach i pończochach.

— Ubierz się, dziecinko — odparła Aliza — bo wszystko zepsujesz.

— Pocałuj mnie — powiedziała Chloe. — Jestem taka szczęśliwa!

Aliza wypchnęła ją z łazienki i Chloe usiadła na łóżku. Uśmiechnęła się do siebie, patrząc na koronki przy swojej sukni. Na początek założyła mały celofanowy staniczek i majteczki z białego atłasu, które jej jędrne kształty sympatycznie uwydatniały z tyłu.

XX — Czy już? — zapytał Colin.

— Jeszcze nie — odrzekł Chick.

Po raz czternasty Chick robił węzeł na krawacie Colina i w dalszym ciągu było nie tak.

— Może by spróbować w rękawiczkach — zaproponował Colin.

— Dlaczego? — zapytał Chick. — Pójdzie lepiej?

— Nie wiem — powiedział Colin. — To taki luźny pomysł.

— Dobrze że się za to wzięliśmy zawczasu! — rzekł Chick.

— Tak — powiedział Colin — lecz i tak się spóźnimy, Jeśli się nam nie uda.

— Och! Uda się — odparł Chick.

Wykonał zespół szybkich, skoordynowanych ruchów i mocno pociągnął za oba końce. Krawat przedarł się na samym środku i został w rękach.

— To już trzeci — zauważył Colin z nieruchomą twarzą.

— Och! — powiedział Chick. — No tak... wiem...

Usiadł na krześle i gładził podbródek z zafrasowaną miną.

— Nie rozumiem, co się dzieje — powiedział.

— Ja też nie — wyznał Colin. — Ale to nie jest normalne.

— No — powiedział Chick — właśnie. Spróbuję bez patrzenia.

Wziął czwarty krawat i zawinął go niedbale wokół szyi Colina, śledząc z miną niezwykle zainteresowaną lot bzumbzółki. Przełożył grubszy koniec przez cieńszy, zawrócił przez pętelkę, obrót w prawo, przepuścił go pod spodem i, nieszczęśliwie, w tym momencie rzucił okiem na swoje dzieło, zaś krawat zacisnął się brutalnie, przytrzaszkując mu kciuk. Wydał okrzyk bólu.

— A niech to niebyt pochłonie! Cholera jasna!!! — wrzasnął.

— Zrobił ci krzywdę? — zapytał Colin ze współczuciem.

Chick ssął gwałtownie palec.

— Paznokiec będzie mi schodził — stwierdził.

— Mój biedaku! — powiedział Colin.

Chick wymamrotał coś pod nosem i spojrzał na szyję Colina.

— Moment!... — szepnął. — Węzeł jest gotowy!... Nie ruszaj się!...

Cofnął się ostrożnie, nie spuszczając go z oka, i wymacał na stole za sobą butelkę utwardzacza do farb. Powoli uniósł do ust końcówkę rurki rozpylacza i zbliżył się bezgłośnie. Colin podśpiewywał ostentacyjnie patrząc w sufit. Strumień prochu trafił krawat w sam środek węzła. Wykonał gwałtowny skok i znieruchomiał przygwożdżony na miejscu przez twardniejącą żywicę.

XXI Colin wyszedł razem z Chickiem. Poszli po Chloe piechotą.

Mikołaj miał do nich dołączyć w kościele. Czuwał nad przygotowaniem specjalnego dania, odkrytego u Gouffého, po którym

spodziewał się rewelacji.

Po drodze napotkali księgarnię, przed którą Chick stanął jak wryty. Na samym środku wystawy egzemplarz *Stęchlizny Partra* w okładce z fioletowego safianu, zdobny herbem księżnej de Bovouard lśnił jak jakiś cenny klejnot.

— Och! — zawołał Chick. — Spójrz tylko!...

— Co? — zapytał Colin, cofając się. — Ach! To?...

— Tak — odpowiedział Chick.

Taką miał chętkę na książkę, że aż mu pociekła ślinka. Mały strumyczek utworzył mu się między nogami i ruszył wzdłuż chodnika, wymijając drobne kupki kurzu.

— No i co? — zapytał Colin. — Masz go?...

— Ale nie w takiej okładce!... — odpowiedział Chick.

— E, do diabła! — powiedział Colin. — Dawaj, nie mamy czasu.

— Wart co najmniej jeden albo dwa dublezony — powiedział Chick.

— Niewątpliwie — przyznał Colin oddalając się.

Chick potrząsnął kieszenie.

— Colin! — zawołał... — Pożycz mi parę groszy.

Colin ponownie przystanął. Pokręcił głową z miną wielce zasmuconą.

— Coś mi się widzi — powiedział — że z tymi dwudziestoma pięcioma tysiącami dublezonów, które ci obiecałem, długo nie pociągniesz.

Chick zaczerwienił się, spuścił głowę, ale za to wyciągnął rękę. Wziął pieniądze i wskoczył do sklepiku. Colin czekał zatroskany. Widząc radosną minę Chicka ponownie pokręcił głową, tym razem ze współczuciem, i lekki półuśmiech zawitał na jego wargach.

— Ty masz kota, biedaku! Ile za niego dałeś?

— A cóż to za różnica! Pospieszmy się.

Przyspieszyli. Chick pędził, jakby go kto wsadził na latającego smoka. Pod domem Chloe ludzie podziwiali piękną białą limuzynę, którą właśnie dostarczono wraz z odświętnym szoferem. W środku, gdzie wszystko obito

białym futrem, panowało miłe ciepło i grała muzyka.

Niebo nadal było błękitne. Chmurki drobne i niewyraźne. Nie było zbyt zimno. Zima miała się ku końcowi.

Podłoga w windzie wygięła się pod stopami i łagodnym skurczem przerzuciła ich na piętro. Krata sama otwarła się przed nimi. Zadzwonili. Otworzono im. Chloe już czekała.

Oprócz swego celofanowego staniczka, białych majteczek i pończoch miała na sobie dwie warstwy muślinu i długi tiulowy welon, rozpoczynający się u ramion, tak że głowa pozostawała całkowicie nie skrępowana.

Aliza i Izis były ubrane w ten sam sposób, tyle że ich suknie były w kolorze wody. Uczesane włosy lśniły w słońcu i padały na ramiona ciężkimi pachnącymi puklami. Nie wiadomo było, którą wybrać. Colin wiedział. Nie ośmielił się ucałować Chloe, nie chcąc naruszyć harmonii jej toalety, więc wyściskał się z Izis i Alizą. Pozwoliły mu na to, widząc, jak jest szczęśliwy.

Cała sypialnia była zasypana białymi kwiatami, wybranymi przez Colina, a na poduszce u wezglowia rozścielonego łóżka leżał płatek czerwonej róży. Zapachy kwiatów i wonie dziewcząt mieszały się dokładnie, a Chick czuł się jak pszczoła w ulu. Aliza wpięła we włosy purpurową orchideę, Izis szkarłatną różę, a Chloe wielką białą kamelię. Trzymała wiązanekę z lilii, a bransoletka z młodych, polakierowanych świeżością listków bluszczu lśniła obok jej ciężkiej bransolety z błękitnego złota. Pierścionek zaręczynowy wysadzany był kwadratowymi i podłużnymi diamencikami, które w alfabecie Morse'a znaczyły imię Colina. W jednym z rogów pokoju, pod naręczem kwiatów, ukazywał się czubek czaszki jakiegoś technika filmowego, który desperacko kręcił swoją korbką.

Colin pozował przez chwilę wraz z Chloe, potem przyszła kolej na Chicka, Alizę i Izis. A potem wszyscy się zebrali i ruszyli za Chloe, która jako pierwsza wsiadła do windy. Liny teźże wyciągnęły się tak bardzo pod ciężarem nadmiernego ładunku, że nie trzeba było wcale naciskać na guzik, ale za to

musieli wysiąść za jednym zamachem, żeby kabina nie zaciągnęła ich z powrotem na górę.

Szofer otworzył drzwiczki. Trzy dziewczyny i Colin weszli do tyłu, Chick usiadł z przodu i ruszyli. Wszyscy ludzie odwracali się na ulicy i machali z entuzjazmem, myśląc, że to jedzie Prezydent, a potem szli swoją drogą dumając o rzeczach lśniących i złocistych.

Kościół był niedaleko. Limuzyna zakreśliła elegancką kardioideę. Stanęła u stóp schodów.

Na podeście między dwoma potężnymi rzeźbionymi filarami Zakonnik, Kościelniak i Sfajcar odprawiali weselną paradę. Za nimi długie draperie z białego jedwabiu spływały aż na ziemię, a czternaścioro Niewiniątek tworzyło figury baletowe. Ubrane były w białe bluzeczki, czerwone spodenki i białe buciki. Zamiast spodenek dziewczynki nosiły czerwone plisowane spódniczki i czerwone piórka we włosach. Zakonnik trzymał wielki bęben, Kościelniak grał na piszczałce, a Sfajcar wystukiwał rytm marakasami. Refren śpiewali we trójkę chórem, po czym Sfajcar odrzucił grzechotki, pochwycił kontrabas i wyciął smykem na jakiejś przypadkowej nucie fantastyczną przyśpiewkę.

Siedemdziesięciu trzech muzyków grało już na swoim balkonie, a dzwony dzwoniły na cały regulator.

Nagle wdarł się pewien dysonans, bo dyrygent, który zbyt blisko zbliżył się do bariery, fiknął w dół, wicedyrygent objął kierownictwo nad zespołem. W momencie gdy dyrygent rozpląszczył się na posadzce, znów rozległa się muzyka, żeby zagłuszyć odgłos upadku, ale kościół i tak zadrżał w posadach.

Colin i Chloe zauroczeni oglądali paradę Zakonnika, Kościelniaka i Sfajcara, zaś dwóch Podsfajcarów czekało z tyłu, pod drzwiami kościoła, na moment prezentowania halabardy.

Zakonnik wykonał ostatnie tremolo zonglując pałeczkami. Kościelniak wyciągnął na swojej piszczałce przeraźliwe miauknięcie, które wprawilo w uwielbienie połowę bigotek oczekujących wzdłuż schodów na pannę młodą, a

Sfajcar zerwał w ostatnim akordzie struny swego kontrabas. Wówczas czternaścioro Niewiniątek zeszło gęsiego po stopniach i dzie-wczynki ustawiły się z prawej, chłopcy z lewej strony drzwiczek samochodu.

Wysiadła Chloe. Była zachwycająca i promienna w swojej białej sukni. Aliza i Izis podążały za nią. Mikołaj właśnie nadszedł i zbliżył się do grupy. Colin wziął pod rękę Chloe, Mikołaj Izis, Chick Alizę i wstąpili na stopnie, a za nimi podążali bracia Desmaret, Koriolan z prawej, Pegaz z lewej, zaś Niewiniątka szły parami, ustawiając się na całej długości schodów. Zakonnik, Kościelniak i Sfajcar uporządkowawszy instrumenty skracali sobie czas oczekiwa-nia tańcząc rondo.

Na podeście Colin i jego przyjaciele wykonali kilka skomplikowanych figur i ustawili się tak, że znaleźli się od razu u wejścia do kościoła: Colin z Alizą, Mikołaj z Chloe, potem Chick z Izis i wreszcie bracia Desmaret, lecz tym razem Pegaz z prawej, a Koriolan z lewej. Zakonnik i jego poplecznicy przestali się kręcić, stanęli na czele orszaku i wszyscy, śpiewając stary Chorał gregoriański, ruszyli ku drzwiom. Przed wejściem Podsfajcarzy rozbili nad ich głowami małą banię z kruchego kryształu wypełnioną wodą święconą i wplatali im we włosy zapalone pręciki kadzidła, które płonęły żółtym płomykiem u panów, a fioletowym u pań.

Przy wejściu do kościoła stały małe wagoniki. Colin i Aliza zasiedli w pierwszym i natychmiast ruszyli. Wpadli do mrocznego korytarza, gdzie załatywało pobożnością. Wagonik mknął po szynach z gromowym łoskotem, a muzyka rozbrzmiewała z wielką siłą. Na początku korytarza wagonik wyważył jakieś drzwiczki, skręcił pod kątem prostym, a w zielonej poświacie pojawił się Święty. Wykrzywił się w okropnym grymasie i Aliza przytuliła się do Colina. Pajęczyny muskały ich po twarzy, a do głowy przychodziły jakieś strzępy modlitw; następną zjawą była Święta Panienska, a przy trzeciej, przedstawiającej Boga, który miał pod-bite oko i kwaśną minę, Colin przypomniał sobie modlitwę w całości i mógł ją wydeklamować Alizie.

Wagonik wyskoczył z ogłuszającym hukiem tuż pod samym chórem i zatrzymał się. Colin wysiadł, zostawił Alizę, by mogła zająć swoje miejsce, i czekał na Chloe, która też się wkrótce pojawiła.

Spojrzeli w głąb nawy. Klębił się tam gęsty tłum. Wszyscy ludzie, którzy ich znali, już czekali, słuchając muzyki i radując się z tak pięknej uroczystości.

Sfajcar i Kościelniak podskakując w swych wytwornych szatach pojawili się, wyprzedzając Zakonnika, który prowadził Piskuba. Wszyscy powstali, a Piskub zasiadł w wielkim aksamitnym fotelu. Szuranie krzeseł po posadzce było niezwykle melodyjne.

Nagle muzyka ucichła. Zakonnik klęknął przed ołtarzem, tryknął trzy razy głową o podłogę, a Kościelniak ruszył ku Colinowi i Chloe, by ich zaprowadzić na właściwe miejsce, zaś Sfajcar ustawił Niewiniątka po obu stronach ołtarza. W tym momencie w kościele zapanowała głęboka cisza, a ludzie wstrzymali oddechy.

Zewsząd jasne światła wysyłały wiązki promieni, które odpryskiwały się na złoceniach we wszystkie strony, a szerokie fioletowe i żółte pasma nadawały nawet wygląd odwłoka olbrzymiej leżącej osy, widzianej od wewnątrz.

Gdzieś w górze muzykanci rozpoczęli swoje pienia. Obłoki przepływały. Pachniały kolendrą i górskimi trawami. W kościele było ciepło i każdy czuł, jak otula go błoga, przytulna atmosfera.

Klęcząc przed ołtarzem na dwóch pacierznikach przykrytych białym aksamitem, Colin i Chloe czekali trzymając się za ręce. Zakonnik stojąc przed nimi wertował zaciekle wielką księgę, bo zapomniał formułki. Od czasu do czasu odwracał się, żeby rzucić okiem na Chloe, której suknia bardzo mu się podobała. Wreszcie przestał przewracać karty, podniósł się i dał ręką znak dyrygentowi, który zaatakował uwerturę. Zakonnik nabrał powietrza i rozpoczął odśpiewywanie ceremoniału, a wsparcia udzielało mu jedenaście zapchanych trąbek, grających unisono. Piskub drzemał cichutko, wspierając się na pastorałe. Wiedział, że i tak go obu-żą, gdy przyjdzie kolej na jego śpiewy.

Uwertura i ceremoniały były oparte na klasycznym temacie bluesowym. Przy Przyrzeczeniu Colin zażyczył sobie, aby odegrano utwór Duke'a Ellingtona ze starej, znanej melodii *Chloe*.

Na wprost Colina, przyczepiony do ściany, wisiał Jezus na wielkim czarnym krzyżu. Wyglądał na zadowolonego z zaprosin i patrzył na całą imprezę z zainteresowaniem. Colin trzymał Chloe za rękę i mętnie się uśmiechał do Jezusa. Był trochę zmęczony. Ceremonia drogo go kosztowała, pięć tysięcy dublezonów, ale cieszył się, że była udana.

Ołtarz tonął w kwiatach. Colinowi podobała się muzyka rozbrzmiewająca w tym momencie. Tuż przed sobą zobaczył Zakonnika i rozpoznał melodię. Wówczas zamknął powoli oczy, wychylił się nieco do przodu i powiedział: „Tak”

Chloe również powiedziała „Tak” i Zakonnik uściskał im energicznie prawice. Orkiestra rozegrała się w lepsze, a Piskub powstał, by wygłosić Egzortę. Sfajcar wśliznął się między dwa rzędy i solidnie zdzielił laską po paluchach Chicka, który właśnie otworzył swoją książkę, zamiast słuchać.

XXII Piskub poszedł sobie; Colin i Chloe stojąc w zakrystii przyjmowali kuksańce i przekleństwa, którymi częstowano ich na szczęście. Niektórzy udzielali im rad co do nocy, a jakiś przechodzący handlarz starzyzną zaproponował im nawet instruktażowe fotografie. Oboje czuli się bardzo zmęczeni. Muzyka grała dalej, a ludzie tańczyli w kościele, gdzie serwowano wodę święconą i inne zbożne napitki oraz koreczki z dorsza. Ksiądz przebrał się w swój codzienny habit z wielką dziurą na zadku, ale miał cichą nadzieję na kupno nowego za zyski ściągnięte z tych pięciu tysięcy dublezonów. Tym bardziej iż właśnie okantował orkiestrę, co miał zresztą w zwyczaju, odmówiwszy wypłacenia gaży dla dyrygenta, jako że ów zmarł

jeszcze przed rozpoczęciem. Kościelniak i Sfajcar rozbierali Niewiniątka, by zawiesić ich ubranka na miejsce, przy czym Sfajcar szczególną troską otaczał dziewczynki. Dwaj Podsfajcarzy, którzy byli zaangażowani extra, też już sobie poszli. Ciężarówka Pacykarzy czekała na zewnątrz. A oni przygotowywali się do zdercia żółci i fioletu, żeby je zamknąć do małych paskudnych słoików.

Stojący obok Colina i Chloe Aliza i Chick oraz Izis i Mikołaj również przyjmowali kuksańce od braci Desmaret. Gdy tylko Pegaz widział, że jego brat nazbyt zbliża się do Izis, która stała tuż obok, szczypał go ze wszystkich sił w biodro i wymyślał mu od zbrojeńców.

Pozostało jeszcze jakieś dwanaście osób. Byli to osobiści przyjaciele Colina i Chloe, którzy mieli przyjść na popołudniowe przyjęcie. Wychodząc z kościoła rzucili ostatnie spojrzenia na kwiaty na ołtarzu. Przed kościołem na podeście uczeni na twarzach uderzenie chłodu. Chloe zaczęła kasłać i zbiegła po schodach, by usiąść jak najszybciej w ciepłym samochodzie. Zwinęła się w kłębek na poduszkach i czekała na Colina.

Pozostali patrzyli z podestu na odjeżdżających muzyków, których zabierano karetką więzienną, ponieważ wszyscy byli ścigani za długi. Ścisnięci jak sardynki w puszcze dęli w swoje instrumenty, by się zemścić, co w przypadku skrzypków dawało obrzydliwe odgłosy.

XXIII Sypialnia Golina o wyraźnie kwadratowym kształcie i wysoko zawieszonym suficie wychodziła na zewnątrz pięćdziesięciocentymetrowym otworem, który biegł wzdłuż całej ściany na wysokości mniej więcej metr dwadzieścia. Podłoga była wyłożona gęstym jasnopomarańczowym dywanem, a ściany pokryte naturalną skórą.

Łóżko nie spoczywało na dywanie, lecz na platformie zawieszanej w połowie wysokości ściany. Dostać się tam można było za pomocą małej

drabinki z syrakuzowanego dębu, inkrustowanego czerwono-białą miedzią. Nisza, którą tworzyła platforma, służyła jako buduar. Znajdowały się tam książki, wygodne fotele i fotografia Dalaj Lamy.

Colin jeszcze spał. Chloe właśnie się obudziła i patrzyła na niego. Włosy miała potargane i wydawała się jeszcze młodsza. Na łóżku nie było żadnej pościeli oprócz prześcieradła, bo reszta była rozrzucona po całym pomieszczeniu, porządnie ogrzanym przez pompy ciepłe. Teraz siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę i przecierała oczy, następnie przeciągnęła się i opadła w tył, a poduszka ugięła się pod jej ciężarem.

Colin leżał na brzuchu oplótszy ramionami wałek i ślinił się jak stary bobas. Chloe roześmiała się i przyklękała tuż obok, żeby nim mocno potrząsnąć. Obudził się, uniósł na łokciach, usiadł i pocałował ją nie otwierając oczu. Chloe poddawała się z niejaką lubością, kierując go w wybrane miejsca. Skórę miała bursztynową i apetyczną jak migdałowe ciasto.

Szara czarnowąsa mysz wdrapała się po drabince i uprzedziła ich, że Mikołaj już czeka. Przypomnieli sobie o podróży i wyskoczyli z łóżka. Mysz korzystając z ich nieuwagi raczyła się obficie ze stojącego u wezglowia wielkiego pudła czekoladek nadziewanych owocem sączyńca.

Szybko odbyli poranną toaletę, włożyli gustowne ubrania i pospieszyli do kuchni. Mikołaj zaprosił ich na śniadanie na swoje włości. Mysz ruszyła za nimi i zatrzymała się w korytarzu. Chciała się dowiedzieć, dlaczego słoneczka nie świeciły tak ładnie jak zwykle, i opieprzyć je przy tej okazji.

— I jak — zapytał Mikołaj — dobrze wam się spało?

Mikołaj miał podkrążone oczy i cerę mniej więcej pomiętą.

— Wspaniale — powiedziała Chloe opadając na krzesło, bo coś niepewnie się poczuła stojąc.

— A tobie? — zapytał Colin, który pośliznął się i usiadł na ziemi, nie starając się nawet ustać na nogach.

— Ja — powiedział Mikołaj — odprowadziłem Isis do domu, a ona mnie

napoila jak się należy.

— Rodziców nie było? — zapytała Chloe.

— Nie — odparł Mikołaj — tylko jej dwie kuzynki, które absolutnie chciały, żebym został.

— A w jakim one były wieku? — zapytał podchwytliwie Colin.

— Nie mam pojęcia — rzekł Mikołaj. — Ale na dotyk, jednej bym dał szesnaście, a drugiej osiemnaście.

— I spędziłeś tam noc? — zapytał Colin.

— Mhmm!... Wszystkie trzy były trochę podchmielone, więc... musiałem je położyć do łóżka. Izis ma bardzo duże łóżko... Zostało jeszcze trochę miejsca. Nie chciałem was budzić, więc spałem z nimi.

— Spałem? — rzekła Chloe... — Łóżko musiało być strasznie twarde, bo dość kiepsko wyglądasz...

Mikołaj kaszlnął w sposób niezbyt naturalny i zaczął się kręcić wokół swoich urządzeń elektrycznych.

— Spróbujcie tego — powiedział, żeby zmienić temat.

Były to brzoskwinie nadziewane daktylami i suszonymi śliwkami, w oleistym skandyzowanym syropie na wierzchu.

— Czy będziesz mógł prowadzić? — zapytał Colin.

— Spróbuję — odparł Mikołaj.

— Pyszne — powiedziała Chloe. — Częstuj się z nami, Mikołaju.

— Wolę coś bardziej krzepiącego — rzekł Mikołaj,

I na oczach Colina i Chloe spreparował sobie okropny napitek. Składał się z białego wina, łyżeczki octu, pięciu żółtek, dwóch ostryg, stu gramów siekanego mięsa z dodatkiem świeżej śmietany i szczypty podsiarczynu sodu. Całość przeleciała mu przez gardło wydając dźwięk cyklotronu na pełnych obrotach.

— No i jak? — zapytał Colin, który mało nie udusił się ze śmiechu na widok wykrzywionego Mikołaja.

— W porządku — odparł Mikołaj z wysiłkiem.

I rzeczywiście, sińce spod jego oczu znikły natychmiast, jakby je ktoś przetrął benzyną, a cera wyraźnie się rozjaśniła. Prychnął, zaczerwienił się, zacisnął dłonie w pięści i zaryczał. Chloe patrzyła na niego trochę zaniepokojona:

— Nie boli cię brzusek, Mikołaju?

— Ani trochę!... — wrzasnął Mikołaj. — Już po krzyku. Teraz podam pozostałe dania i zaraz jedziemy.

XXI V

Wielka biała limuzyna torowała sobie ostrożnie drogę pośród kolein. Colin i Chloe siedząc z tyłu obserwowali krajobraz z pewnym niesmakiem. Chmury wisiały nisko. Jakieś czerwone ptaszyska fruwały nad drutami telegraficznymi, unosząc się i opadając razem z nimi, a ich cierpkie wrzaski odbijały się od ołowianej wody kałuż.

— Dlaczego tędy jedziemy? — zapytała Chloe Colina.

— To taki skrót — powiedział Colin. — Zresztą przymusowy. Droga właściwa jest całkiem zniszczona. Wszyscy chcieli nią jeździć, bo tam zawsze była ładna pogoda, no i teraz została już tylko ta. Nie przejmuj się. Mikołaj umie prowadzić.

— To wszystko przez to światło — powiedziała Chloe.

Serce biło jej szybko, jakby je ktoś zamknął w zbyt twardej skorupie. Colin otoczył ją ramieniem i pod włosami uchwycił palcami jej wdzięczną szyję, tak jak się bierze małego kotka...

— O tak — rzekła Chloe chowając głowę w ramiona, bo Colin ją łaskotał — przytul mnie, tak się boję...

— Czy chcesz, żeby włączyć żółte szyby? — zapytał Colin.

— Daj kilka kolorów...

Colin nacisnął zielony, niebieski, żółty i czerwony guzik i odpowiednie szkła zastąpiły szyby samochodowe. Można było pomyśleć, że się siedzi w samym środku tęczy, a gdy mijali słupy telegraficzne, pstrokate cienie tańczyły na białym futrze. Chloe poczuła się lepiej.

Po obu stronach drogi rósł wątyły i krótki mech w kolorze spłowiałej zieleni, a od czasu do czasu pojawiało się jakieś poskręcane i wyłysiałe drzewo. Nawet najłżejsze muśnięcie wiatru nie marszczyło tafli błota, które tryskało spod kół samochodu. Mikołaj ciężko się trudził, żeby utrzymać kierunek jazdy, z wysiłkiem sunął środkiem i wyboistej drogi...

W pewnym momencie odwrócił się.

— Niech się Pani nie martwi — powiedział do Chloe — to długo nie potrwa. Droga wkrótce się zmieni.

Chloe wyjrzała przez okno z prawej strony i zadrzała. Jakieś łuskowate stworzenie stojące przy słupie telegraficznym patrzyło na nich.

— Spójrz, Colin... Cóż to takiego?...

Colin popatrzył.

— Nie mam pojęcia — odparł. — To... to nie wygląda groźnie...

— To człowiek z obsługi linii — rzucił przez ramię Mikołaj. — Ubierają się tak, żeby nie utonąć w błocie...

— To... to było bardzo brzydkie... — szepnęła Chloe.

Colin pocałował ją.

— Nie bój się, moja Chloe, to tylko człowiek...

Pod kołami ziemia zdawała się być twardsza. Jakieś niewyraźne światło błyszczało na horyzoncie.

— Spójrz — powiedział Colin. — Słońce...

Mikołaj pokręcił przecząco głową.

— To są kopalnie miedzi — rzekł. — Będziemy tamtędy przejeżdżać.

Mysz, siedząca obok Mikołaja, nadstawiła uszka.

— Tak — powiedział Mikołaj. — Będzie gorąco.

Droga wiła się. Teraz błoto zaczynało parować. Samochód jechał otoczony białymi oparami o ostrym zapachu miedzi. Później błoto stwardniało całkowicie i pojawiła się szosa, popękana i spopieliała. W oddali powietrze drgało jak nad wielkim piecem.

— Nie podoba mi się to — powiedziała Chloe. — Czy nie moglibyśmy objechać z innej strony?

— Nie ma innej drogi — rzekł Colin. — Chcesz książkę Gouffégo?... wziąłem ją ze sobą...

Nie mieli żadnych innych bagaży, licząc, że wszystko zakupią po drodze.

— Opuścić kolorowe szyby? — zapytał jeszcze Colin.

— Tak — odpowiedziała. — Światło już nie jest tak nieprzyjemne.

Nagle droga znów skręciła i znaleźli się pośród kopalń miedzi. Wznosiły się z obu stron szosy, kilka metrów poniżej jej poziomu. Potężne masy zielonkawej miedzi rozciągały w nie-skończoność swe jałowe połacie. Setki ludzi odzianych w hermetyczne kombinezony kłębiły się wokół ogni. Inni układali w regularne piramidy paliwo, które nieustannie dowożono elektrycznymi wagonikami. Miedź pod wpływem temperatury topiła się i spływała czerwonymi potokami, ozdobionymi frędzlami porowatego żużlu, twardego jak kamień. W jednym miejscu zbierano ją do wielkich zbiorników, w innym maszyny pompowały i przelewały surówkę do owalnych rur.

— Cóż za straszna praca!... — zawołała Chloe.

— Ale dość dobrze płatna — rzekł Mikołaj.

Kilku ludzi zatrzymało się, żeby popatrzeć na przejeżdżający samochód. W ich oczach nie można było dostrzec nic prócz litości z odcieniem szyderstwa. Byli potężni i silni, i mieli nieruchome twarze.

— Oni nas nie lubią — powiedziała Chloe. — Jedźmy stąd.

— Oni pracują... — rzekł Colin.

— Ale to nie jest powód — odparła Chloe.

Mikołaj nieco przyspieszył. Samochód pędził po spękanej szosie, pośród zgiełku ma-szyn i wytapianej miedzi.

— Zaraz wyjedziemy na starą drogę — powiedział Mikołaj.

XX
V

— Dlaczego oni są tak pełni pogardy? — zapytała Chloe. —
To wcale nie za dobry pomysł z tym pracowaniem...

— Wmówiono im, że tak właśnie trzeba — powiedział Colin. — Na ogół uważa się, że praca jest dobra. Ale naprawdę to nikt tak nie myśli. Robi się z przyzwyczajenia i właśnie dlatego, żeby nie myśleć.

— W każdym razie to głupota robić coś, co mogłyby wykonać maszyny.

— Ale maszyny trzeba skonstruować — powiedział Colin. — A kto to zrobi?

— Och! Rzeczywiście — przyznała Chloe. — Jeśli chcemy mieć jajko, musimy mieć kurę, ale kiedy już mamy kurę, to możemy mieć całą kopę jaj. Lepiej więc zacząć od kury.

— Trzeba by się dowiedzieć — powiedział Colin — kto przeszkadza w produkowaniu maszyn. Zapewne brakuje czasu. Ludzie tracą swój czas na życie, i nic już im nie zostaje na pracę.

— Czy nie jest aby odwrotnie? — zapytała Chloe.

— Nie — odparł Colin. — Gdyby mieli czas na konstruowanie maszyn, to potem nie musieliby nic robić. Co oznacza, że pracują, aby żyć, zamiast pracować nad konstruowaniem maszyn, które by sprawiły, że mogliby nie pracować.

— Ależ to skomplikowane — stwierdziła Chloe.

— Skąd — rzekł Colin. — To bardzo proste. Oczywiście powinno się to odbywać systematycznie. Lecz tyle czasu traci się na wytwarzanie rzeczy, które się zużywają...

— A czy nie uważasz, że oni woleliby zostać w domu i całować się z żonami albo iść na basen lub zająć się innymi rozrywkami?

— Nie — powiedział Colin. — Bo oni o tym wcale nie myślą.

— Ale czy to w końcu ich wina, że uważają, że dobrze jest pracować?

— Nie, to nie ich wina. Wmawiano im: „Praca to świętość, to dobro, to piękno, to coś, co się liczy, tylko ci, co pracują, mają prawo do wszystkiego”. Tyle że wszystko ułożono tak, żeby pracowali bez przerwy, aby nie mieli z tego żadnych korzyści.

— Czyli to głupcy? — powiedziała Chloe.

— Tak, to głupcy — rzekł Colin. — A dlatego, że zgadzają się z tymi, którzy każą im wierzyć, iż nie ma nic lepszego od pracy. W ten sposób nie muszą się zastanawiać ani poszukiwać sposobów, żeby więcej nie pracować.

— Mówmy o czymś innym — powiedziała Chloe. — Wykańczają mnie takie tematy. Powiedz mi, czy kochasz moje włosy...

— Już ci to mówiłem...

Wziął ją na kolana. Znów czuł się absolutnie szczęśliwy.

— Już ci mówiłem, że kocham cię w całości i w szczegółach.

— No to wyszczególniaj — powiedziała Chloe, opadając w ramiona Colina, pieszczotliwa jak zaskroniec.

XXV I

— Przepraszam Pana — zapytał Mikołaj. — Czy życzy Pan sobie, żeby się tu zatrzymać?

Samochód stanął na skraju szosy przed hotelem. Była to porządna droga, gładka, połyskująca fotogenicznymi refleksami, z doskonale okrągłymi drzewami po obu stronach, świeżą trawą, słońcem, krówkami na łąkach, spróchniałymi barierkami, kwiecistymi żywopłotami, jabłkami na jabłoniach, kupkami suchych liści, z rozsypanym tu i ówdzie śniegiem dla uro-

zmaicenia pejzażu, palmami, mimozami i północnymi sosnami w hotelowym ogrodzie, z rudym rozczochranym chłopcem, który prowadził dwa barany i pijanego owczarka. Z jednej strony drogi dmuchał wietrzyk, a z drugiej nie. Można było sobie wybrać wedle upodobania. Tylko co drugie drzewo rzucało cień, i tylko w jednym z rowów siedziały żaby.

— Wsiądźmy tutaj — powiedział Colin. — I tak już dzisiaj nie zajedziemy na Południe.

Mikołaj otworzył drzwiczki i stanął na ziemi. Miał na sobie piękną liberię ze świńskiej skóry i starannie dobrany elegancki kaszkiet. Cofnął się dwa kroki i popatrzył na samochód. Colin i Chloe również wysiedli.

— Nasz wehikuł jest zabrudzony — zauważył Mikołaj. — To przez to błocko, po któ-rym jechaliśmy.

— Nic nie szkodzi — odparła Chloe. — W hotelu każemy go umyć...

— Wejdz i sprawdź, czy mają wolne pokoje i coś do zjedzenia.

— To się rozumie, proszę Pana — odrzekł Mikołaj podnosząc dłoń do daszka, rozgoryczony jak nigdy w życiu.

Popchnął barierkę z woskowanego dębu, której uchwyt, obity aksamitem przyprawił go o dreszcze. Jego kroki zachrzęściły po żwirze; wszedł po dwóch schodkach. Oszklone drzwi ustąpiły pod jego naporem i zniknął wewnątrz budynku. Żaluzje były opuszczone i panowała głęboka cisza. Słońce przypiekało łagodnie opadłe jabłka, z których wyrastały małe zielone jabłonki, które natychmiast zakwitały i rodziły jeszcze mniejsze jabłuszka. Przy trzecim pokoleniu widać już było tylko różowo-zielony meszek, po którym małe jabłuszka toczyły się jak kuleczki.

Kilka żyjątek bzygzykało w promieniach słońca oddając się jakimś niepewnym poczynaniami, niektóre z nich polegały na szybkim wirowaniu w miejscu. Po wietrznej stronie drogi trawy pochylały się cichaczem, a liście fruwały z lekkim szelestem. Kilka robali w chitynowych pancerzykach próbowało lecieć pod wiatr, wydając ciche pluskanie podobne do tego odgłosu,

jaki wydają koła parowca żeglującego w stronę wielkich jezior.

Colin i Chloe, jedno obok drugiego, nasłoneczniali się bez słowa, a ich serca biły w rytmie boogie.

Oszklone drzwi cicho skrzyknęły. Ukazał się Mikołaj. Kaszkiet miał ubrany tył do przodu i pomiętą liberię.

— Wyrzucili cię za drzwi? — zapytał Colin.

— Nie, proszę Pana. Mogą przyjąć Pana i Panią, a także zająć się samochodem.

— Więc co ci się stało — zapytała Chloe.

— Mhmm!!!. Właściciela nie było... Przyjęła mnie córka.

— Doprowadź się do porządku — powiedział Colin. — Jesteś niepoprawny.

— Proszę Pana o wybaczenie — rzekł Mikołaj — lecz pomyślałem, że dwa pokoje warte są poświęcenia...

— Ubierz się po cywilnemu — powiedział Colin. — Zaczynaj mówić po ludzku. Działasz mi na nerwy...

Chloe przystanęła, żeby pobawić się kupką śniegu. Płatki, delikatne i świeże nie topniały, pozostawały białe.

— Popatrz, jaki piękny — powiedziała do Colina.

Pod śniegiem rosły pierwiosnki, bławatki i maki.

— Tak — przyznał Colin. — Lecz lepiej go nie dotykaj. Jeszcze się przeziębisz.

— Och! nie — powiedziała Chloe i zaczęła kaszleć, wydając dźwięk rozdzieranej jedwabnej materii.

— Moja Chloe — prosił Colin otaczając ją ramieniem — nie kaszł tak, sprawiasz mi ból!

Wyrzuciła śnieg, który opadł powoli jak puch i zaczął lśnić w słońcu.

— Nie podoba mi się ten śnieg — mruknął Mikołaj.

Natychmiast się jednak poprawił.

— Proszę, by mi Pan wybaczył tę swobodę wypowiedzi.

Colin ściągnął but i cisnął nim w głowę Mikołaja, który przykucnął, by zetrzeć plamkę ze spodni i podniósł się przy brzęku tłuczonego szkła.

— Och! Proszę Pana... — powiedział Mikołaj z wyrzutem — to okno Pana sypialni! — Wielka mi rzecz! — odparł Colin. — Będziemy się wietrzyć... A ty się może nauczysz wyrażać normalnie, a nie jak idiota...

Ruszył do drzwi hotelu na jednej nodze, wspierany przez Chloe. Rozbita szyba zaczęła odrastać. Na brzegach ramy tworzyła się cienka błona opalizująca i mieniąca się niewyraźnymi błyskami, o zmiennych, niejasnych kolorach.

XXVI I

— Wypałeś się? — zapytał Colin.

— Owszem, a ty? — odpowiedział Mikołaj tym razem po cywilnemu.

Chloe ziewnęła i wypła dzbanuszek syropu z kaparów.

— Nie mogłam spać przez tę szybę — powiedziała.

— Nie zamknęła się? — zapytał Mikołaj.

— Nie całkiem — odparła Chloe. — Ciemiączko jest jeszcze na tyle nie zarośnięte, by przepuścić niezły przeciąg. Dziś rano miałam całą pierś przysypaną tym śniegiem...

— Można się wkurzyć — powiedział Mikołaj. — Jutro ich opieprzę. To jak, odjeżdża-my jeszcze dziś rano?

— Po południu — odrzekł Colin.

— Muszę przysposobić moje szoferskie wdzianko — powiedział Mikołaj.

— Och! Mikołaju... — rzekł Colin. — Jeśli znowu zaczniesz... to...

— Wiem, ale nie teraz — powiedział Mikołaj. Pochłonął swoją porcję syropu z kapa-rów i dokończył kanapkę.

— Rozejrzę się po kuchni — oznajmił wstając i poprawiając węzeł krawata

za pomocą kieszonkowego rozwiertaka.

Opuścił pokój i słychać było odgłos jego kroków cichnący w kierunku prawdopodobnie kuchni.

— Co byś chciała robić, moja Chloe? — zapytał Colin.

— Całować się — odpowiedziała Chloe.

— Jasne!... — stwierdził Colin. — A potem?

— Potem... wstydzę się powiedzieć głośno.

— Dobrze — zgodził się Colin. — A potem?

— Potem — powiedziała Chloe — będzie pora na obiad. Przytul mnie. Tak mi zimno. To przez ten śnieg...

Słońce wpływało do pokoju złocistymi falami.

— Tu nie jest zimno — stwierdził Colin.

— Nie — powiedziała Chloe, przyciskając się do niego — ale mnie jest zimno. Potem napiszę do Alizy...

XXVII I

Już od samego początku ulicy tłum przepychał się, żeby dotrzeć do sali, w której miał się odbyć wykład Jean-Sola.

Ludzie używali najprzeróżniejszych podstępów, żeby zmylić czujność kordonu sanitarnego, mającego sprawdzać ważność zaproszeń, gdyż puszczone w obieg fałszywe, w dziesiątkach tysięcy.

Niektórzy podjeżdżali karawanami, a żandarmi wbijali w trumny długie stalowe piki, przygważdżając ich do dębu na wieczność. Dzięki temu nie trzeba było delikwentów wyciągać stamtąd do pochówku, a przykrość wyrządzano jedynie ewentualnym prawdziwym nieboszczykom, jeśli całun któregoś został naruszony. Inni wyskakiwali na spadochronach ze specjalnego samolotu (na Bourget ludzie bili się, żeby się do niego dostać). Ekipa strażaków brała ich na

cel i za pomocą miotaczy ognia spychała do sceny, gdzie tonęli żałośnie. Inni wreszcie próbowali dostać się kanałami. Przeganiano ich deptając podkutymi buciorami po paluchach, w chwili gdy chwyтали za krawędzie, chcąc się podciągnąć i wyleźć, zaś szczury zajmowały się resztą. Lecz nic nie zniechęcało tych zapaleńców. Trzeba jednak stwierdzić, że to nie byli ci sami, którzy topili się trwając w swoim wysiłku, zaś wrzawa sięgała zenitu, odbijając się od chmur grobowym łoskotem.

Jedynie nieskalani, ci wtajemniczeni, przyjaciele mieli prawdziwe zaproszenia, łatwe do odróżnienia od fałszywych, i dlatego przechodzili bez przeszkód wąską alejką ustawioną na wysokości domów, pilnowaną co pięćdziesiąt centymetrów przez tajniaka przebranego za serwohamulec. Niemniej jednak widzów i tak było całe mnóstwo, a sala, już pełna, przyjmowała dalej z sekundy na sekundę nowo przybyłych.

Chick był na miejscu już w przeddzień wykładu. Za ciężkie pieniądze nabył od dozorca prawo zastąpienia go, i aby owa wymiana mogła się odbyć, za pomocą samochodowego lewara złamał wyżej wymienionemu nogę. Nie liczył się z dublezonami, jeśli chodziło o Partra. Aliza i Isis razem z nim oczekiwały nadejścia mówcy. Spędziły tam noc pragnąc gorąco uczestniczyć w wydarzeniu. Chick w swoim ciemnozielonym uniformie dozorca był szalenie pociągający. Bardzo zaniedbał swoją pracę od chwili, gdy wszedł w posiadanie dwudziestu pięciu tysięcy dublezonów Colina.

Publiczność, która się tam tłoczyła, przedstawiała dość szczególny widok. Widać było tylko spłoszone twarze w okularach, nastroszone włosy, pożółkłe pety, rzygowiny po cuchnących serach, a u kobiet smętne warkoczyki zawiązane wokół czaszki i kanadyjki noszone na gołym ciele, prześwitującym w mroku rąbkami piersi.

W wielkiej sali na parterze, o suficie na poły przeszklonym, na poły pokrytym freskami malowanymi ciężką wodą, tak realistycznymi, że mogły zrodzić w umysłach obecnych poważne wątpliwości co do sensowności

egzystencji wypełnionej równie zniechęcającymi formami kobiecymi, towarzystwo gromadziło się w najlepsze, a spóźnialskim pozostała już tylko szansa stania w głębi na jednej nodze — drugą posługiwali się odpychając najbliższych sąsiadów. Specjalna loża, w której królowała księżna de Bovouard ze swoją świtą, przyciągała spojrzenia wycieńczonej tłuszczy i ubliżała swoim przepychem w dobrym guście, odznaczającym się jednak indywidualnością całego szeregu filozofów siedzących na składanych krzeselkach.

Zbliżała się pora wykładu, a tłum stawał się coraz bardziej rozgorączkowany. W głębi powstało zamieszanie, bowiem kilku studentów próbowało zasiać wątpliwości w umysłach, deklamując na całe gardło tendencyjnie wybrane fragmenty z *Kazania na Górze* baronowej Orczy.

Lecz nadchodził Jean-Sol. Na ulicy rozległy się dźwięki słoniowej trąby i Chick wychylił się przez okno ze swojej stróżówki. W oddali sylwetka Jean-Sola wynurzała się z opancerzonego houdaha, pod którym grzbiet słonia, szorstki i pomarszczony, nabierał dziwnego wyglądu w świetle czerwonej latarni. W każdym rogu houdaha stał w gotowości strzelec wyborowy, uzbrojony w siekierę. Wielkimi susami słoń torował sobie drogę przez tłum, a głuchy odgłos, jaki wydawały cztery filary grzęznące w rozmiądzonych ciałach, zbliżał się nieubłagane. Przed wejściem słoń przyklęknął i zsiadli strzelcy wyborowi. Wdzięcznym susem Partre wskoczył między nich i wszyscy torując sobie drogę ciosami siekier, ruszyli w kierunku estrady. Tajniacy zamknęli drzwi, a Chick popychając przed sobą Izis i Alizę ruszył tajemnym korytarzem, który wychodził na ryłach estrady.

Tło estrady było przybrane draperią z otorbionego aksamitu, w której Chick wyciął dziury do patrzenia. Siedli na poduszkach i czekali. W odległości zaledwie metra od nich Partre przygotowywał się do odczytania swego przemówienia. Z jego gibkiego i ascetycznego ciała emanowało nadzwyczajne promieniowanie, a publiczność pochwycona w sidła nieod-partego wdzięku, który objawiał się w jego najdrobniejszych gestach, oczekiwała z niepoko-

na sygnał rozpoczęcia.

Miały miejsce liczne przypadki omdleń, wynikłych na skutek skurczu wewnątrzmacicznego, który się wziął na damską część publiczności, a Aliza, Izis i Chick ze swego miejsca wyraźnie słyszeli ziajanie dwudziestu czterech widzów, którzy wleźli pod estradę i rozbierali się po omacku, żeby zająć jak najmniej miejsca.

— Pamiętasz? — zapytała Aliza, spoglądając czule na Chicka.

— Tak — powiedział Chick. — To tam się poznaliśmy...

Pochylił się nad Alizą i lekko ją pocałował.

— Siedzieliście tam pod spodem? — zapytała Izis.

— Tak — odrzekła Aliza. — Było bardzo miło.

— Domyślam się — powiedziała Izis. — A cóż to takiego, Chick?

Chick właśnie zabierał się do otwarcia sporej czarnej skrzynki, przy której siedział.

— To jest rejestrator — rzekł. — Kupiłem go specjalnie na wykład.

— Och! — powiedziała Izis. — Świetny pomysł!... W ten sposób nie będziemy musieli słuchać!...

— Tak — odparł Chick. — A po powrocie, jeśli zechcemy, będziemy mogli słuchać całą noc, lecz nie zrobimy tego, żeby nie popsuć płyt. Najpierw każę wykonać kopie i niewykluczone, że poproszę firmę „Wrzask Pana”, aby mi też przygotowała egzemplarze do sprzedaży.

— To cię będzie bardzo drogo kosztować — powiedziała Izis.

— Och! To bez znaczenia!...

Aliza westchnęła. Westchnięcie było tak leciutkie, że tylko ona je słyszała... a i to ledwo, ledwo.

— Dobra!... — powiedział Chick. — Zaczyna. Podłączyłem swój mikrofon do tych z oficjalnego radia, które stoją na stole, nawet nie zauważą.

Jean-Sol właśnie rozpoczął. Na razie nie było słychać nic, prócz trzasku migawek. Fotografowie oraz reporterzy z prasy i kina folgowali sobie do woli.

Lecz jeden z nich został przewrócony przez odrzut swego aparatu i powstało straszne zamieszanie. Kumple, wściekli, rzucili się na niego i posypali magnezją. Zniknął w oślepiającym blasku, ku uciesze gawiedzi, a tajniacy zabrali do paki całą resztę.

— Cudownie! — powiedział Chick. — Tylko ja będę w posiadaniu nagrania.

Publiczność, która do tej pory stała mniej więcej spokojnie, zaczęła się denerwować i wyrażać swój podziw dla Partra głośnymi wrzaskami i pochwalnymi okrzykami, za każdym razem gdy tylko wyrzekł jakieś słowo, co całkowicie utrudniało zrozumienie tekstu.

— Nie próbujcie wszystkiego pokapować — powiedział Chick. — Nasłuchamy się do woli nagrania.

— Tym bardziej że tu nic nie słyhać — dodała Izis. — On robi mniej hałasu niż mysz. No i jak, macie jakieś nowiny od Chloe?

— Dostałam od niej list — powiedziała Aliza.

— Zajechali wreszcie?

— Tak, udało im się wyruszyć, ale skrócą swój pobyt, bo Chloe nie ma się najlepiej — powiedziała Aliza.

— A Mikołaj? — zapytała Izis.

— W porządku. Chloe mi pisze, że się strasznie źle zachowywał wobec wszystkich córek hotelarzy, u których się zatrzymywali.

— Mikołaj jest fajny — powiedziała Izis. — Zastanawiam się, dlaczego jest kucha-rzem?

— Tak — przyznał Chick — to dziwne.

— A niby dlaczego? — zapytała Aliza. — Uważam, że to lepsze, niż być kolekcjonerem Partra — dorzuciła, szczypiąc Chicka w ucho.

— Ale Chloe nie jest ciężko chora? — zapytała Izis.

— Nie napisała mi, co jej jest — odparła Aliza. — Boli ją w piersiach.

— Chloe jest taka ładna — powiedziała Izis. — Nie mogę sobie wyobrazić,

żeby była chora.

— Och! — szepnął Chick — popatrzcie!...

Właśnie uniosła się część sufitu i ukazał się rząd głów. Śmiali wielbiciiele filozofa wśliznęli się aż pod witraż i dokonali tej delikatnej operacji. Pojawili się następni, którzy ich popychali, tych pierwszych, zaś ci nerwowo czepiali się krawędzi otworu.

— Nie dziwię się — powiedział Chick. — Ten wykład jest podziwu godny!...

Partre uniósł się i przedstawiał publiczności próbki wypchanego womitu. Najładniejsza — surowe jabłko z czerwonym winem — odniosła prawdziwy sukces. Już prawie nie można się było usłyszeć, nawet za kurtyną, gdzie znajdowali się Izis, Aliza i Chick.

— No dobrze — rzekła Izis. — A kiedy wrócą?

— Jutro albo pojutrze — powiedziała Aliza.

— Już tak dawno ich nie widzieliśmy!... — zawołała Izis.

— Tak — przyznała Aliza — od ślubu...

— To był udany ślub — stwierdziła Izis.

— Tak — powiedział Chick. — Właśnie tego wieczora Mikołaj odprowadził cię...

Na szczęście większa część sufitu zwała się na salę, uniemożliwiając Izis podanie szczegółów. Wzbił się gęsty kurz. Białawe postacie brodziły w tynku, potykały się i padały zaduszone przez ciężki obłok unoszący się nad zgliszczami. Partre przystanął i rżał ze śmiechu, klepiąc się po udach, szczęśliwy, widząc tylu ludzi zaangażowanych w tę awanturę. Łyknął tęgi haust kurzu i rozkaszał się jak wściekły.

Chick, w gorączce, kręcił potencjometrami rejestratora. Ten odpowiedział mocnym zielonym światłem, które uciekło po podłodze i skryło się w szczelinie parkietu. Potem wyskoczyło drugie i wreszcie trzecie i Chick odciął dopływ prądu dokładnie w tym momencie, gdy z silnika miał wyleźć jakiś wstrętny,

wielonogi robal.

— I co mam zrobić? — zapytał. — Zaciął się. To przez ten pył w mikrofonie.

Pandemonium w sali osiągnęło swój szczyt. Partre w tym momencie popijał z karafki i szykował się do odejścia, bo właśnie odczytał ostatnią stronę. Chick się zdecydował.

— Zaproponuję mu, żeby wyszedł tędy — powiedział. — Idźcie przodem, zaraz was dogonię.

XXIX Przechodząc przez korytarz Mikołaj zatrzymał się. Słoneczka świeciły zdecydowanie źle. Szybki z żółtego szkła wyglądały na matowe i pokryte leciutką mgiełką, zaś promienie zamiast odbijać się metalicznymi kropelkami, pluskały o podłogę, tworząc płytkie, leniwe kałuże. Ściany poplamione słońcem nie lśniły już tak jedno-licie jak niegdyś.

Ta zmiana najwyraźniej niezbyt przeszkadzała myszom, oprócz szarej czarnowąsej, której dogłębnie zasmucona mina od razu rzucała się w oczy. Mikołaj przypuszczał, że żal jej było nieoczekiwanie przerwanej podróży i tych znajomości, jakie mogła nawiązać po drodze.

— Nie jesteś zadowolona? — zapytał.

Mysz wzdrygnęła się z odrazą i pokazała na ściany.

— Tak — powiedział Mikołaj. — To już nie to. Przedtem było lepiej. Nie wiem, co się dzieje...

Mysz jakby zastanawiała się przez chwilę, po czym zwiesiła głowę i rozłożyła łapki w geście niezrozumienia.

— Ja też — przyznał Mikołaj — nic nie rozumiem. Nawet kiedy się ściera, nic to nie daje. Widocznie atmosfera staje się żrąca...

Przystanął w zamyśleniu, też zwiesił głowę i ruszył w dalszą drogę.

Mysz skrzyżowała łapki i zaczęła powoli przeżuwać z nieobecną miną, jednak natychmiast splunęła czując smak gumy do żucia dla kotów. Sprzedawca się pomylił.

W jadalni Chloe jadła śniadanie z Colinem.

— No jak? — spytał Mikołaj. — Lepiej?

— Coś podobnego — powiedział Colin — czyżbyś zdecydował się mówić jak człowiek?

— Nie mam butów — wyjaśnił Mikołaj.

— Nieźle — stwierdziła Chloe.

Miała błyszczące oczy, zdrową cerę i szczęśliwą minę, że znów jest w domu.

— Zjadła połowę kurczaka w cieście — powiedział Colin.

— Bardzo mi miło — odpowiedział Mikołaj. — Tego nie wziąłem z Gauffégo.

— Chloe, co byś chciała dzisiaj robić? — zapytał Colin.

— Właśnie — powiedział Mikołaj — czy obiad ma być wcześniej czy późno?

— Chciałabym wyjść z wami dwoma i z Izis, i z Chickiem, i z Alizą, iść na ślizgawkę i na zakupy, i na prywatkę — powiedziała Chloe, — i kupić sobie zielony pierścionek z systemikiem.

— Dobrze — powiedział Mikołaj — wobec tego już idę zająć się kuchnią.

— Mikołaju, zajmij się kuchnią po cywilnemu — poprosiła Chloe. — Dla nas jest to o wiele mniej męczące. A poza tym szybko się uwiniesz.

— Pójdę wziąć trochę pieniędzy z mego kufra na dublezony — powiedział Colin — a ty, Chloe, zadzwoń do przyjaciół. Zrobimy sobie ładną wycieczkę.

— Idę dzwonić — rzekła Chloe.

Wstała i pobiegła do telefonu. Podniosła słuchawkę i udała krzyk puszczyka, żeby uprzedzić, że będzie chciała mówić z Chickiem.

Mikołaj sprzątnął ze stołu, naciskając dźwigienkę, a brudne naczynia ruszyły do zlewu pneumatyczną tubą, która ukryta była pod dywanem. Opuścił pokój i wyszedł na korytarz.

Mysz, stojąc na tylnych łapkach, drapała zmatowiałe szybki. Tam gdzie drapnęła, błyszczało na nowo.

— No proszę! — wykrzyknął Mikołaj. — Udaje ci się!!... Wspaniale!

Mysz zatrzymała się zdyszana i pokazała Mikołajowi otarte ze skóry i pokrwawione łapki.

— Och! — zawołał Mikołaj. — Skaleczyłaś się!... Chodź, zostaw to. W końcu wpada tu i tak dość słońca. Chodź, opatrzę cię...

Wsadził ją do kieszeni na piersi, a ona zwisała na zewnątrz ze swoimi biednymi, pokaleczonymi łapkami, nie mogąc złapać tchu, z półprzymkniętymi oczkami.

Colin szybko obracał pokrętłami sejfu na dublezony i podśpiewywał. Nie dręczyły go już troski ostatnich dni i czuł, że ma serce w kształcie pomarańczy. Kufer był zrobiony z białego marmuru inkrustowanego kością słoniową, a pokrętła z zielono-czarnego ametystu. Wskaźnik poziomemu pokazywał sześćdziesiąt tysięcy dublezonów.

Pokrywa odchyliła się z tłustym klapnięciem, a Colin przestał się uśmiechać. Nie wiadomo dlaczego wskaźnik zablokowany, akurat zatrzymał się po dwóch czy trzech i wahnięciach na poziomie trzydziestu pięciu tysięcy dublezonów. Wsadził rękę do kufra i błyskawicznie sprawdził dokładność ostatniej cyfry. Przeprowadziwszy szybki rachunek w pamięci stwierdził, że była prawdopodobna. Ze stu tysięcy dwadzieścia pięć dał Chickowi, żeby ożenił się z Alizą, piętnaście na samochód, pięć na ceremonię... a reszta po prostu wyszła. Trochę go to pocieszyło.

— To normalne — powiedział głośno, ale głos wydał mu się dziwnie zniekształcony.

Wziął tyle, ile mu było trzeba, zawahał się, wsypał z powrotem połowę

ruchem pełnym zniechęcenia i zamknął klapę. Pokręta obróciły się szybko z cichym jasnym klekotem. Stuknął w tarczę wskaźnika i stwierdził, że pokazuje kwotę dokładnie odpowiadającą zawartości.

Podniósł się. Stał tak przez chwilę, dumając nad wysokością sum, jakie musiał wy-dać, żeby ofiarować Chloe to, co uważał, że jest jej godne, i uśmiechnął się, przypomniawszy sobie potarganą Chloe rano w łóżku i kształt prześcieradła na jej rozciągniętym ciele, i bursztynowy kolor jej ciała, i gwałtownie zmusił się do myślenia o kufrze, bo nie był to najodpowiedniejszy moment do rozmyślenia o tamtych sprawach.

Chloe ubierała się.

— Powiedz Mikołajowi, żeby zrobił kanapki — rzekła — i że zaraz wychodzimy. Umówiłam się z nimi u Izis.

Colin, korzystając z chwilowego przejaśnienia, pocałował ją w ramię i pobiegł zawiadomić Mikołaja. Mikołaj właśnie skończył opatrywanie myszy i robił jej parę małych bambusowych kul.

— Proszę — powiedział. — Chodź na nich do wieczora, a wszystko się zagoi.

— Cóż to się stało? — zapytał Colin, głaszcząc mysz po główce.

— Chciała wyczyścić szybki w korytarzu — powiedział Mikołaj. — Udało jej się, ale zrobiła sobie krzywdę.

— Nie przejmuj się tym — rzekł Colin. — Przejdzie samo.

— Nie wiem — powiedział Mikołaj. — To dziwne. Rzec by można, że szybkom braku-je oddechu.

— Poprawi się — powtórzył... — tak mi się przynajmniej wydaje... nic takiego nigdy dotychczas nie miało miejsca.

— Nie — odparł Mikołaj.

Colin stał chwilę przed kuchennym oknem.

— Może to zwyczajne zużycie — powiedział. — Można by spróbować je wymienić...

— To będzie bardzo drogo kosztować — zauważył Mikołaj.

— Tak — przyznał Colin. — Lepiej poczekać.

— A co chciałeś? — zapytał Mikołaj.

— Nic tu nie szykuj — powiedział Colin. — Tylko kanapki... zaraz ruszamy.

— Dobrze, już się ubieram — odparł Mikołaj. Postawił mysz na podłodze, a ona ruszyła do drzwi, kiwając się na swoich kulach. Wąsy wystawały jej po obu stronach.

XXX Ulica całkiem zmieniła wygląd od chwili wyjazdu Colina i Chloe. Liście drzew były już teraz duże, a domy rzucały błądy odcień, by nim osiągną delikatny letni beż, przybrać kolor startej zieleni. Bruk pod stopami stał się elastyczny i miękki, a powietrze pachniało malinami. Jeszcze było chłodno, lecz za oknami o błękitnych szybach już czuło się piękną pogodę. Niebieskie i zielone kwiaty rosły wzdłuż chodników, a ich sok spływał wijąc się wokół cienkich łądyżek z cichym odgłosem, wilgotnym jak pocałunek ślimaków.

Mikołaj otwierał pochód. Był ubrany w sportowy garnitur z ciepłej musztardowej wełny, pod spodem miał golf z wyhaftowanym łosiem a la Chambord, dokładnie takim, jak na stronie 607 *Książki Kucharskiej* Gauffégo. Jego buty z żółtej skóry na świńskiej gumie ledwie muskały roślinność. Starał się iść brudami, które wycięto dla ruchu pojazdów.

Colin i Chloe postępowali za nim, Chloe trzymała Colina za rękę i głęboko zaciągała się zapachem powietrza. Miała na sobie krótką sukienkę z białej wełny i płaszczyk z benzolowanego leoparda, którego cętki, stonowane dzięki specjalnym zabiegom, rozchodziły się w aureole i układały w ciekawe interferencje. Jej puszyste włosy luźno powiewały i wydzielaly delikatną

mgiełkę pachnącą jaśminem i goździkami.

Colin, z na wpół przymkniętymi oczami, kierował się za tym zapachem, a wargi mu lekko drżały przy każdym oddechu. Fasady domów nieco się rozluźniały, porzucając swą surową prostolinijność, i wygląd ulicy czasami zbijał z tropu Mikołaja, który musiał się zatrzymać, żeby odczytać emaliowane tabliczki.

— Co będziemy robili najpierw? — zapytał Colin.

— Pójdziemy na zakupy — powiedziała Chloe. — Nie mam już ani jednej sukienki.

— Nie chcesz iść do Sióstr Galotek, jak zwykle? — zapytał Colin.

— Nie — odpowiedziała Chloe — chcę iść do sklepów kupić sobie gotowe suknie i inne drobiazgi.

— Izis na pewno się ucieszy widząc ciebie, Mikołaju — powiedział Colin.

— A to dlaczego? — zapytał Mikołaj.

— Nie wiem...

Skręcili w ulicę Sidneya Becheta i już byli na miejscu. Dozorczyńni, przed bramą, huśtała się w mechanicznym bujanym fotelu, którego motor wydawał pierdzący odgłos w rytmie polki. Był to stary typ.

Otworzyła im Izis. Chick i Aliza już tam byli. Izis miała czerwoną sukienkę, uśmiechnęła się do Mikołaja. Uściskała Chloe i przez jakiś czas wszyscy wymieniali całusy.

— Dobrze wyglądasz, moja Chloe — stwierdziła Izis. — Myślałam, że jesteś chora. Pocieszyłaś mnie.

— Czuję się lepiej — powiedziała Chloe. — Mikołaj i Colin bardzo o mnie dbali.

— A jak się czują twoje kuzynki? — zapytał Mikołaj.

Izis spłoszowała aż po czubek głowy.

— Co drugi dzień wypytują mnie o nowiny od ciebie — odparła.

— To bardzo miłe panienki — powiedział Mikołaj, lekko się odwracając

— ale ty jesteś jędrniejsza.

— Tak... — odpowiedziała Izis.

— A jak podróż? — zapytał Chick.

— Bardzo udana — odpowiedział Colin. — Na początku droga była kiepska, ale później się poprawiła.

— Poza śniegiem — dorzuciła Chloe — było fajnie...

Położyła dłoń na piersi.

— Dokąd idziemy? — zapytała Aliza.

— Jeśli chcecie, to mogę wam streścić wykład Partra — powiedział Chick.

— Dużo już go nakupowałeś od naszego wyjazdu? — zapytał Colin.

— Och!... Nie... — powiedział Chick.

— A co słyhać w pracy? — zapytał Colin.

— Och!... W porządku... — powiedział Chick. — Znalazłem gościa, który mnie zastępuje, kiedy muszę wyjść.

— I robi to za darmo? — zapytał Colin.

— Och!... Prawie — powiedział Chick. — Czy chcecie iść prosto na ślizgawkę?

— Nie, najpierw idziemy na zakupy — odparła Chloe. — Ale jeśli panowie chcą iść na łyżwy...

— To jest myśl — powiedział Colin.

— Potowarzyszę paniom w wędrowce po sklepach — rzekł Mikołaj. — Muszę też zrobić zakupy.

— To świetnie — ucieszyła się Izis. — Ale ruszajmy zwawo, żeby potem zostało jeszcze trochę czasu na łyżwy.

XXXI Colin i Chick ślizgali się już od godziny, a na tafle przybywało coraz więcej ludzi. Znowu te same panienki, ci sami chłopcy, ci sami giermkowieczyściciele ze skrobaczkami. Nadzorca wrzucił na adapter tę samą śpiewkę, którą bywalcy znali już od tygodni na pamięć. Przełożył ją na drugą stronę, na co zresztą wszyscy czekali, znając w końcu jego przyzwyczajenia, lecz płyta nagle stanęła i grobowy głos rozległ się we wszystkich głośnikach, może tylko oprócz jednego, który dalej nadawał muzykę. Głos prosił pana Colina, by zechciał przejść do studia do telefonu.

— Cóż to może być?! — zdziwił się Colin.

Pospieszył ku krawędzi lodowiska i postawił stopy na kauczukowej wykładzinie, Chick podążał za nim. Colin ruszył wzdłuż baru i wszedł do kontrolnej kabiny, w której znajdował się mikrofon. Disc-jockey właśnie czyścił jedną z płyt perzową szczoteczką, żeby usunąć nie-równości powstałe na skutek zużycia.

— Halo! — Zawołał Colin łapiąc za słuchawkę.

Słuchał.

Chick, początkowo zadziwiony, ujrzał, jak Colin zamienia się w sopel lodu.

— Czy to coś poważnego? — zapytał.

Colin dał mu znak, żeby zamilkł.

— Już lecę — powiedział do słuchawki i odłożył ją.

Ścianki kabiny rozchyliły się i nim zdążyły go przytrzasnąć, wyszedł wraz z depczącym mu po piętach Chickiem. Pobiegł na łyżwach. Stopy wyginały mu się na wszystkie strony. Wezwał kabinowego.

— Proszę szybko otworzyć moją kabinę 309.

— Moją też, 311... — dorzucił Chick.

Kabinowy poczłapał za nimi bez zbytniego pośpiechu.

Colin obejrzał się i zobaczywszy go w odległości dziesięciu metrów, zaczekał, aż do niego podejdzie. Wziąwszy rozpęd, z wściekłością wymierzył

mu potężny cios łyżwą pod brodę. Głowa kabinowego utknęła w jednym z kominów wentylacyjnych maszynierii, Colin tymczasem pochwycił klucz, który nieboszczyk z nieobecną miną trzymał jeszcze w dłoni. Otworzył jakąś kabinę, wepchnął tam ciało, splunął na nie i skoczył do 309. Chick zamknął drzwi.

— Co się stało? — zapytał nie mogąc złapać oddechu po biegu.

Colin ściągnął już łyżwy i założył buty.

— Chloe — powiedział Colin — jest chora.

— Ciężko?

— Nie wiem — odparł Colin. — Zasnęła.

Był już gotów i popędził.

— Dokąd leczysz? — zawołał Chick.

— Do domu!... — krzyknął Colin i zniknął w korytarzu dźwięcznego betonu.

Na drugi koniec lodowiska wylazła obsługa maszynierii, przyduszona, bowiem wentylacja przestała działać i ludzie padali na taflę wyczerpani.

Chick osłupiał, z łyżwą w ręce, patrzył bezmyślnie na miejsce, w którym zniknął Colin.

Spod drzwi kabiny 128 cieniutki strumyczek pianistej krwi sączył się powoli, aż czerwona ciecz zaczęła kapać na lód wielkimi kroplami, ciężkimi i dymiącymi.

XXXII

Pędził ze wszystkich sił, a ludzie pod ciężarem jego spojrzenia pochylali się, by upaść jak kręgle, rozciągając się na bruku z miękkim klapnięciem jak wielki karton, który pada na płask.

Colin biegł i biegł, a ostry kąt horyzontu wciśnięty między domy pędził ku niemu. Pod jego krokami nastawała noc. Noc z czarnej waty, amorficzna i nieorganiczna, niebo było bezbarwne, jak sufit. Jeszcze jeden kąt ostry i Colin

wbiegał już na szczyt piramidy, osaczony przez mniej mroczne odcinki nocy, lecz miał przed sobą jeszcze trzy ulice, nim dotarł na miejsce.

Chloe, bardzo blada, spoczywała na ich małżeńskim łóżu. Miała otwarte oczy, lecz ciężko oddychała. Była przy niej Aliza. Izis pomagała Mikołajowi, który według Gauffégo przygotowywał coś specjalnego na wzmocnienie, a mysz rozgryzała swymi ostrymi zębami ziarnka ziół leczniczych do przygotowania wywaru dla chorej.

Ale Colin o tym nie wiedział, pędził, bał się, dlaczego nie wystarczy, jak się jest zawsze razem, jeszcze trzeba się bać. Może to wypadek, samochód ją przejechał, może leży na swoim łóżku, nie będę mógł jej zobaczyć, nie pozwolą mi wejść; czyżbyście myśleli, że boję się mojej Chloe, wejdę i tak; nie, Colin, nie wchodź. Może jest tylko ranna i nic jej nie będzie, jutro pójdziemy razem do Lasku, żeby znów zobaczyć ławkę, trzymałem ją za rękę, jej włosy były tuż obok moich, a jej zapach na poduszce. Zawsze biorę jej poduszkę, wieczorem będziemy nią rzucali, ona twierdzi, że moja jest zbyt nabita, nigdy się nie ugina pod ciężarem jej głowy, a ja zawsze ją potem zabieram i czuję zapach jej włosów — a teraz już nigdy więcej nie poczuję słodkiego zapachu jej włosów.

Chodnik stanął przed Colinem dęba, przeleciał nad nim gigantycznym skokiem, już był na pierwszym piętrze, wbiegł, otworzył drzwi, wszędzie cisza i spokój, nikogo w żałobie, żadnego księdza, spokój dywanów o szaroniebieskich wzorach. Mikołaj mu powiedział: „To nic groźnego”, a Chloe uśmiechnęła się, była szczęśliwa, że znów go widzi.

XXXIII

Ręka Chloe, ciepła i ufna, spoczywała w dłoni Colina. Jej jasne oczy, lekko zadziwione, wpływały na niego kojąco. Pod platformą w sypialni siedziały gromadzące się smutki, usilnie próbujące skoczyć sobie do gardeł.

Chloe czuła w swoim ciele jakąś ciemną siłę, w klatce piersiowej jakąś wrogą obecność, nie wiedziała, jak walczyć, kaszlała od czasu do czasu, żeby przemieścić przeciwnika wgrzonego we wnętrze jej ciała. Miała wrażenie, że wraz z każdym głębokim oddechem oddaje się żywcem na pastwę przyćmionej wściekłości wroga, jego podstępnej złośliwości. Pierś jej ledwo się unosiła, a kontakt gładkiej pościeli z długimi nagimi nogami łagodził ruchy. Lekko zgarbiony Colin siedząc tuż obok patrzył na nią. Zapadał zmrok, układał się w koncentryczne warstwy wokół świetlnego jądra lampki świecącej u wezglowia, przytwierdzonej do ściany i uwięzionej w okrągłej bryłce nie oszlifowanego kryształu.

— Włącz mi muzykę, kochany Colinie — poprosiła Chloe. — Nastaw melodie, które ty lubisz.

— To cię zmęczy — powiedział Colin.

Mówił z oddali i miał kiepską minę. Serce wypełniało mu całą klatkę piersiową, dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

— Nie, proszę — rzekła Chloe.

Colin wstał, zszedł po dębowej drabince i uruchomił automat. Głośniki były we wszystkich pomieszczeniach. Włączył te, które znajdowały się w sypialni.

— Co nastawiłeś? — zapytała Chloe.

Uśmiechnęła się. Dobrze wiedziała.

— Pamiętasz — odrzekł Colin.

— Pamiętam...

— Nie boli cię?

— Nie bardzo...

Tam gdzie rzeki wpadają do morza, powstaje nieprzebyty piaszczysty wał i kłębią się wielkie, pienne wiry unosząc przeróżne odpadki.

Pomiędzy zewnętrzny mrok a światło lampy napływały z ciemności wspomnienia, odbijały się od jasności i czasami zanurzone, czasami widoczne

ukazywały swoje białe brzuchy i srebrzyste grzbiety. Chloe uniosła się nieco.

— Usiądź koło mnie...

Colin przysunął się i ułożył w poprzek łóżka, a głowa Chloe spoczywała w zagłębieniu jego lewego ramienia. Koronka przy jej cienkiej bluzce tworzyła na złocistej skórze kapryśną siateczkę, lekko napiętą na brzegach piersi. Dłoń Chloe uchwyciła ramię Colina.

— Nie jesteś zły?...

— Dlaczego zły?

— Że masz taką głupiotką żonę...

Pocałował ją w zagłębienie ufnego ramienia.

— Przykryj trochę ramię, moja Chloe. Jeszcze się przeziębisz.

— Nie jest mi zimno — powiedziała Chloe. — Posłuchaj płyty.

Było coś eterycznego w grze Johnny Hodgesa, coś niewytłumaczalnego i całkowicie zmysłowego. Jakaś zmysłowość w stanie czystym, oderwana od ciała.

Rogi sypialni zmieniały się i zaokrąglały pod wpływem muzyki. Colin i Chloe spoczywali teraz w samym środku kuli.

— Co to było? — zapytała Chloe.

— To było *The Mood to be Wood* — powiedział Colin.

— Tak właśnie przeczuwałam — powiedziała Chloe.

— A jak doktor wejdzie do naszej sypialni, skoro przyjęła taki kształt?

XXXI V

Mikołaj poszedł otworzyć. Na progu stał doktor.

— Jestem lekarzem — powiedział.

— Świetnie — ucieszył się Mikołaj. — Gdyby zechciał pan zadać sobie trud i pójść za mną...

Pociągnął go za sobą.

— No proszę — wyjaśnił, gdy dotarli do kuchni. Niech pan tego skosztuje i powie mi, co o tym sądzi.

Był to nalany do krzemowo-sodowo-wapniowo zeszkłonego naczynia napój szczególnego koloru, coś między kasjuszowską purpurą a pęcherzową zielenią, z lekkim odchyleniem w stronę błękitu chromowego.

— Cóż to jest? — zapytał doktor.

— Napój... — powiedział Mikołaj.

— Tyle to ja wiem... ale, do czego służy?

— Na wzmocnienie — powiedział Mikołaj.

Doktor podniósł szklankę do nosa, powąchał, rozpromienił się, niuchnął mocniej i spróbował, potem wypił i złapał się za brzuch obiema rękami, puszczając swoją walizeczkę do doktoryzowania.

— Działa? Co? — zapytał Mikołaj.

— Buue!... No — przyznał doktor. — Szlag może trafić... Pan jest weterynarzem?

— Nie — odpowiedział Mikołaj — kucharzem. No, ale przynajmniej działa.

— I to nieźle — dodał doktor. — Czuję, jak wracają mi siły...

— Niech pan idzie obejrzyć chorą — powiedział Mikołaj. — Teraz już jest pan zdezynfekowany.

Doktor ruszył przed siebie, ale w złym kierunku. Wydawało się, że nie całkiem panuje nad swoimi ruchami.

— E! — zawołał Mikołaj. — Co pan!... Czy pan jest w stanie przeprowadzić badanie, co?

— Wolałbym usłyszeć zdanie jakiegoś kolegi, więc poprosiłem Zjadłjada, żeby przy-szedł...

— Dobrze — rzekł Mikołaj. — Chodź pan tędy.

Otworzył drzwi prowadzące na kuchenne schody.

— Zejdzie pan trzy piętra i skręci w prawo. Wejdzie pan i już pan będzie

na miejscu...

— Dobrze — powiedział doktor...

Zaczął schodzić, lecz nagle się zatrzymał.

— Ale gdzie ja jestem?

— Tutaj... — powiedział Mikołaj.

— Aha! Świetnie! — ucieszył się doktor.

Mikołaj zamknął drzwi. Nadchodził Colin.

— Co to było? — zapytał.

— Doktor. Wyglądał na idiotę, więc się go pozbyłem.

— Ale jakiś jest nam potrzebny — rzekł Colin.

— Oczywiście — przyznał Mikołaj. — Powinien przyjść Zjadłjad.

— To i lepiej — powiedział Colin.

Dzwonek zadzwonił ponownie.

— Stój — rzekł Colin — ja otworzę.

Na korytarzu mysz wdrapała mu się po nodze i przysiadła na prawym ramieniu. Przy-spieszył kroku i otworzył profesorowi.

— Dzień dobry! — powiedział ten ostatni.

Był ubrany na czarno i nosił wściekle żółtą koszulę.

— Fizjologicznie rzecz ujmując — stwierdził — kolor czarny na żółtym tle daje maksymalny kontrast. Dodam, że nie jest to męczące dla wzroku, no i trudno dać się przejechać na ulicy.

— Niewątpliwie — potwierdził Colin.

Profesor Zjadłjad mógł mieć na karku jakąś czterdziestkę. Był odpowiedniego wzrostu, żeby ją unieść. Ale ani jednego roku więcej. Miał gładko wygoloną twarz z krótką szpicbródką i pozbawione wyrazu okulary.

— Czy zechce pan udać się ze mną? — zaproponował Colin.

— Nie wiem — powiedział profesor — waham się...

W końcu się zdecydował.

— Kto jest chory?

— Chloe — powiedział Colin.

— Ach! — zawołał profesor — to mi przypomina pewną piosenkę...

— Tak — odparł Colin — to właśnie ona.

— Dobrze — zdecydował Zjadłjad — ruszajmy. Trzeba było od razu tak mówić. Co jej jest?

— Nie wiem — powiedział Colin.

— Ja też nie — wyznał profesor — teraz już mogę przyznać się do tego.

— Ale będzie pan wiedział? — zapytał zaniepokojony Colin.

— Niewykluczone — powiedział profesor Zjadłjad z powątpiewaniem. — Trzeba by ją jeszcze zbadać...

— No to chodź pan wreszcie... — rzekł Colin.

— Już lecę... — odparł profesor.

Colin zaprowadził go pod drzwi sypialni, i nagle coś sobie przypomniał.

— Ostrożnie przy wchodzeniu — powiedział — to jest okrągłe.

— To dla mnie żadna nowina — odrzekł Zjadłjad — jest w ciąży?...

— Coś pan — powiedział Colin... — ależ z pana cymbał... sypialnia jest okrągła.

— Całkiem okrągła? — zapytał profesor. — Pewnie pan puszczał płytę Ellingtona, co?

— Tak — przyznał Colin.

— Ja też mam go trochę w domu — powiedział Zjadłjad. — Zna pan *Slap Happy*?

— Wolę raczej — zaczął Colin, ale przypomniał sobie o czekającej Chloe i wepchnął profesora do sypialni.

— Dzień dobry — powiedział profesor.

Wdrapał się po drabince.

— Dzień dobry — odpowiedziała Chloe. — Jak się pan miewa?

— Mój Boże — odparł profesor — chwilami cierpię na wątrobę. Czy wie pani, co to może być?

— Nie — rzekła Chloe.

— No jasne — powiedział profesor — pani zapewne nie choruje na wątrobę.

Zbliżył się do Chloe i ujął jej dłoń.

— Trochę gorąco, hę?...

— Nie wydaje mi się.

— Tak — powiedział profesor — to źle...

Usiadł na łóżku.

— Oślucham panią, jeśli łaska.

— Ależ proszę — powiedziała Chloe.

Profesor wyjął ze swojej walizeczki stetoskop ze wzmacniaczem i przytknął słuchawkę do pleców Chloe.

— Proszę liczyć — powiedział.

Chloe policzyła.

— Oj, niedobrze — rzekł doktor — po dwudziestu sześciu wypadła dwadzieścia siedem.

— Tak — powiedziała Chloe — przepraszam najmocniej.

— Tyle zresztą wystarczy — rzekł doktor. — Czy pani kaszle?

— Tak — przyznała Chloe i zakaszła.

— Co jej jest, doktorze? — zapytał Colin — czy to coś poważnego?

— Hmm!... — odrzekł profesor. — Ma coś w prawym płucu. Ale ja nie wiem, co to jest...

— No więc? — zapytał Colin.

— Powinna przyjść do mnie na dokładniejsze badanie — powiedział profesor.

— Wolałbym, żeby nie wstawiała, doktorze — rzekł Colin. — Bo gdyby zasłabła, tak jak ostatniego popołudnia?

— Nie — powiedział profesor — to nie jest aż tak poważne. Dam pani receptę, ale trze-ba się będzie ściśle jej trzymać.

— Oczywiście, doktorze — odparła Chloe.

Uniosła dłoń do ust i zaczęła kasłać.

— Niech pani nie kaszle — powiedział Zjadłjad.

— Nie kaszł, mój skarbie — poprosił Colin.

— Nie mogę się powstrzymać — powiedziała Chloe rwącym się głosem.

— Słysząc jakąś dziwną muzykę w jej płucu — zauważył profesor.

Minę miał nieco zatroskaną.

— Czy to normalne, doktorze? — zapytał Colin.

— Do pewnego stopnia — odpowiedział profesor.

Skubnął swoją bródkę, a ona ponownie wróciła na »woje miejsce z suchym klapnięciem.

— Kiedy mamy przyjść do pana, doktorze? — zapytał Colin.

— Za trzy dni — powiedział profesor. — Muszę doprowadzić do porządku moją aparaturę.

— Nie posługuje się pan nią za często? — zapytała z kolei Chloe.

— Nie — powiedział profesor. — O wiele bardziej wolę konstruować modele samolotów, lecz stale ktoś przychodzi zawracać mi głowę, więc siedzę nad jednym już od roku i nie mam czasu go dokończyć. To naprawdę irytujące!...

— Bez wątpienia — przyznał Colin.

— To są rekiny — powiedział profesor. — Z upodobaniem porównuję się do nieszczęsnego rozbitka, na którego zaśnięcie czyhają żarłoczne monstra, pragnące wywrócić jego wątłą łupinę.

— Cóż za piękny obraz — rzekła Chloe i uśmiechnęła się leciutko, żeby na nowo się nie rozkaszać.

— Ostrożnie, moja mała — powiedział profesor, kładąc jej rękę na ramieniu. — Jest to obraz całkowicie idiotyczny, zważywszy, że według Geniusza Obywatelskiego z 15 października 1944, wbrew powszechnemu mniemaniu, tylko trzy czy cztery spośród trzydziestu pięciu znanych gatunków

rekinów są ludojadami! I na pewno nie zaatakują człowieka, jeśli on ich nie zaatakuje...

— Ależ pan ma gadane, doktorze — zawołała Chloe z podziwem.

Podobał jej się ten doktor.

— To tylko Geniusz Obywatelski — powiedział doktor. — To nie ja. Już państwa opuszczę.

Złożył soczystego całusa na prawym policzku Chloe, poklepał ją po ramieniu i zszedł po małej drabince. Zaczepił prawą nogą o lewą, a lewą o ostatni szczebelek i przewrócił się.

— Pańska instalacja jest dość szczególna — napomknął Colinowi masując sobie energicznie plecy.

— Bardzo przepraszam — powiedział Colin.

— A poza tym — dorzucił profesor — takie kuliste pomieszczenie ma w sobie coś deprymującego. Niech pan spróbuje puścić *Slap Happy*, od tego prawdopodobnie się wyprostuje, a jak nie, to trzeba będzie zheblować.

— Jasna sprawa — powiedział Colin. — Czy mógłbym zaproponować panu kieliszeczek?

— A niech tam — zgodził się profesor. — Do widzenia, moja mała — zawołał do Chloe, nim opuścił sypialnię.

Chloe cały czas się uśmiechała. Z dołu widać ją było siedzącą na wielkim podwyższonym łożu jak na okazałej estradzie, oświetlonej z boku przez lampę elektryczną. Promienie świetlne przesączały się przez jej włosy, przybierając barwę słońca igrającego w świeżej tra-wie, a światło, które przepłynęło przez jej skórę, układało się złociście na sprzętach.

— Ma pan piękną żonę — powiedział profesor do Colina w przedpokoju.

— Tak — potwierdził Colin.

I rozplakał się nagle, bo wiedział, że Chloe cierpi.

— No, no — powiedział profesor — stawia mnie pan w kłopotliwej sytuacji... Będę musiał pana pocieszyć... O, proszę...

Pogrzebał w wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął stamtąd notesik obłożony w czerwoną skórę.

— Niech pan popatrzy, to moja.

— Pańska? — zapytał Colin starając się uspokoić.

— Moja żona — wyjaśnił profesor.

Colin otworzył machinalnie notes i wybuchnął śmiechem.

— No proszę — powiedział profesor. — Skutkuje jak zawsze. Wszyscy pękają ze śmiechu. Ale, panie... co w niej jest takiego pocieszniego?

— Ja... ja... nie wiem — wybełkotał Colin i padł ofiarą ataku krańcowej wesołości.

Profesor odebrał swój notes.

— Wszyscy jesteście tacy sami — powiedział —, wydaje się wam, że kobieta to zaraz musi być piękna... I co z tym kieliszeczkiem, pijemy coś?

XXX
V

Colin, za którym szedł Chick, popchnął drzwi sklepu aptekarza. Zrobiły „dzyń!”, a szyba, która z nich wypadła, zwała się na skomplikowany system fiolek i aparatów laboratoryjnych.

Natychmiast zjawił się aptekarz zaalarmowany tym hałasem. Był wysoki, stary i chudy, a na jego łepetynie puszyła się siwa nastroszona grzywa.

Rzucił się na ladę, złapał za telefon i wykręcił numer z szybkością świadcząca o wieloletnim doświadczeniu.

— Halo! — zawołał.

Jego głos miał brzmienie syreny przeciwmgielnej, a podłoga pod jego długimi, czarnymi i płaskimi stopami bujała się równomiernie tam i z powrotem, podczas gdy masy dżdżu padały na ladę.

— Halo! Zakład Gershwin? Czy moglibyście państwo znów wstawić

szybę w moich drzwiach wejściowych?! Za kwadrans? Proszę się pospieszyć, bo może przyjść następny klient... Świetnie...

Odłożył słuchawkę, połączenie przerwało się z wielkim trudem.

— Czym mogę panom służyć?

— Dokonaniem egzekucji tej recepty — podsunął Colin.

Aptekarz wziął papier, złożył go na pół, zrobił z niego lingą wąską taśmę, którą wsadził w małą biurkową gilotynę.

— Hop i już gotowe — powiedział, naciskając czerwony guziczek.

Ostrze spadło, a recepta rozluźniła się i oklapła.

— Proszę przyjść dziś o zmierzchu koło szóstej, pańskie lekarstwa będą gotowe.

— Ale, my się raczej spieszymy...

— My — dodał Chick — chcielibyśmy dostać je od razu.

— W takim razie — odpowiedział sprzedawca — zechciejcie panowie zaczekać, a ja przygotuję, co trzeba.

Colin i Chick usiedli naprzeciw kontuaru na ławeczce pokrytej purpurowym aksamitem i czekali.

Sprzedawca kucnął pod ladą i opuścił pomieszczenie przez ukryte wyjście, czołgając się prawie niedosłyszalnie. Szuranie jego długiego i chudego ciała po podłodze przycichło, a potem rozpląnęło się w powietrzu.

Gapili się na ściany. Na długich etażerach ze spatynowanej miedzi stały słoje zawierające zwyczajne ziółka i niezawodne medykamenty. Gęsta fluorescencja emanowała z ostatniego słoika w każdym rzędzie. W stożkowatym naczyniu z grubego i nadźartego szkła opasłe kijanki kręciły opadające spirale, dochodziły do dna, jak strzały wzbijały się na powierzchnię i ponawiały swe odśrodkowe obroty, zostawiając za sobą białawą brudę zgęstniałej wody. Z boku, w głębi kilkunastometrowego akwarium, aptekarz ustawił szkólkę doświadczalną zab jednodysznych, tu i ówdzie poniewierało się kilka tych niezdatnych do użytku stworzeń, których cztery serca były jeszcze słabiutko.

Tuż za Chickiem i Colinem rozciągał się obszerny fresk przedstawiający sprzedawcę w trakcie spółkowania z własną matką, w stroju Cezara Borgii na wyścigach. Na stołach stały tłumy maszyn do produkcji pigułek i niektóre działały, tyle że na zwolnionych obrotach.

Pigułki wychodzące z cienkiej rurki z niebieskiego szkła były wychwytywane przez woskowe ręce, które wkładały je do rożków z marszczonego papieru.

Colin wstał, żeby przypatrzeć się najbliższej z maszyn, i uniósł zardzewiały karter, który ją osłaniał. Wewnątrz jakiś skomplikowany zwierz, na wpół cielesny, na wpół metalowy, trudił się srodze pochłaniając materiał podstawowy i wydalając go w postaci regularnych kuleczek.

— Chick, chodź, zobacz — zawołał Colin.

— A co? — zapytał Chick.

— To bardzo ciekawe!... — powiedział Colin.

Chick popatrzył. Zwierzątko miało wydłużoną szczękę, która poruszała się szybkimi bocznymi ruchami. Pod przezroczystą skórą widać było rurkowate żebra z cienkiej stali oraz przewód pokarmowy, który poruszał się leniwie.

— To zmodyfikowany królik — stwierdził Chick.

— Naprawdę?

— Często się tak robi — powiedział Chick. — Zachowuje się tylko pożądaną funkcję. Ten utrzymał perystaltykę przewodu pokarmowego z pominięciem chemicznego aspektu trawienia. Jest to dużo prostsze niż produkcja pigułek w tradycyjnym pigularzu.

— A co je to stworzenie? — zapytał Colin.

— Chromowane marchewki — powiedział Chick. — Produkowali je w fabryce, w której pracowałem zaraz po wyjściu z budy. No i oczywiście daje mu się komponenty tych proszków...

— Chytrze pomyślane — stwierdził Colin — i daje bardzo ładne pigułki.

— Tak — przyznał Chick. — Całkiem okrągłe.

— Powiedz mi — powiedział Colin wracając na miejsce...

— Co? — zapytał Chick.

— Ile ci jeszcze zostało z tych dwudziestu pięciu tysięcy dublezonów, które ci dałem przed wyjazdem w podróż?

— Hm!... — chrząknął Chick.

— Już najwyższa pora, żebyś zdecydował się poślubić Alizę. Musi być jej bardzo przy-kro, że nadal zachowujesz się tak, jak się zachowywałeś!!!

— Tak — odpowiedział Chick.

— W końcu zostało ci chyba jakieś dwadzieścia tysięcy dublezonów? Jak by nie było... To dość, żebyś się ożenił...

— Bo, tego... — powiedział Chick.

Zatrzymał się, gdyż ciężko mu było wybrnąć.

— Bo którego? — nastawa! Colin. — W końcu nie ty jeden masz kłopoty finansowe...

— Wiem — powiedział Chick.

— No więc? — zapytał Colin.

— No więc — powiedział Chick — zostało mi tyłku trzy tysiące dwieście dublezonów...

Colin poczuł się bardzo zmęczony. Jakieś ostre i bezbarwne przedmioty kręciły się w jego głowie z niewyraźnym odgłosem przyływu. Wyprostował się na ławce.

— To niemożliwe — szepnął.

Był zmęczony, tak jakby przed chwilą solidnie przegoniono go batem po torze wyścigowym.

— To niemożliwe... — powtórzył. — Żartujesz sobie ze mnie.

— Nie... — rzekł Chick.

Chick stał. Czubkiem palca drapał brzeg najbliższego stołu. Pigułki toczyły się w szkła-nych rurkach z cichym odgłosem toczących się kulek, a szelest papieru w woskowych rękach tworzył atmosferę jadłodajni z późnego paleolitu.

— No, ale coś ty z nimi zrobił? — zapytał Colin.

— Nakupowałem Partra — powiedział Chick.

Pogrzebał w kieszeni..

— Popatrz na tego. Znalazłem go wczoraj. Czyż nie jest cudowny?

Było to *Beknięcie w kwiatach* oprawne w haftowany perłami safian, z ilustracjami Kierkegaarda.

Colin wziął książkę, popatrzył na nią, lecz nie widział stron. Widział oczy Alizy na swoim ślubie i te jej spojrzenia pełne zasmuconego oczarowania, które rzucała na suknię Chloe. Ale Chick nie potrafił zrozumieć. Oczy Chicka nigdy nie wędrowały tak wysoko.

— I cóż ja ci mogę powiedzieć... — wyszeptał Colin. — Znaczy, że wszystko wydałeś?...

— W zeszłym tygodniu zdobyłem dwa jego manuskrypty — powiedział Chick, a głos mu drżał z podniecenia. — I nagrałem już siedem jego wykładów...

— Tak... — westchnął Colin.

— Po co mnie o to wypytyujesz? — zapytał Chick. — Alizie jest wszystko jedno, czy się z nią ożenię, czy nie. I bez tego jest szczęśliwa. Ja bardzo ją kocham, jak wiesz, no i poza tym ona również bardzo lubi Partra!

Wyglądało, jakby jedna z maszyn nieco się rozbiegała. Pigułki wyskakiwały jak z pro-cy, a gdy wpadały do papierowych rożków, tryskały fioletowe iskry.

— Co się dzieje? — zapytał Colin. — Czy to jest niebezpieczne?

— Nie sędzę — powiedział Chick. — Na wszelki wypadek nie stójmy za blisko.

Usłyszeli, jak gdzieś w oddali zamykają się jakieś drzwi, i nagle spod kontuaru wynurzył się aptekarz.

— Kazałem panom na siebie czekać — powiedział.

— Nic nie szkodzi — zapewnił Colin.

— A i owszem... — powiedział sprzedawca. — Ja to zrobiłem specjalnie. To dla pod-kreślenia mojego prestiżu.

— Wygląda, jakby jedna z pańskich maszyn się rozbiegała... — rzekł Colin, wskazując na owo urządzenie.

— Ach!... — westchnął sprzedawca.

Schylił się, wyciągnął spod lady karabin, spokojnie przyłożył do ramienia i wypalił. Maszyna fiknęła koziółka i padła w przedśmiertelnych drgawkach.

— Nic się nie stało — powiedział aptekarz. — Od czasu do czasu królik bierze górę nad stalą i trzeba oboje uspokoić.

Podniósł maszynę, przycisnął wewnętrzny karter, żeby się wykrwawiła i zawiesił ją na gwoździu.

— Oto pańskie lekarstwa — rzekł, wyciągając z kieszeni pudełko. — Tylko ostrożnie, są bardzo silne. Nie wolno ich przedawkować.

— Ach! — zawołał Colin. — A tak według pana, na co to jest?

— Nie mogę powiedzieć... — odparł sprzedawca.

Zanurzył w siwej czuprynie swą długą rękę o pofałdowanych paznokciach.

— To może być przeciw całemu mnóstwu rzeczy — zakonkludował. — Ale zwykła roślina na pewno nie mogłaby się długo opierać...

— Ach! — westchnął Colin. — Ile jestem panu winien?

— To jest okropnie drogie — powiedział sprzedawca. — Powinien mi pan dać w łeb i zwiać bez płacenia...

— Och! — powiedział Colin — jestem zbyt zmęczony...

— W takim razie dwa dublezony — rzekł sprzedawca.

Colin wyciągnął portfel.

— Wie pan — dodał sprzedawca — to naprawdę rozbój.

— Wszystko mi jedno... — powiedział Colin grobowym głosem.

Zapłacił i poszedł. Chick podążał za nim.

— Głupiec z pana — powiedział aptekarz odprowadzając ich do drzwi. — Jestem stary i z natury uległy.

— Nie mam czasu — wyszeptał Colin.

— A nieprawda — rzekł sprzedawca. — Nie czekałby pan tak długo...

— Teraz mam już lekarstwo — powiedział Colin. — Do widzenia panu.

Szedł skosem przez ulicę, żeby oszczędzać siły.

— Słuchaj — powiedział Chick — nie rozstanę się przecież z Alizą tylko dlatego, że się z nią nie żenię...

— Och! — powiedział Colin. — I cóż ja ci mogę na to powiedzieć... W końcu to twoja prywatna sprawa...

— Takie jest życie — stwierdził Chick.

— Nie — odparł Colin.

XXXV I

Wiatr torował sobie drogę przez liście i wylatywał z drzew pełen zapachów pączków i kwiatów. Ludzie chodzili jakby jakoś wyżej i oddychali głębiej, bo powietrza było jakby w bród. Słońce powoli rozpościerało swoje promienie i myszkując ostrożnie w miejscach, do których nie mogło dosięgnąć wprost, zakrzywiało je pod kątami miękkimi i wypukłymi, jednak natrafiwszy na jakieś czarne przedmioty, cofało je błyskawicznie ruchem złocistej ośmiornicy. Jego olbrzymia ognista skorupa zbliżyła się powoli, po czym, nieruchoma, zaczęła odparowywać wody kontynentalne, zaś zegary wybiły trzy razy.

Colin czytał Chloe jakąś powieść. Była to historia o miłości z dobrym zakończeniem. Bohater i bohaterki właśnie pisali do siebie listy.

— Dlaczego to się tak wlecze? — zapytała Chloe. — Zazwyczaj idzie o wiele szybciej...

— Czyżbyś miała jakieś doświadczenie w tym względzie? — zapytał Colin.

Uszczypał mocno koniuszek promienia słonecznego, który próbował urazić

Chloe w oko. Ten wycofał się ospale i zaczął wędrować po meblach sypialni.

Chloe spłoszyła.

— Nie mam żadnego doświadczenia... — powiedziała nieśmiało — ale wydaje mi się...

Colin zamknął książkę.

— Masz rację, moja Chloe — powiedział.

Podniósł się i podszedł do łóżka.

— Pora wziąć jedną z tych twoich pigułek.

Chloe zadrżała.

— To bardzo nieprzyjemne — powiedziała. — Czy naprawdę muszę?

— Tak sędzę. Właśnie dziś, po południu idziemy do doktora i wreszcie dowiemy się, co ci dolega. Na razie musisz łykać pigułki. Może później przepisze ci coś innego...

— One są straszne — powiedziała Chloe.

— Trzeba być rozsądnym.

— Gdy biorę jedną, to tak jakby dwie bestie walczyły w moim płucu. A poza tym to wcale nieprawda, wcale nie trzeba być rozsądnym...

— Nie warto być, ale czasami trzeba — powiedział Colin.

Otworzył pudełeczko.

— Mają obrzydliwy kolor — stwierdziła Chloe — I brzydko pachną.

— Są dziwne, przyznaję — rzekł Colin — ale trzeba je łykać.

— Popatrz — powiedziała Chloe. — Same się ruszają, a do tego są na wpół przezroczyste i na pewno w środku siedzi coś żywego.

— Ale w wodzie, którą popijasz, z pewnością długo nie pożyje — powiedział Colin.

— Co za głupstwa gadasz... a może to ryba...

Colin zaczął się śmiać.

— Więc cię wzmocni.

Nachylił się i pocałował ją.

— Połknij ją, moja Chloe, bądź grzeczna!

— Bardzo bym chciała — powiedziała Chloe — ale za to mnie pocałujesz!

— Jasne — powiedział Colin. — Jeśli nie jest ci nieprzyjemnie całować takiego paskudnego męża jak ja...

— To prawda, że nie jesteś za piękny — powiedziała Chloe przekornie.

— To nie moja wina.

Colin zwiesił nos na kwintę.

— Za mało śpiam — ciągnął.

— Mój kochany, pocałuj mnie, jestem wstrętna. Daj mi dwie pigułki.

— Jesteś szalona, Chloe — odparł Colin. — Tylko jedną. No, łykaj!

Chloe zamknęła oczy, zbladła i przycisnęła rękę do piersi.

— O właśnie — powiedziała z wysiłkiem. — Znowu się zaczyna...

Kropelki potu pojawiły się tuż przy jej błyszczących włosach.

Colin usiadł przy Chloe i otoczył ramieniem jej szyję. Złapała jego dłoń w swoje i zajęczała.

— Spokojnie, moja Chloe — powiedział Colin — tak trzeba.

— Boli... — wyszeptała Chloe.

Łzy, wielkie jak oczy, pojawiły się w kącikach jej powiek i nakreśliły zimne bruzdy na delikatnych i okrągłych policzkach.

XXXVI I

— Nie mam już siły ustać na nogach... — wyszeptała Chloe. Obie nogi postawiła na podłodze i próbowała się podnieść.

— Nic z tego — powiedziała... — jestem całkiem do niczego.

Colin podszedł i unióś ją do góry. Uczępiła się jego ramion.

— Trzymaj mnie, Colin, bo upadnę!

— To leżenie w łóżku tak cię osłabiło... — powiedział Colin.

— Nie — odparła Chloe. — To przez te pigułki tego starego handlarza.

Próbowała utrzymać się sama, lecz straciła równowagę. Colin złapał ją, a ona padając pociągnęła go na łóżko.

— Jak mi teraz dobrze — powiedziała Chloe. — Zostań przy mnie. Tak długo nie spaliśmy ze sobą!

— Nie można — odrzekł Colin.

— Owszem, właśnie że można. Pocałuj mnie. Jestem twoją żoną czy nie?

— Tak — przyznał Colin — ale źle się czujesz.

— To nie moja wina — powiedziała Chloe, a usta jej zadrżały, jakby się miała za chwilę rozplakać.

Colin pochylił się nad nią i pocałował ją leciutko, jak gdyby całował jakiś kwiat.

— Jeszcze — zażądała Chloe. — I nie tylko po twarzy... Więc już mnie nie kochasz? Nie pragniesz już kobiety?

Mocniej objął ją ramionami. Była ciepła i pachnąca, jak flakon perfum wyjęty z wyściełanego na biało pudełka.

— Tak — westchnęła Chloe przeciągając się — jeszcze...

XXXVII I

— Spóźnimy się — zapewnił Colin.

— Nic nie szkodzi — odparła Chloe — przestaw sobie zegarek.

— Naprawdę nie chcesz, żebyśmy pojechali samochodem?...

— Nie... Chcę się przejść z tobą po ulicach.

— Ale to kawał drogi!

— Nic nie szkodzi — rzekła Chloe... — Kiedy przed chwilą mnie... całowałeś, wróciły mi siły. Mam ochotę na mały spacer.

— Powiem Mikołajowi, żeby przyjechał po nas samochodem, co? —

zasugerował Colin.

— Och! Jeśli ci na tym zależy...

Na wizytę u doktora ubrała się w sukienkę o delikatnym błękitnym odcieniu, głęboko wyciętą w szpic, oraz futerko z leoparda i odpowiednio dopasowany toczek. Buciki z farbowanego węża wieńczyły całość.

— Chodź, kotku — powiedział Colin.

— To wcale nie jest z kota — zapewniła Chloe. — Tylko z leoparda.

— Za trudne do wymówienia — powiedział Colin.

Opuścili sypialnię i weszli na korytarz. Chloe zatrzymała się przed oknem.

— A co się tu dzieje? Jest jakby mniej jasno niż zazwyczaj...

— Na pewno nie—powiedział Colin. — Pełno tu słońca.

— Ależ tak — powiedziała Chloe — dobrze pamiętam, słońce dochodziło aż do tego szlaczka na dywanie, a teraz tylko dotąd...

— To zależy od godziny — powiedział Colin.

— Skąd, wcale nie zależy od godziny, bo wtedy była ta sama godzina!...

— Zobaczmy jutro o tej samej porze.

— Sam widzisz, dochodził do siódmego paska. A teraz jest na piątym.

— Chodźmy — powiedział Colin. — Już jesteśmy spóźnieni.

Chloe uśmiechnęła się przed wielkim lustrem w wykafelkowanym korytarzu. To, na co cierpiała, nie mogło być niczym poważnym, od tej chwili będą mogli często chodzić razem na spacer. Colin będzie oszczędnie gospodarować swoimi dublezonami, a ma ich dostatecznie dużo na urządzenie wygodnego życia. Może poszedłby do pracy...

Trzasnęła stal zapadki i drzwi zamknęły się. Chloe ujęła go za ramię. Szła lekkimi, drobnymi kroczkami. Na jej dwa Colin robił jeden.

— Jestem taka zadowolona — powiedziała Chloe. — Słońce świeci, a drzewa pachną tak pięknie.

— Pewnie! Wiosna!

— Tak? — zapytała Chloe, robiąc złośliwą minkę.

Skręcili w prawo. Mieli jeszcze do obejścia dwa budynki, nim weszli do dzielnicy lekarskiej. Sto metrów dalej poczuli zapach środków przeciwbólowych, który w dni wietrzne dochodził jeszcze dalej. Zmienił się też sam chodnik. W tym momencie był to szeroki i płaski kanał, przykryty gęstą betonową kratą o wąskich prętach. Pod kratą płynął alkohol zmieszany z eterem, a w jego nurtach płynęły tampony, upaprane jakimiś cieciami, ropą, a gdzieś tam krwią. Długie włókna na poły skrzepłej krwi zabarwiały tu i ówdzie bystry nurt, a skrawki na wpół gnijącego ciała przepływały powoli, obracając się wokół własnej osi jak zbyt nadtopione góry lodowe. Czuć było jedynie zapach eteru. Kłębki gazy i bandaży również płynęły z nurtem, rozwijając swoje uśpione zwoje. Z prawej strony każdego domu odchodził do kanału specjalny odpływ i łatwo było określić specjalizację lekarską obserwując przez kilka chwil jego wylot. Z jednego wytoczyło się oko, popatrzyło na nich przez moment i zniknęło pod szerokim pokładem czerwonej waty, rozlazłej jak śnięta meduza.

— Nie podoba mi się to — rzekła Chloe. — Powietrze być może jest zdrowe, ale pa-trzeć się na to nie da...

— Nie — przyznał Colin.

— Chodźmy środkiem ulicy.

— Dobrze — powiedział Colin. — Tyle, że ktoś nas jeszcze przejedzie.

— Źle zrobiłam rezygnując z samochodu — stwierdziła Chloe. — Już nóg nie czuję.

— Twoje szczęście, że on mieszka dość daleko od dzielnicy chirurgii ogólnej...

— Daj spokój — powiedziała Chloe. — Czy to jeszcze daleko?

Nagle znowu zaczęła kasłać, a Colin zbladł.

— Chloe, nie kaszl!... — błagał.

— Dobrze, mój drogi... — powiedziała, powstrzymując się z trudem.

— Nie kaszl... jesteśmy już na miejscu... to tu.

Szydł profesora Zjadłjada przedstawiał potężną szczękę pożerającą łopate — było widać już tylko trzonek. Ubawiło to Chloe. Ale bardzo ostrożnie, bardzo cichutko, ze strachu, że znowu będzie kaszleć. Wzdłuż ścian wisiały kolorowe fotografie cudownych ozdowieńców profesora, przyozdobione światełkami, które na razie nie funkcjonowały.

— Sama widzisz — powiedział Colin. — To wspaniały specjalista. Inne domy nie są tak bogato ozdobione.

— To świadczy jedynie, że ma dużo pieniędzy — odparła Chloe.

— I dobry gust — dodał Colin. — To prawdziwe dzieło sztuki.

— Faktycznie — przyznała Chloe. — Przypomina wzorcową jatkę.

Weszli i znaleźli się w wielkim okrągłym westybulu, emaliowanym na biało. Podeszła do nich pielęgniarka.

— Czy państwo są umówieni? — zapytała.

— Tak — odparł Colin. — Być może się trochę spóźniliśmy...

— To bez znaczenia — zapewniła pielęgniarka. — Profesor skończył już na dzisiaj operacje. Proszę za mną.

Poszli za nią posłusznie, a ich kroki odbijały się od podłogowej emalii dźwiękiem wysokim i matowym. Otworzył się ciąg drzwi w okrągłej ścianie, a pielęgniarka doprowadziła ich do następnych, na których wisiała wytłoczona w złocie, pomniejszona reprodukcja gigantycznego zewnętrznego szyldu. Otworzyli następne drzwi, przezroczyste i masywne, i znaleźli się w gabinecie profesora. Ten ostatni, stojąc przed oknem, perfumował swoją bródkę szczoteczką do zębów umoczoną w wyciągu z opoponaxa.

Usłyszawszy hałas odwrócił się i ruszył w kierunku Chloe z wyciągniętą ręką.

— No i jak się pani dziś czuje?

— Te pigułki były straszne — powiedziała Chloe.

Twarz profesora spochmurniała. Wyglądał teraz jak oktawon.

— To przykre... — wymamrotał profesor. — Tak właśnie myślałem.

Przez minutę stał bez ruchu, z zamyśloną miną, nagle zorientował się, że nadal trzyma w ręku szczoteczkę do zębów.

— Niech pan to potrzyma — powiedział wciskając ją Colinowi do ręki. — Niech pani usiądzie, koteczku — poprosił Chloe.

Obszedł gabinet dookoła i sam też usiadł.

— Widzi pani — rzekł do niej — coś jest z pani płucem. A dokładniej, coś jest w pani płucu. Miałem nadzieję, że to będzie...

Urwał i podniósł się.

— Co tu gadać po próznicy — powiedział. — Niech pani pójdzie ze mną. A pan położy tę szczotkę gdziekolwiek, dorzucił pod adresem Colina, który naprawdę nie wiedział, co z nią zrobić.

Colin chciał iść za Chloe i profesorem, ale musiał odsunąć coś w rodzaju niewidzialnej gęstej zasłony, która ich przedzieliła. Jego serce odczuwało dziwny lęk i biło nieregularnie. Napiął się, zebrał w sobie i zacisnął pięści, zebrawszy wszystkie siły, postąpił kilka kroków i gdy tylko dotknął dłoni Chloe, zasłona znikła.

Chloe trzymała profesora za rękę, a ten prowadził ją do małej, białej sali, o chromowanym suficie, której jeden z boków był zajęty przez gładkie i przysadziste urządzenie.

— Wolałbym, żeby pani usiadła — powiedział profesor. — To nie potrwa długo.

Na wprost aparatu znajdował się ekran z czerwonego srebra, oprawnego w kryształ, i tylko jedno, czarno emaliowane pokrętło lśniło na postumencie.

— Pan zostaje? — zapytał profesor Colina.

— Wolałbym — powiedział Colin.

Profesor przekręcił pokrętło. Światło w postaci jasnej błyskawicy umknęło z pomieszczenia przez szparę pod drzwiami i otwór wentylacyjny, umieszczony tuż nad maszyną, zaś ekran rozjaśnił się powoli.

XXXIX

Profesor Zjadłjad poklepał Colina po plecach.

— Mój stary, nie przejmuj się pan — powiedział mu.

— Wszystko może się jeszcze ułożyć.

Colin, zdruzgotany, patrzył w podłogę. Chloe trzymała go pod ramię. Bardzo się wysilała, żeby wyglądać na wesołą.

— Ależ tak — powiedziała — to nie będzie trwało długo.

— Zapewne — bąknął Colin.

— W końcu — rzekł profesor — jeśli będzie przestrzegała moich zaleceń, prawdopodobnie poczuje m lepiej..

— Prawdopodobnie — powiedział Colin.

Znajdowali się w okrągłym i białym westybulu i głos Colina odbijał się od sufitu, jak gdyby dochodził z bardzo daleka.

— W każdym razie — podsumował profesor — przyślę panu rachunek.

— Oczywiście — powiedział Colin. — Dziękuję za troskę, doktorze...

— A gdyby nie miało się ku lepszemu — rzekł profesor — proszę do mnie przyjść. Istnieje jeszcze możliwość operacji, o czym nawet nie wspomnieliśmy...

— Ależ tak — powiedziała Chloe ściskając ramię Colina, ale tym razem zaczęła szło-chać.

Profesor ciągnął swoją bródkę całymi garściami.

— To bardzo kłopotliwe — powiedział.

Zapadła cisza. Za przezroczystymi drzwiami pojawił się pielęgniarka i zastukała dwukrotnie. Przed jej nosem zapalił się umieszczony w drzwiach zielony napis „wejść”

— Przyszedł jakiś pan, który prosił przekazać państwu, że Mikołaj już jest.

— Dziękuję, Cierwo, może pani odejść — rzekł profesor — a pielęgniarka wykonała polecenie.

— No dobrze — szepnął Colin — pożegnamy się z panem, doktorze...

— Oczywiście... — powiedział profesor. — Do widzenia... Niech pani dba o siebie... może spróbuje wyjechać...

XL — Coś nie gra? — nie odwracając się zapytał Mikołaj, zanim samochód ruszył.

Chloe cały czas płakała w białe futro, a Colin wyglądał jak martwy.

Zapach z chodników wznosił się coraz wyżej. Wyziewy eteru wypełniały całą ulicę.

— Jedź — powiedział Colin.

— Co jej jest? — zapytał Mikołaj.

— Och! Najgorsze, co może być — odparł Colin. Zdał sobie sprawę z tego, co powiedział, i spojrzał na Chloe.

W tej chwili kochał ją do tego stopnia, że gotów był się zabić za tę swoją niezręczność.

Chloe, skulona w kącie samochodu, gryzła rękę. Lśniące włosy opadały jej na twarz, deptała swój futrzany toczek. Płakała ze wszystkich sił, jak niemowlę, lecz bezgłośnie.

— Wybacz mi, moja Chloe. Jestem potworem.

Zbliżył się do niej i przytulił ją do siebie. Całował biedne, przerażone oczy i czuł, jak serce w jej piersi bije głuchymi i powolnymi uderzeniami.

— Wyleczymy cię — zapewnił. — Ja chciałem tylko powiedzieć, że nie mogło się nic gorszego przydarzyć niż to, że jesteś chora, bez względu na to, jaka to choroba...

— Boję się... — powiedziała Chloe. — Na pewno będzie mnie operował.

— Nie — odparł Colin. — Wyzdrowiejesz wcześniej.

— Co jej jest? — powtórzył Mikołaj. — Czy mogę w czymś pomóc?

On również miał bardzo nieszczęśliwą minę. Jego zwykła pewność siebie została mocno nadszarpnięta.

— Moja Chloe — powiedział Colin — uspokój się.

— To pewne — powiedział Mikołaj. — Wyzdrowiejesz bardzo szybko.

— Ten nenufar — mruknął Colin. — Gdzie ona mogła go złapać?

— Ona ma nenufara? — zapytał z niedowierzaniem Mikołaj.

— W prawym płucu — powiedział Colin. — Profesor myślał początkowo, że to jakieś zwierzę. Ale to jest to. Widzieliśmy go na ekranie. Jest już dość duży, ale w końcu jakoś sobie z nim poradzimy.

— Oczywiście — powiedział Mikołaj.

— Nawet nie wyobrażacie sobie, co to jest — załkała Chloe — jak to strasznie boli, kiedy on się rusza!!!

— Niech pani nie płacze — poprosił Mikołaj. — Nic to nie daje, a tylko się pani zmęczy.

Samochód ruszył. Mikołaj prowadził ostrożnie pomiędzy skomplikowanymi konstrukcjami budynków.

Słońce powoli chowało się za drzewami i zerwał się wiatr.

— Doktor uważa, że powinna pojechać w góry — powiedział Colin. — Twierdzi, że mróz może to paskudztwo zabić...

— Musiała go złapać w drodze — stwierdził Mikołaj. — Tam było pełno obrzydliwości tego rodzaju.

— Powiedział też, że musi być cały czas otoczona kwiatami — dorzucił Colin — żeby nastraszyć tamtego...

— Dlaczego? — zapytał Mikołaj.

— Bo gdyby zakwitł — powiedział Colin — wyrosłyby nowe. Ale nie pozwolimy mu zakwitnąć...

— I to cała kuracja? — zapytał Mikołaj.

— Nie.

— A co jeszcze?

Colin wahał się, czy odpowiedzieć. Czuł, jak Chloe łka na jego piersi i wzdragał się na myśl o torturze, jaką będzie jej musiał zadać.

— Nie wolno jej pić... — szepnął.

— Co?... — zapytał Mikołaj. — W ogóle?...

— Tak — powiedział Colin.

— Ale przecież chyba nie zupełnie!...

— Dwie łyżeczki dziennie — wyszeptał Colin.

— Dwie łyżeczki!... — powiedział Mikołaj.

Nic już nie dodał, tylko wbił wzrok w drogę przed sobą.

XLI Aliza zadzwoniła dwukrotnie i czekała. Drzwi wejściowe wydały się jej węższe niż zazwyczaj, Dywan był jakiś matowy i cieńszy. Otworzył Mikołaj.

— Dzień dobry!... — powiedział. — Przyszłaś w odwiedziny?

— Tak — odpowiedziała Aliza. — Czy są w domu?

— Owszem — powiedział Mikołaj. — Wejdz, jest Chloe.

Zamknął drzwi. Aliza oglądała dywan.

— Tu jest jakby ciemniej niż poprzednio — zauważyła. — Od czego to zależy?

— Nie wiem — odrzekł Mikołaj.

— To dziwne — powiedziała Aliza. — Czy tu niej wisiał obraz?

— Już nie pamiętam — odpowiedział Mikołaj.

Niepewnie przejechał ręką po włosach.

— Rzeczywiście — powiedział — ma się wrażenie, że atmosfera nie jest już taka sama.

— Tak — stwierdziła Aliza. — To właśnie jest to.

Miała na sobie świetnie skrojony kostium i wielki bukiet narcyzów w

dłoni.

— Ty jesteś w formie. Wszystko gra? — powiedział Mikołaj.

— Tak — odrzekła Aliza — w porządku. — Chick podarował mi kostium, jak widzisz.

— Bardzo ci w nim do twarzy — stwierdził Mikołaj.

— To szczęście — powiedziała Aliza — że księżna de Bovouard ma te same wymiary co ja. Okazyjnie kupiony. Chick chciał jakiś papier, który był w jednej kieszeni, więc go kupił.

Popatrzyła na Mikołaja i dodała:

— Nie wyglądasz najlepiej.

— Hmm! — mruknął Mikołaj. — Sam nie wiem. Mam wrażenie, że się starzeję.

— Pokaż swój paszport — poprosiła Aliza.

Pogrzebał w wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Proszę — powiedział.

Aliza otworzyła paszport i zbladła.

- Ile miałeś wtedy lat? — zapytała cicho.

- Dwadzieścia dziewięć... — powiedział Mikołaj.

— Spójrz...

Policzył. Miał trzydzieści pięć.

— Nie rozumiem — stwierdził.

— To musi być jakaś pomyłka — powiedziała Aliza. — Nie wyglądasz na więcej niż dwadzieścia dziewięć.

— Wtedy wyglądałem na dwadzieścia jeden — odparł Mikołaj.

— Wszystko się na pewno ułoży — powiedziała Aliza.

— Masz bardzo ładne włosy — powiedział Mikołaj. — Chodź, pójdziemy do Chloe.

— Coś w tym jest — powiedziała Aliza zamyślona.

— Och! — powiedział Mikołaj. — To wszystko przez tę chorobę.

Wstrząsnęła nami. Ale wszystko się ułoży i ja odmłodnieję.

Chloe leżała rozciągnięta w swoim łóżku w jedwabnej piżamie koloru malwy i w długim szlafroku z atłasu pikowanego jasną beżowo-pomarańczową nitką. Wokół niej było mnóstwo kwiatów, głównie orchidei i róż. Były również hortensje, goździki, kamelie, długie gałęzie kwiatów brzoskwini i migdałowca oraz całe naręczka jaśminu Tors miała odkryty, a wielka błękitna korona odcinała się od jej bursztynowej prawej piersi. Policzki były zaróżowione, oczy błyszczące, lecz suche, a włosy lekkie i naelektryzowane jak jedwabne niteczki.

— Jeszcze się przeziębisz — zawołała Aliza. — Przykryj się!

— Nie — szepnęła Chloe. — Tak trzeba. Tego wymaga kuracja.

— Jakie piękne kwiaty! — zauważyła Aliza. — Colin chyba się rujnuje — dodała wesoło, żeby rozbawić Chloe.

— Tak — powiedziała Chloe i blado się uśmiechnęła.

— Szuka pracy — powiedziała cichym głosem. — Dlatego go tu nie ma.

— Dlaczego mówisz w ten sposób? — zapytała Aliza.

— Chce mi się pić... — powiedziała Chloe na wydechu.

— Naprawdę pijesz tylko dwie łyżeczki dziennie? — zapytała Aliza.

— Tak... — westchnęła Chloe.

Aliza pochyliła się i ucałowała ją.

— Wkrótce wyzdrowiejesz.

— Tak — powiedziała Chloe. — Jutro wyjeżdżam samochodem z Mikołajem.

— A Colin? — zapytała Aliza.

Zostaje. Musi pracować. Mój biedny Colin!... Nie ma już dublezonów...

— Dlaczego? — zapytała Aliza.

— Kwiaty...

— Czy on rośnie? — wyszeptała Aliza.

— Nenufar? — zapytała Chloe cichutko. — Nie, przypuszczam, że się wyniesie.

— Więc się cieszysz?

— Tak — powiedziała Chloe. — Ale tak bardzo chce mi się pić.

— Dlaczego nie zapalasz światła? — zapytała Aliza. — Tu jest bardzo ciemno.

— To od pewnego czasu — odrzekła Chloe. — To od pewnego czasu. Nic nie można poradzić. Sama spróbuj.

Aliza pokręciła wyłącznikiem i delikatna poświata zarysowała się wokół lampy.

— Lampy umierają — powiedziała Chloe. — Ściany się też kurczą. I okno także.

— Naprawdę? — zapytała Aliza.

— Spójrz...

Wielkie szklane okna, które biegły niegdyś wzdłuż całej ściany, teraz stanowiły dwa wydłużone prostokąty, zaokrąglone na końcach. Pośrodku okna utworzyło się coś w rodzaju włókna łączącego oba brzegi i zagrządzającego drogę słońcu. Sufit wyraźnie się obniżył, a platforma, na której spoczywało łóżko Colina i Chloe, nie była już tak wysoko nad ziemią.

— Jak to się może dzieć? — zapytała Aliza.

— Nie mam pojęcia... — powiedziała Chloe. — O, mamy trochę światła.

W tym momencie weszła czarnowąsa mysz, niosąc kawałeczek szybki z korytarza kuchennego, który wysyłał ostre światło.

— Gdy tylko robi się ciemno — wyjaśniła Chloe — przynosi mi go trochę.

Pogłaskała zwierzątko, które zostawiło swój łup na nocnym stoliku.

— To jednak miło, że przyszłaś do mnie w odwiedziny — powiedziała Chloe.

— Och! — zawołała Aliza — wiesz przecież, że bardzo cię lubię.

— Wiem — powiedziała Chloe. — A co u Chicka?

— Och! W porządku. Kupił mi kostium.

— Bardzo ładny — stwierdziła Chloe. — Dobrze ci w nim.

Urwała.

— Boli cię? — zapytała Aliza. — Moje biedactwo.

Nachyliła się i pogłaskała Chloe po policzku.

— Tak — jęknęła Chloe. — Tak chce mi się pić...

— Rozumiem — powiedziała Aliza. — Gdybym cię pocałowała, może nie chciałoby ci się tak bardzo pić.

— Tak — szepnęła Chloe.

Aliza pochyliła się nad nią.

— Och! — westchnęła Chloe. — Jakie masz świeże wargi...

Aliza uśmiechnęła się. Oczy miała wilgotne.

— Dokąd wyjeżdżasz? — zapytała.

Niedaleko, w góry — powiedziała Chloe.

Przewróciła się na lewy bok.

— Bardzo kochasz Chicka?

— Tak — odpowiedziała Aliza. — Ale on bardziej kocha swoje książki.

— Nie wiem — powiedziała Chloe. — Być może to prawda. Gdybym nie wyszła za Colina, tak bardzo bym chciała, żebyś to ty z nim była.

Aliza pocałowała ją jeszcze raz.

XLII

Chick wyszedł ze sklepu. Nie znalazł w nim dla siebie nic ciekawego. Szedł patrząc na swoje stopy, obute w czerwonobrazową skórę, i zdziwił się, bo jedna próbowała zanieść go w jedną stronę, a druga w kierunku przeciwnym. Podumał przez kilka chwil, przeprowadził w myślach dwusieczną kąta i ruszył wzdłuż tej linii. O mało nie przejechała go wielka tłusta taksówka, a swoje zbawienie zawdzięczał jedynie wdzięcznemu skokowi, który rzucił go wprost na nogę jakiegoś przechodnia. Ten zaklął szpetnie i poszedł do szpitala na opatrunek.

Chick ruszył dalej, przed nim znajdowała się księgarnia, a że ulica nazywała się Jimmy-Noone, szyld był wymalowany na wzór Mahogany Hall w wykonaniu Lulu White. Pchnął drzwi, a te brutalnie mu oddały, więc wszedł przez wystawę, nie chcąc być natrętnym.

Księgarz palił fajkę pokoju, siedząc na dziełach wszystkich Jules Romainsa, który spłodził je właśnie w tym celu. Miał piękny kalumet z glinki wrzosowej, który nabijał liśćmi oliwnymi. Koło niego stała miska, żeby mógł wydalać do niej kit, jaki wciskali mu klienci, i mokra ściereczka do zwilżania skroni oraz flaszka miętówki Ricalesa dla wzmocnienia kalumetu.

Obrzucił Chicka przelotnym i cuchnącym spojrzeniem.

— Czego pan chce? — zapytał.

— Obejrzyć pańskie książki... — odparł Chick.

— Patrz pan — powiedział facet i nachylił się nad miską, ale był to tylko fałszywy alarm.

Chick wszedł do wnętrza sklepu. Panowała tam atmosfera sprzyjająca odkryciom. Kilka robali zachręściło pod jego stopami. Czuć było starą skórą i dymem z liści oliwnych, co daje fetor raczej paskudny.

Książki były ustawione w porządku alfabetycznym, ale ponieważ księgarz nie znał dobrze alfabetu, Chick znalazł przegródkę z Partrem między B i T. Uzbroidł się w lupę i zaczął studiować okładki. I nie upłynęło wiele czasu, gdy na egzemplarzu dzieła *Zbyt i coś niecoś*, sławnego studium krytycznego o żarcikach przy jedzeniu, odkrył interesujący odcisk palca. Gorączkowo wyciągnął z kieszeni pudełeczko, które, oprócz pędzelka o miękkim włosiu, zawierało proszek do znakowania oraz *Konspektus Wzorcowego Gliniarza* autorstwa księdza Vouille'a. Działał ostrożnie, porównując z wyciągniętą z kieszeni kartką, i utrzymał się dysząc. Był to odcisk lewego kciuka Partra, który, jak do tej pory, udało się odnaleźć jedynie na jego starych fajkach. Przyciskając do serca cenne znalezisko, odwrócił się do sprzedawcy:

— Ile za to?

Księgarz spojrział na książkę i zaśmiał się szyderczo:

— Ach! znalazł ją pan!...

— A cóż w tym nadzwyczajnego? — zapytał Chick fałszywie zdumiony.

— Cha, cha!... — księgarz pękał ze śmiechu wypuszczając fajkę, która wpadła do miski i zgasła.

Zaklął bardzo szpetnie i zatarł ręce z uciechy, że już nie musi ciągnąć tego ohydneho paskudztwa.

— Proszę mi wytłumaczyć... — nalegał Chick.

Serce zaczęło mu pikać i rozbrzmiewało głośnymi uderzeniami o żebra, nieregularnie i wściekle.

— Ajajaj!... — wołał księgarz dusząc się ze śmiechu i turlając po ziemi. — Niezły z pana zbytnik!...

— Panie — powiedział zbity z pantałyku Chick — wytłumacz pan...

— Kiedy sobie przypomnę — powiedział księgarz — Ile razy musiałem mu dać się sztachnąć moim kalumetem oraz jak trzeba było opanować prestidigitację, żeby ją zamienić w ostatnim momencie na książkę...

— Darujmy to sobie — westchnął Chick. — Skoro pan o tym wie, ile?

— Niedrogo — odrzekł księgarz — ale mam coś lepszego. Zaczekaj pan.

Podniósł się i zniknął za ścianką działową, która przedzielała sklepik na dwie części, pogrzebał w czymś i zaraz wrócił.

— O! — powiedział rzucając portki na kontuar.

— Co to? — szepnął zaniepokojony Chick.

Ogarniało go rozkoszne podniecenie.

— Spodnie Partra!... — ogłosił z dumą księgarz.

— Jak pan to zrobił? — zapytał Chick w ekstazie.

— Skorzystałem z wykładu... — wyjaśnił księgarz. — Nawet nie zauważył. Tu są wy-palone dziury od fajki, pan rozumie...

— Kupuję — powiedział Chick.

— Co? — zapytał sprzedawca — bo mam jeszcze coś...

Chick przycisnął rękę do piersi. Nie udało mu się uspokoić bicia serca, więc pozwolił mu trochę pohasać.

— O... — znowu powiedział księgarz.

Była to fajka, na której ustniku Chick rozpoznał z łatwością ślady zębów Partra.

— Ile? — zapytał Chick.

— A wie pan — powiedział księgarz — że on przygotowuje właśnie dwudziestotomową encyklopedię mdłości ze zdjęciami, a ja będę miał rękopisy...

— Ależ mnie nigdy nie będzie... — szepnął przybity Chick.

— A zgadnij pan, co mnie to obchodzi? — zapytali księgarz.

— Ile za te trzy rzeczy? — zapytał Chick.

— Tysiąc dublezonów — powiedział sprzedawca. — To ostatnia cena. Wczoraj nie wziąłem tysiąca dwustu, ale pan wygląda tak porządnie.

Chick wyciągnął portfel. Był strasznie blady.

XLII I

— Jak widzisz — powiedział Colin — już nie kładziemy obrusa.

— Nie szkodzi — odparł Chick. — Jednak nie mogę zrozumieć, dlaczego drzewo jest takie zatłuszczone...

— Nie wiem — powiedział Colin z roztargnieniem. — Przypuszczam, że nie daje się już wyczyścić. Tłuszcz cały czas wychodzi gdzieś ze środka.

— A czy przedtem nie było tu wełnianego dywanu? — zapytał Chick. — Ten wygląda na bawełniany...

— To ten sam — odrzekł Colin. — Nie, nie sądzę, żeby się czymś różnił.

— To dziwne — powiedział Chick — ma się wrażenie, że świat się ścieśnia dookoła.

Mikołaj wniósł zawieszistą zupę, w której pływały grzanki. Nalał im pełne talerze.

— A cóż to jest, Mikołaju? — zapytał Chick.

— Zupa z trupa, rosół z kaczki i buraczki — odparł Mikołaj. — Super.

— Ach! — stęknął Chick — znalazłeś to u Gauffégo?

— E, tam! — powiedział Mikołaj. — To przepis od Pomiane'a. Gauffé jest dobry dla snobków. A w ogóle to ile przy nim cudowania!...

— Przecież masz wszystko, co potrzeba — powiedział Chick.

— Że jak? — zapytał Mikołaj. — Tylko gaz i lodówka, jak wszędzie. A pan wyobrażał sobie, że co?

— Och!... Nic!!! — mruknął Chick.

Poruszył się na krześle. Nie umiał kontynuować rozmowy.

— Chcesz wina? — zapytał Colin. — Mam w piwnicy tylko to. Nie jest złe.

Chick podstawił kieliszek.

— Aliza odwiedziła Chloe trzy dni temu — powiedział Colin. — Nie mogłem się z nią zobaczyć, a wczoraj Mikołaj zawiózł Chloe w góry.

— Tak, Aliza mówiła mi o tym.

— Dostałem list od profesora Zjadłjada — powiedział Colin. — Żąda mnóstwa pieniędzy. Uważam, że to zdolny człowiek.

Colina bolała głowa. Chciał, żeby Chick coś mówił, opowiadał jakieś historie, cokolwiek. Chick wpatrywał się przez okno, w coś w oddali. Nagle wstał i wyciągnąwszy miarkę z kieszeni zaczął mierzyć okiennice.

— Mam wrażenie, że jakoś się zmienia — powiedział.

— Jak to? — zapytał Colin z roztargnieniem.

— Zmniejsza się — powiedział Chick. — Pokój też...

— A niby jak? — zapytał Colin. — Przecież to bez sensu...

Chick nie odpowiedział. Wyciągnął notes i ołówek i zanotował cyfry.

— Znalazłeś pracę? — zapytał.

— Nie... Umówiłem się na dziś i na jutro.

— A jakiej pracy szukasz?

— Och! wszystko jedno — odpowiedział Colin. — Aby tylko dawali pieniądze. Kwiaty bardzo drogo kosztują.

— Tak — stwierdził Chick.

— A jak tam twoja praca? — zapytał Colin.

— Załatwiłem sobie w zastępstwie pewnego faceta — rzekł Chick — bo miałem mnóstwo spraw na głowie...

— Tamci się zgodzili?

— Tak, wszystko grało, gość dobrze sobie radził.

— I co? — zapytał Colin.

— Kiedy chciałem wrócić — wyjaśnił Chick — powiedzieli mi, że tamten dobrze się sprawnia, ale jeśli chcę jakieś stanowisko, to oni mają coś dla mnie. Tyle że gorzej płatne...

— Wuj nie może ci już dawać pieniędzy — stwierdził Colin.

Nawet nie pytał. Wydawało mu się to oczywiste.

— Nie mógłbym go o nic prosić — powiedział Chick. — Nie żyje.

— Nie wspominałeś o tym...

— Bo to mało ciekawe — bąknął Chick.

Mikołaj wrócił niosąc umazaną tłuszczem patelnię, na której szarpały się trzy czarne kiełbaski.

— Zjedzcie je takie — powiedział — nie dają się dosmażyć. Są niesłychanie odporne. Dolałem kwasu azotowego i dlatego tak poczerniały, ale wszystko to mało.

Colinowi udało się nadziać jedną z kiełbasek na widelec, a ta skręciła się w ostatnim skurczu.

— Mam jedną — zawołał. — Naprzód, Chick!

— Próbuję — powiedział Chick — ale ciężko idzie.

Prysnął na stół potężnym strumieniem tłuszczu.

— Psiakrew! — krzyknął.

— Nie szkodzi — powiedział Mikołaj. — To dobrze wpływa na drzewo.

Chickowi udało się wreszcie nabić, a Mikołaj zabrał trzecią kielbaskę.

— Nie wiem, co się dzieje — powiedział Chick. — Czy przedtem też tak się robiło?

— Nie — wyznał Colin. — Wszystko się zmienia. A ja nie mogę nic poradzić. To jest jak trąd. Zaczęło się od chwili, gdy skończyły się dublezony...

— Nie masz już wcale? — zapytał Chick.

— Mało co... — odpowiedział Colin. — Zapłaciłem z góry za wyjazd i kwiaty, bo żeby wyciągnąć Chloe z tego, nie mam zamiaru oszczędzać ani grosza. A w ogóle to wszystko tak jakoś samo się psuje.

Chick dojadł kielbaskę.

— Chodź, zobaczysz korytarz kuchenny — zawołał Colin.

— Już idę — powiedział Chick.

Przez szybki z każdej strony widać było przyćmione, blade słońce, obsypane wielkimi czarnymi plamami, nieco tylko jaśniejsze pośrodku. Kilka wątych wiązek promieni usiłowało przedrzeć się do korytarza, lecz przy zetknięciu z kafelkami, niegdyś tak lśniącoymi, rozpu-szczały się i spływały długimi, wilgotnymi potokami. Piwniczny zapach bił ze ścian. Czarno-wąsa mysz uwiła sobie w kątku podwyższone gniazdko. Nie mogła już igrać na podłodze ze złotymi promykami, jak kiedyś. Przycupnęła na kupce drobnych strzępków materiału i dygotała, a jej długie wąsy były zlepione przez wilgoć. Przez jakiś czas udawało jej się odrapywać szybki, tak że świeciły na nowo, lecz był to zbyt wielki wysiłek dla jej małych łapek, więc siedziała w swoim kątku bezsilna i drżąca.

— Grzejniki nie grzeją? — zapytał Chick, stawiając kołnierz marynarki.

— Owszem — powiedział Colin — grzeją cały dzień, ale nic nie można poradzić. To właśnie tu się wszystko zaczęło...

— I wystarczy — stwierdził Chick. — Trzeba by sprowadzić architekta...

— Już był — odpowiedział Colin. — Od tej chwili choruje.

— Och! Wszystko się prawdopodobnie ułoży.

— Nie sądzę — odparł Colin. — Chodź, dokończymy śniadania z Mikołajem.

Weszli do kuchni. To pomieszczenie również się skurczyło. Mikołaj siedział za biało lakierowanym stołem i jadł w roztargnieniu, czytając książkę.

— Posłuchaj, Mikołaju... — powiedział Colin.

— Tak — rzekł Mikołaj. — Właśnie miałem podać deser.

— To nie to — powiedział Colin. — Zjemy tu. Chodzi o coś innego. Mikołaju, nie chciałbyś, żebym cię wyrzucił za drzwi?

— Nie za bardzo — odparł Mikołaj.

— Ale trzeba — powiedział Colin. — Kurczysz się tutaj. Postarzałeś się o dziesięć lat w ciągu ośmiu dni.

— O siedem lat — uściślił Mikołaj.

— Nie mogę na to patrzeć. Nic tu po tobie. To przez tę atmosferę.

— A ty? — zapytał Mikołaj — tobie to nie szkodzi?

— To co innego — odrzekł Colin. — Ja muszę wyleczyć Chloe, a reszta mnie nie interesuje, więc mnie to nie bierze. A co słyhać w twoim klubie?

— Już tam wcale nie chodzę.... — powiedział Mikołaj.

— Nie mogę na to patrzeć — powtórzył Colin. — Przemądrzalscy szukają kucharza, zgodziłem się za ciebie. Chciałbym, żebyś mi powiedział, czy ty się zgadzasz.

— Nie — odparł Mikołaj.

— No i dobra! — powiedział Colin. — Pójdiesz i tak.

— To obrzydliwe z twojej strony — rzekł Mikołaj. — Wygląda, jakbym spieprzał jak szczur.

— Nie — zaprzeczył Colin. — Tak trzeba. Wiesz dobrze, jaki mi to sprawia ból...

— Wiem — odparł Mikołaj, zamknął książkę i wciągnął głowę między

ramiona.

— Nie masz powodów do złości — powiedział Colin.

— Nie złoścę się — burknął Mikołaj.

Uniósł głowę. Płakał bezgłośnie.

— Jestem idiotą — powiedział.

— Fajny z ciebie gość, Mikołaju — rzekł Colin.

— Nie — zaprzeczył Mikołaj. — Sam chciałem zerwać się gdzieś na bambus. Ze względu na jego ładny zapach. A poza tym miałbym spokój...

XLI V

Colin wszedł po kiepsko oświetlonych przez nieruchome witraże schodach i znalazł się na pierwszym piętrze. Przed nim czarne drzwi odcinały się na tle zimnej ściany. Wszedł bez pukania, wypełnił formularz i oddał woźnemu. Ten go opróżnił, zmiął w kulkę, wprowadził do lufy narychtowanego pistoletu i starannie wycelował w okienko znajdujące się w sąsiedniej ścianie. Nacisnął spust, zatykając sobie prawe ucho lewą ręką, padł strzał. Z powagą zaczął nabijać pistolet w oczekiwaniu na nowego gościa.

Colin czekał stojąc, dopóki dzwonek nie nakazał woźnemu wprowadzić go do biura dyrektora.

Poszedł za nim przez długi korytarz o wzniesionych zakrętach. Ściany na zakrętach pozostawały równoległe do podłogi, a co za tym idzie nachylały się pod dodatkowym kątem i trzeba było iść bardzo szybko, żeby zachować równowagę. Nim zdał sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje, znalazł się przed dyrektorem. Posłusznie usiadł w narowistym fotelu, który stanął dęba pod jego ciężarem i uspokoił się dopiero pod władczym gestem swojego pana.

— No i co?... — mruknął dyrektor.

— No i jestem!... — odparł Colin.

— Co pan umie robić? — zapytał dyrektor.

— Mam podstawy... — powiedział Colin.

— To znaczy — powiedział dyrektor — czemu poświęca pan swój czas?

— Jeśli chodzi o jaśniejszą część mojego czasu, staram się ją zaciemniać.

— Dlaczego? — ciszej zapytał dyrektor.

— Bo dużo światła mnie drażni — powiedział Colin.

— Ach!... Uhum!... — wymamrotał dyrektor. — Wie pan, na jakie stanowisko potrzebujemy kogoś?

— Nie — odrzekł Colin.

— Ja też nie... — powiedział dyrektor. — Muszę zapytać mojego wicedyrektora. Ale nie wydaje mi się, aby mógł pan podołać na tym stanowisku.

— Dlaczego? — zapytał z kolei Colin.

— Nie wiem... — powiedział dyrektor.

Wyglądał na zmartwionego i cofnął się nieco z fotelem.

— Niech pan się nie zbliża!... — zawołał gwałtownie.

— Ale... nawet nie drgnąłem... — powiedział Colin.

— Tak... tak... — wymamrotał dyrektor. — To tak się mówi... A później...

Nieufnie nachylił się nad biurkiem nie spuszczając Colina z oczu, podniósł słuchawkę i potrząsnął nią energicznie.

— Halo! — wrzasnął. — Do mnie, natychmiast!...

Odłożył słuchawkę na miejsce i dalej podejrzliwie obserwował Colina.

— Ile pan ma lat? — zapytał.

— Dwadzieścia jeden... — odpowiedział Colin.

— Tak właśnie myślałem... — bąknął ten z naprzeciwka.

Zapukano do drzwi.

— Wejść! — wrzasnął dyrektor i twarz mu rozjaśniała.

Do biura wszedł mężczyzna zniszczony przez ciągłe wdychanie papierowego pyłu. Jego oskrzela, jak łatwo dało się odgadnąć, były zapchane po czubki zreperowaną masą celulozo-wą. Pod pachą niósł segregator.

— Połamał pan krzesło — powiedział dyrektor.

— Tak — przyznał wicedyrektor.

Położył segregator na stole.

— Można je naprawić, wie pan...

Odwrócił się do Colina.

— Umie pan naprawiać krzesła?

— Sądzę... — powiedział zdezorientowany Colin. — Czy to trudne?

— Ja zużyłem — zapewnił wicedyrektor — ze trzy słoiki kleju biurowego i nic z tego.

— Zapłaci pan za nie! — zawołał dyrektor. — Obetnę panu z pensji...

— Ja już obciąłem mojej sekretarce — powiedział wicedyrektor. — Nie ma się czym przejmować, szefie.

— Czy — zapytał nieśmiało Colin — potrzebujecie kogoś właśnie do reperowania krzesel?

— Pewnie! — powiedział dyrektor.

— Ja już dobrze nie pamiętam — rzekł wicedyrektor

— Ale pan nie może naprawić krzesła...

— Dlaczego? — zapytał Colin.

— Po prostu dlatego, że nie — powiedział wicedyrektor.

— Ciekaw jestem — zapytał dyrektor — dlaczego tak pan uważa?

— Głównie dlatego, że te krzesła nie dają się naprawić, i w ogóle dlatego, że on nie sprawia wrażenia, że mógłby zreperować krzesło.

— A co wspólnego ma krzesło z pracą w biurze? — zapytał Colin.

— Może będzie pan siedział na ziemi, żeby pracować? — zakpił dyrektor.

— Chyba niezbyt często pan pracuje — dołożył od siebie wicedyrektor.

— Ja panu powiem — zawołał dyrektor — pan jesteś próżniak!...

— O właśnie... próżniak... — przytaknął wicedyrektor.

— My — powiedział dyrektor — w żadnym wypadku nie możemy zatrudnić próżnia-ka!...

— Zwłaszcza że nie mamy dla niego żadnej pracy — powiedział wicedyrektor.

— Przecież to całkiem nielogiczne — powiedział Colin, ogłuszony ich biurowymi głosami.

— Dlaczego nielogiczne, co? — zapytał dyrektor.

— Dlatego — wyjaśnił Colin — że jeśli już coś dawać próżniakowi, to na pewno nie pracę.

— Ach tak — powiedział wicedyrektor — czyli chce pan zastąpić dyrektora?

Ten ostatni na samą myśl wybuchnął śmiechem.

— A to świetne!... — zawołał.

Twarz mu spochmurniała i jeszcze kawałek cofnął fotel.

— Wyprowadzić go... — powiedział do wicedyrektora. — Teraz już wiem, po co przyszedł... Dalej, żwawo!... Wynocha, guzdrało! — ryknął.

Wicedyrektor rzucił się w stronę Colina, lecz ten złapał pozostawiony na stole segregator.

— Jeśli mnie tkniesz... — powiedział.

Powoli cofał się do drzwi.

— Wynoś się. Wysłanniku Satyna!

— Ale z pana kutas złamany — powiedział Colin i nacisnął klamkę.

Rzucił segregatorem w biurko i pobiegł przez korytarz. Gdy dotarł do wyjścia, woźny strzelił za nim z pistoletu, a papierowa kula zrobiła dziurę w kształcie trupiej główki w zamykających się właśnie drzwiach.

XL
V

— Muszę przyznać, że to piękna sztuka — powiedział antykitwariusz, obchodząc dokoła pianoktail Colina.

— Z dębowego klonu — rzekł Colin.

— Widzę — odparł antykitwariusz. — Przypuszczam, że dobrze działa.

— Próbuje sprzedać, co mam najlepszego — powiedział Colin.

— Musi to panu sprawiać przykrość — zauważył antykitwariusz pochylając się, żeby obejrzeć wzorek na drzewie.

Zdmuchnął kilka ziarenek pyłu, które przyćmiewały połysk mebla.

— Nie wolałby pan zapracować trochę pieniędzy i zachować go?

Colin przypomniał sobie biuro dyrektora oraz strzał z pistoletu woźnego i odpowiedział, że nie.

— I tak do tego dojdzie — stwierdził antykitwariusz — gdy już nie będzie pan miał nic na sprzedaż...

— Gdyby moje wydatki przestały się powiększać... — powiedział Colin, i powtórzył — gdyby moje wydatki przestały rosnać, to sprzedając swoje rzeczy, miałbym dość na życie bez pracy. Życ, może niezbyt dostatnio, ale żyć.

— Nie lubi pan pracy? — zapytał antykitwariusz.

— To okropieństwo — powiedział Colin. — Sprowadza człowieka do poziomu maszyny.

— A wydatki nie przestają rosnać? — zapytał antykitwariusz.

— Kwiaty bardzo drogo kosztują — powiedział Colin — a pobyt w górach także...

— A gdyby wyzdrowiała? — zapytał antykitwariusz.

— Och! — zawołał Colin.

Uśmiechnął się radośnie.

— To byłoby cudownie!... — szepnął.

— Niezależnie od wszystkiego, to jest całkiem możliwe — rzekł antykitwariusz.

— Oczywiście!... — przyznał Colin.

— Ale na to potrzeba czasu — powiedział antykitwariusz.

— Tak — odparł Colin — a słońce odchodzi...

— Może jeszcze wrócić — powiedział antykitwariusz pocieszająco.

— Nie sędzę — odrzekł Colin.

Zapadła cisza.

— Czy on jest naładowany? — zapytał antykitwariusz, wskazując na pianoktail.

— Tak — powiedział Colin — wszystkie zbiorniki ma pełne.

— Dość dobrze gram na fortepianie, można by go wypróbować.

— Jak pan sobie życzy — rzekł Colin.

— Poszukam jakiegoś stołka.

Znajdowali się w sklepie, do którego Colin kazał przetransportować swój pianoktail. Ze wszystkich stron piętrzyły się sterty starych przedmiotów o kształtach foteli, krzeseł, konsoli i innych mebli. Nie było zbyt jasno, pachniało indyjskim woskiem i przecinkowcem błękitnym. Antykitwariusz wyposażył się w taboret z ocynkowanego drzewa żelaznego i zajął miejsce. Wyjął klamkę z drzwi, które tym samym oniemiały i nie mogły przeszkadzać.

— Zna pan coś z Duke'a Ellingtona?... — zapytał Colin.

— Tak — odparł antykitwariusz. — Zagram panu *Blues of the Vagabond*.

— Na ile nastawić? — zapytał Colin. — Zagra pan trzy części?

— Tak — powiedział antykitwariusz.

— Dobrze — rzekł Colin. — W sumie to będzie jakieś pół litra. W porządku!

— Świetnie — odpowiedział sprzedawca i zaczął grać.

Dotyk miał niezwykle delikatny i nuty unosiły się równie ulotne jak perły z klarnetu Barney Bigarda w wersji Duke'a.

Colin usiadł na ziemi, żeby słuchać i oparłszy się o pianoktail płakał wielkimi łzami, epileptycznymi i sprężystymi, które toczyły się po jego ubraniu i płynęły pośród kurzu. Muzyka przenikała przez niego i wychodziła przefiltrowana, a ta, która się wydobywała, o wiele bardziej przypominała *Chloe* niż *Bluesa Włóczęgi*. Sprzedawca antyków nucił jakąś śpiewkę o sielskiej prostocie i kiwał głową z boku na bok jak grzechotnik. Odegrał trzy części i na

tym zakończył. Colin, wzruszony do głębi duszy, siedział dalej i czuł się tak jak wtedy, kiedy Chloe nie była chora.

— I co teraz robimy? — zapytał antykitwariusz.

Colin podniósł się, wykonując manewr otworzył ruchomą płytkę i wzięli dwie szklanki wypełnione płynem mieniącym się wszystkimi barwami tęczy. Antykitwariusz wypił pierwszy, mlaskając językiem.

— To jest dokładnie smak bluesa — powiedział. — Tego nawet bluesa właśnie. Wie pan, niezły ten pański wynalazek!...

— Tak — przyznał Colin. — Bardzo dobrze działa.

— Wie pan, na pewno dobrze panu za niego zapłacę.

— Będę bardzo zadowolony — odparł Colin. — Teraz wszystko mi się tak kiepsko układa.

— Tak to już jest — powiedział antykitwariusz. — Nie może zawsze wszystko iść do-brze.

— Ale przynajmniej mogłoby nie zawsze iść źle — odrzekł Colin. — O wiele lepiej pamięta się dobre chwile, więc do czego służą złe?

— A może zagrać *Misty Morning*? — zaproponował antykitwariusz. — Też chyba będzie niezły?

— Tak — powiedział Colin. — Doskonale go oddaje. Wychodzi koktajl szaroperłowy i zielonomiętowy o smaku pieprzu i dymu.

Antykitwariusz ponownie zasiadł do fortepianu i zagrał *Misty Morning*. Wypili. Później zagrał jeszcze *Blues Bubbles* i dał spokój, bo zaczął grać dwie nuty naraz, a Colin za jednym zamachem słyszał cztery różne melodie. Colin opuścił ostrożnie klawisz fortepianu.

— To jak — powiedział antykitwariusz — pogadamy teraz o interesach?

— No! — zawołał Colin.

— Ten pański pianoktail to fantastyczny bajer — powiedział antykitwariusz — daję panu za niego trzy tysiące dublezonów.

— Nie — odparł Colin — to za dużo.

— Będę nalegał — powiedział antykitwariusz.

— Ale to głupota — sprzeciwił się Colin. — Nic chcę. Dwa tysiące, jeśli już.

— Nie — powiedział antykitwariusz. — Odmawiam, niech pan go zabiera.

— Przecież nie mogę go panu sprzedać za trzy tysiące — zawołał Colin — to byłby rozbój w biały dzień!...

— Ależ skąd... — nalegał antykitwariusz. — Minutę później mogę go sprzedać za cztery tysiące...

— Wiadomo, że pan go zatrzyma — powiedział Colin.

— No pewnie — rzekł antykitwariusz. — Dobra, krakowskim targiem: dwa tysiące pięćset dublezonów.

— Niech będzie, zgoda, do Żyda chyba nie pójdziemy?

— Proszę... — odparł antykitwariusz.

Colin wziął pieniądze i starannie schował je do portfela. Lekko się zataczał.

— Nie trzymam się pewnie — powiedział.

— To normalne — odparł antykitwariusz. — Wpadnie pan do mnie od czasu do czasu wysłuchać jakiegoś kawałka?

— Obiecuję. Teraz muszę już iść. Mikołaj mnie opieprzy.

— Odprowadzę pana kawałek — powiedział antykitwariusz. — Muszę zrobić zakupy.

— To miło z pana strony!... — rzekł Colin.

Wyszli. Zielononiebieskie niebo zwieszało się prawie nad chodnikiem, a wielkie białe plamy znaczyły ziemię w miejscach, gdzie roztrzaskały się chmury.

— Była burza — stwierdził antykitwariusz.

Przeszli razem kilka metrów i towarzysz Colina zatrzymał się przed sklepem.

— Niech pan na mnie poczeka minutkę — powiedział. — Zaraz wracam!...

Wszedł. Colin widział przez witrynę, jak wybrał jakiś przedmiot, którego

przejrzystość starannie sprawdził, po czym schował go do kieszeni.

— No!... — powiedział, zamykając drzwi.

— Co to było? — zapytał Colin.

— Poziomica — odparł antykitwariusz. — Gdy tylko pana odprowadzę, mam zamiar odegrać sobie cały swój repertuar, a później będę musiał jeszcze gdzieś iść...

XLV
I Mikołaj zaglądał do piekarnika. Siedział przed nim z pogrzebaczem i lampą lutowniczą i coś tam sprawdzał w środku. Piecyk zdeformował się nieco po wierzchu, a blachy rozmiękły nabierając konsystencji cienkich plasterków gruyera. Usłyszał kroki Colina w korytarzu i wyprostował się na krześle. Czuł się bardzo zmęczony. Colin popchnął drzwi i wszedł. Minę miał zadowoloną.

— No i? — zapytał Mikołaj. — Jak poszło?

— Sprzedałem go — odpowiedział Colin. — Dwa tysiące pięćset...

— Duplezonów?... — zapytał Mikołaj.

— Tak — powiedział Colin.

— To niespodzianka!...

— Też się tego nie spodziewałem. Zaglądałeś do swojego piecyka?

— Tak — powiedział Mikołaj. — Właśnie się zmienia w kozę na węgiel drzewny, a ja zastanawiam się, psiaakrew, jak to się dzieje...

— To bardzo dziwne — stwierdził Colin — ale z resztą wyprawia się to samo. Widziałeś korytarz?

— Tak — przyznał Mikołaj. — Wszystko robi się sosnowe...

— Pragnę ci powtórzyć — powiedział Colin — że nie życzę sobie, żebyś tu pozostał.

— Przyszedł list — odparł Mikołaj.

— Od Chloe?

— Tak, leży na stole.

Odpieczętowując list, Colin usłyszał słodki głosik Chloe, wystarczyło słuchać, żeby poznać treść. A tam napisano:

„Mój drogi Colinie,

Czuję się świetnie i jest piękna pogoda. Jedyne kłopot sprawiają krety śniegowe; są to zwierzątka pełzające między śniegiem a ziemią, mają pomarańczowe futerka i pod wieczór głośno się drą. Robią wielkie śniegowe kopce, do których się wpada. Jest mnóstwo słońca, a ja wkrótce wrócę”.

— Dobre nowiny — powiedział Colin. — Tak więc przeniesiesz się do Przemądrzalskich.

— Nie — odparł Mikołaj.

— Owszem — powiedział Colin. — Oni potrzebują kucharza, a ja nie chcę, żebyś tu został... starzejesz się zbyt szybko, a poza tym mówię ci, że już się za ciebie zgodziłem.

— A mysz? — zapytał Mikołaj. — Kto ją nakarmi?

— Ja się tym zajmę — odparł Colin.

— To niemożliwe — rzekł Mikołaj. — A poza tym ja już wypadłem z rytmu.

— A wcale nie — powiedział Colin. — To przez tę atmosferę, która cię przytłacza... Nikt z was nie może wytrzymać...

— Cały czas tak mówisz — powiedział Mikołaj — ale to niczego nie tłumaczy.

— A w końcu — krzyknął Colin — bez żadnych dyskusji!...

Mikołaj wstał i przeciągnął się. Minę miał smutną.

— Nic już nie robisz według Gauffégo — powiedział i Colin. — Opuściłeś się w pracach kucharskich, wszystko ci zubożyło.

— Ależ skąd — zaprotestował Mikołaj.

— Pozwól mi dokończyć — powiedział Colin. — Nie ubierasz się już w

niedzielę i nie golisz się co rano.

— W końcu to żadna zbrodnia — rzekł Mikołaj.

— To zbrodnia — odparł Colin. — Nie mogę ci zapłacić wedle twojej wartości. Lecz w tej chwili twoja wartość spada, i to po części z mojej winy.

— To nieprawda — bronił się Mikołaj. — To przecież nie twoja wina, że masz kłopoty.

— Owszem — stwierdził Colin. — Dlatego że się ożeniłem i dlatego że...

— Bzdura — powiedział Mikołaj. — Kto się zajmie kuchnią?

— Ja — odparł Colin.

— Przecież ty pójdziesz do pracy!... Nie będziesz miał czasu.

— Nie pójdę do pracy. W końcu sprzedałem swój pianoktail za dwa tysiące pięćset dublezonów.

— Tak, daleko z tym zajedziesz!...

— Pójdziesz do Przemądrzalskich — powiedział Colin.

— Och! — powiedział Mikołaj. — Wkurzasz mnie. Pójdę. Ale to nie jest zbyt ładnie z twojej strony.

— Odzyskasz swoje dobre maniery.

— Wystarczająco protestowałeś przeciw moim dobrym manierom...

— Tak — przyznał Colin — bo przy mnie nie było warto się trudzić.

— Wkurzasz mnie — powiedział Mikołaj. — Wkurzasz mnie i jeszcze raz wkurzasz.

XLVI I

Colin usłyszał, że ktoś puka do drzwi, i pospieszył otworzyć. W je-dnym z kapci miał wielką dziurę, więc schował nogę pod dywan.

— Wysoko tu u pana — stwierdził Zjadłjad wchodząc. Ciężko dyszał.

— Dzień dobry, doktorze — powiedział Colin czerwieniejąc, bo musiał pokazać nogę.

— Zmienił pan mieszkanie — powiedział profesor — przedtem nie było tak daleko.

— Ale skąd — odparł Colin. — To to samo.

— Ależ skąd, pan żartuje, w pańskim interesie leży, by był pan poważniejszy i udzielał nieco dowcipniejszych odpowiedzi.

— Tak? — powiedział Colin... — Zapewne.

— Jak się ma chora? — zapytał profesor.

— Lepiej — powiedział Colin. — Lepiej wygląda i już ją nie boli.

— Hmm!... — rzekł profesor. — To podejrzane.

Wszedł z Colinem do sypialni Chloe i pochylił głowę, żeby nie palnąć w futrynę, która obniżyła się w tym samym momencie i profesor szpetnie zaklął. Chloe śmiała się na swoim łóżku, widząc wejście profesora.

Pokój jeszcze bardziej się zmniejszył. Dywan, na przekór tym z innych pomieszczeń, zgrubiał i teraz łóżko spoczywało w małej alkowie o aksamitnych zasłonach. Wielkie okno zostało całkiem podzielone na cztery kwadratowe lufciki przez kamienne szypułki, które przestały już rosnać. Jaśniało tam światło nieco szare, lecz czyste. Było ciepło.

— Może jeszcze będzie mi pan wmawiał, że nie zmienił pan mieszkania, co? — zapytał Zjadłjad.

— Przysięgam panu, doktorze... — zaczął Colin.

Urwał, bo profesor patrzył na niego wzrokiem zaniepokojonym i podejrzliwym.

— ... że żartowałem!... — dokończył, śmiejąc się.

Zjadłjad podszedł do łóżka.

— No więc — powiedział — niech pani się rozbierze. Oslucham panią.

Chloe rozchyliła swoją puchową narzutkę.

— Ach! — zawołał Zjadłjad. — Operowali tam panią...

— Tak... — odpowiedziała Chloe.

Pod prawą piersią miała maleńką bliznę, doskonale okrągłą.

— Tędy go wyciągnęli, kiedy umarł? — zapytał profesor. — Długi był?

— Metr, jak sędzę — powiedziała Chloe. — Z wielkim, dwudziestocentymetrowym kwiatem.

— Wstrętne bydlę!... — mruknął profesor. — Miała pani pecha. Rzadko się zdarzają takich rozmiarów!

— To te wszystkie kwiaty go zabiły — powiedziała Chloe. — A zwłaszcza kwiat wanilii, który pod koniec mi sprowadzili.

— To dziwne — rzekł profesor. — Nigdy bym nie przypuszczał, że waniliowiec może wywołać taki efekt. Raczej myślałem o jałowcu albo o akacji. Wiecie, medycyna to wygłupy — podsumował.

— Niewątpliwie — powiedziała Chloe.

Profesor osłuchiwał ją. Wstał.

— W porządku — powiedział. — Oczywiście pozostały pewne ślady...

— Tak? — zapytała Chloe.

— Tak. W tej chwili pani prawe płuco wcale lub prawie wcale nie pracuje.

— Mnie to nie przeszkadza — powiedziała Chloe — skoro drugie jest dobre.

— Jeśli złapie pani coś w to drugie — rzekł profesor — to mąż pani będzie miał mnóstwo kłopotów.

— A ja nie? — zapytała Chloe.

— Pani już nie — powiedział profesor.

Wstał.

— Nie chcę pani niepotrzebnie straszyć, ale niech pani uważa na siebie.

— Bardzo na siebie uważam — odparła Chloe.

Oczy jej się powiększyły. Rozgarnęła włosy nieśmiałym gestem.

— W jaki sposób mogę nabrać pewności, że nie złapię już nic innego? — zapytała, a jej głos prawie łkał.

— Nie kłopotz się, koteczku — powiedział profesor. — Nie ma najmniejszych powodów, byś miała pani jeszcze coś złapać.

Rozejrzył się wokoło.

— Bardziej mi się podobało poprzednie mieszkanie. Jakoś zdrowiej wyglądało.

— Tak — powiedział Colin — ale to nie nasza wina...

— A tak w ogóle, to co pan robi w życiu? — zapytał profesor.

— Uczę się tego i owego — odparł Colin. — I kocham Chloe.

— A praca nic panu nie daje? — zapytał profesor...

— Nie — powiedział Colin. — Nie wykonuję pracy w sensie ogólnie przyjętym.

— Praca to ohydztwo, sam dobrze wiem — mruknął profesor — a ta którą się wybiera, po prostu nic nie daje dlatego że...

Urwał.

— Ostatnio pokazywał mi pan urządzenie, które dawali zadziwiające efekty. Czy przypadkiem ma pan je jeszcze?

— Nie, sprzedałem. Ale mogę panu nalać kielicha ot tak, po prostu...

Zjadłjad podniósł rękę do kołnierzyka swej żółte koszuli i podrapał się w szyję.

— No to chodźmy. Do widzenia, młoda damo - powiedział.

— Do widzenia, doktorze.

Zatopila się w głębinach łóżka i podciągnęła kołdrę aż pod szyję. Twarz miała bladą i delikatną na tle pościel błękitno-lawendowej ozdobionej purpurową nitką.

XLVII I

Chick przeszedł przez tajne wejście do portierni i włożył do maszyny swoją kartę zegarową. Jak zwykle potknął się na progu metalowych drzwi prowadzących do warsztatów, a kłęb pary i czarnego dymu uderzył go brutalnie w twarz. Zaczęły do niego docierać hałasy: głuchy łoskot głównych turboalternatorów, syk suwnic sunących po krzyżujących się szynach, jazgot gwałtownych prądów atmosferycznych, rzucających się na blachy dachu. Korytarz był bardzo mroczny, co sześć metrów oświetlony przez czerwoną żarówkę, której światło spływało leniwie po gładkich przedmiotach, żeby ukazać ich zarys, i czepiało się nierówności ścian i podłogi. Pod jego stopami guzowata blacha była gorąca, miejscami spękana, tak że przez dziury widać było czerwone mroczne gardziele kamiennych pieców ustawionych w dole. Jakieś fluidy rżąc przepływały przez pomalowane na szaro i czerwono grube rury tuż nad jego głową, a przy każdym drgnięciu mechanicznego serca, które palacze cały czas trzymali pod ciśnieniem, cała konstrukcja z nie-znacznym opóźnieniem pochylała się do przodu głęboko wibrując. Na ścianach tworzyły się krople i opadały przy silniejszych pulsacjach, a gdy jedna z nich spadła Chickowi na kark, ten aż zadrżał. Była to mętna woda o zapachu ozonu. Pod koniec korytarz skręcał i od tej chwili ażurowa podłoga przebiegała nad warsztatami.

W dole przy każdej przysadzistej maszynie szamotał się jeden człowiek, walcząc, żeby nie zostać poszatkiwanym przez żarłoczne tryby. Do prawej nogi każdego przyczepiony był ciężki, żelazny pierścień. Otwierano go tylko dwa razy dziennie: w środku dnia i pod wieczór. Walczyli z maszynami o każdą metalową część, które stukocąc wypadały z wąskich otworków umieszczonych pod spodem. Części, jeśli się ich nie odebrało we właściwym czasie, prawie natychmiast wpadały do najeżonej zębatkami gęby, gdzie dokonywało się ich przetwarzanie

Były tam urządzenia wszelkich rozmiarów. Chick dobrze znał to widowisko. Pracował w końcu jednego z warsztatów, gdzie musiał nadzorować

prawidłowe działanie maszyn oraz wydawać ludziom wskazówki dotyczące doprowadzania ich do stanu używalności, zwłaszcza jeśli któraś stanęła, wydarłszy komuś kawałek ciała.

Dla oczyszczenia atmosfery długie strugi benzyny przeszywały na ukos pomieszczenia, lśniąc niekiedy odblaskami, i gromadziły wokół siebie dymy, opiłki metali, opary gorącej oliwy, które unosiły się pionowymi wąskimi słupami nad każdą maszyną. Chick zadarł głowę. Rury nadal mu towarzyszyły. Doszedł do klatki na platformie dźwigowej, wszedł i zamknął za sobą drzwi. Wyciągnął z kieszeni książkę Partra, nacisnął guzik i wziął się do lektury, czekając, aż zjedzie na dół.

Głuche stuknięcie platformy o metalowe podpory wyrwało go z letargu. Wyszedł i do-tarł do swojego biura, oszklonej budki marnie oświetlonej, skąd mógł nadzorować warsztaty. Usiadł, otworzył książkę i kontynuował lekturę, otepiał w skutek pulsacji fluidów i rumoru maszyn.

Nagły dysonans pośród zgiełku zmusił go do uniesienia oczu. Szukał wzrokiem, skąd mógł pochodzić ów podejrzany odgłos. Jedna z oczyszczających strug zawisała w powietrzu dokładnie na środku sali, jak gdyby przecięta na pół. Cztery maszyny, które przestała obsługiwać, wibrowały. Już z daleka widać było, jak drgają, a przed każdą zapadała się powoli jedna postać. Chick zamknął książkę i wyskoczył na zewnątrz. Podbiegł do tablicy rozdzielczej kierującej strugami i szybko pociągnął jedną z dźwigni. Oderwana struga nadal pozostawała nieruchoma. Rzec by można — ostrze kosy, kłęby dymu z czterech maszyn wzbijały się do góry. Zostawił tablicę i ruszył w stronę maszyn. Stawały powoli. Ludzie, którzy byli do nich przydzieleni, leżeli na ziemi. Ich powyginane prawe nogi tworzyły dziwne kąty z powodu żelaznych pierścieni, a ich prawe dłonie zostały odcięte aż po przeguby. Krew przypalała się w kontakcie z metalem łańcucha i w powietrzu unosił się okropny smród płonącego żywca zwierzęcia.

Chick za pomocą swojego klucza otworzył pierścienie, które

przytrzymały ciała, i położył je przy maszynach. Powrócił do swojego biura i przez telefon wezwał dyżurujących sanitariuszy. Następnie powrócił do tablicy rozdzielczej i próbował uruchomić strugę. Lecz nic z tego nie wychodziło. Płyn wychodził całkiem prosto, ale dotarwszy do poziomu czwartej maszyny, natychmiast zniknął i widać było krawędź strugi tak wyraźnie, jakby ją ktoś przeciął jednym ciosem siekiery.

Macając melancholijnie swoją książkę w kieszeni, udał się do Biura Centralnego. W chwili gdy opuszczał warsztat, usunął się, żeby przepuścić sanitariuszy, którzy rzucili cztery ciała na kupę na mały wózek elektryczny i teraz przygotowywali się do wysypania ich do Głównego Zbiornika.

Poszedł nowym korytarzem. Przed nim w oddali mały wózek zakręcił z cichym pomrukiem, krzesząc kilka białych iskier. Sufit, bardzo niski, odbijał stukot jego kroków po meta-lu. Podłoga nieco się wznosiła. Aby dotrzeć do Biura Centralnego, należało przejść przez trzy inne warsztaty, i Chick siedł w roztargnieniu. Dotarł wreszcie do głównego bloku i wszedł do szefa kadr.

— Mamy awarię pod numerami siedemset dziewięć, dziesięć, jedenaście i dwanaście — powiadomił sekretarki; w okienku. — Czterech ludzi do wymiany, a maszyny do wyniesienia, jak sądzę. Mogę mówić z szefem kadr?

Sekretarka pomanipulowała kilkoma czerwonymi przyciskami na tablicy z lakierowane-go mahoni i powiedziała: „Proszę wejść, czeka na pana”.

Chick wszedł i usiadł. Szef kadr patrzył na niego pytającym wzrokiem.

— Potrzebuję czterech ludzi — oświadczył Chick.

— Dobrze — odrzekł szef kadr — jutro ich pan dostanie.

— Jedna ze strug oczyszczających nie działa — dorzucił Chick.

— A to już nie moja sprawa — odparł szef kadr. — Niech pan zajrzy obok.

Chick wyszedł i dopełnił tych samych formalności, zanim wszedł do szefa obsługi technicznej.

— Jedna ze strug oczyszczających spod numeru siedemset nie działa — powiedział.

— Zupełnie?

— Nie dochodzi do końca.

— Nie udało się jej panu uruchomić?

— Nie, nie da rady.

— Każę skontrolować pański warsztat — powiedział szef obsługi technicznej.

— Moja wydajność spada — powiedział Chick. — Niech się pan pośpieszy.

— Nic mnie to nie obchodzi — powiedział szef obsługi technicznej. — Niech pan idzie do szefa produkcji.

Chick udał się do sąsiedniego bloku i wszedł do szefa produkcji. Stało tam mocno oświetlone biurko, a za nim na ścianie wisiała wielka tablica z matowego szkła, po której końcówka czerwonej linii przemieszczała się powoli w prawo, jak gąsienica po krawędzi liścia; wskazówki wielkich okrągłych wskaźników o chromowanych celownikach jeszcze wolniej obracały się pod tablicą.

— Pańska produkcja spada o 0,7% — powiedział szef. — Co jest?

— Cztery maszyny wypadły z obiegu — odrzekł Chick.

— Przy 0,8 wylatuje pan z roboty — powiedział szef produkcji.

Skonsultował wskaźnik obracając się na swoim chromowanym fotelu.

— 0,78 — stwierdził. — Na pana miejscu już bym się przygotowywał.

— Pierwszy raz mi się to zdarza — powiedział Chick.

— Bardzo mi przykro — odparł szef produkcji. — Być może uda się zmienić panu stanowisko...

— Nie zależy mi na tym — powiedział Chick. — Wcale nie muszę pracować. Nie znoszę tego.

— Nikt nie ma prawa tak mówić — rzekł szef produkcji. — Zwalniam pana — dorzucił.

— Nic nie mogłem poradzić — odparł Chick. — Jaka tu sprawiedliwość?

— A co takiego? — zapytał szef produkcji. — Ale ja mam dużo roboty, to

trzeba przy-znać.

Chick opuścił biuro. Wrócił do szefa kadr.

— Może mi pan wypłacić? — zapytał.

— Jaki numer? — zapytał szef kadr.

— Warsztat 700. Inżynier.

— Dobrze.

Zwrócił się do sekretarki i powiedział:

— Proszę zrobić, co trzeba.

— Halo! — zapytał do telefonu. — Jeden inżynier zamienny, typ 5, do warsztatu 700.

— Proszę — powiedziała sekretarka, podając Chickowi kopertę. — Ma pan tu swoich sto dziesięć dublezonów.

— Dziękuję — odrzekł Chick i wyszedł.

Minął inżyniera, który miał go zastąpić, młodego szczupłego mężczyznę o blond włosach i zmęczonej twarzy. Udał się do najbliższej windy i wszedł do kabiny.

XLIX — Wejść — krzyknął wytwórca płyt.

Spojrzał w stronę drzwi. Był to Chick.

— Dzień dobry — powiedział Chick. — Przyszedłem po te nagrania, które kiedyś panu przyniosłem.

— Podsumujmy — rzekł tamten. — Trzydzieści stron, sporządzenie oprzyrządowania, grawerka pantografem dwudziestu egzemplarzy ponumerowanych z każdej strony, to daje ni mniej ni więcej sto osiem dublezonów. Daję je panu za sto pięć.

— Proszę — powiedział Chick. — Mam tu czek na sto dziesięć dublezonów, indosuję go na pana, a pan mi wyda pięć dublezonów.

— Zgoda — powiedział wytwórca płyt.

Otworzył szufladę i podał Chickowi nowiuteńki banknot pięciodublezonowy.

Oczy Chicka przygasły.

L Izis wysiadła. Mikołaj prowadził samochód. Spojrzał na zegarek i wiódł za nią wzrokiem, aż weszła do domu Colina i Chloe. Miał na sobie nowy garnitur z białej gabardyny i kaszkiet z białej skóry. Odmłodniał, lecz zmartwiony wyraz jego twarzy zdradzał głęboki niepokój.

Schody gwałtownie zwężyły się na piętrze Colina i Izis mogła dotknąć jednocześnie po-ręczy i zimnej ściany, nie rozkładając nawet ramion. Dywan był już tylko lekkim mezzimem, który ledwo co pokrywał drewno. Doszła na podest, przez chwilę dyszała i zadzwoniła.

Nikt nie otwierał. Na schodach nie było słycać najmniejszych hałasów, jeśli nie liczyć cichego trzaśnięcia od czasu do czasu, po którym następowało wilgotne pryśnięcie, gdy prostował się któryś ze stopni.

Izis zadzwoniła ponownie! Przez drzwi czuła lekkie drżenie stalowego młoteczka uderzającego o metal. Lekko popchnęła drzwi, które otworzyły się natychmiast.

Weszła i potknęła się o Colina. Leżał rozciągnięty na podłodze, twarzą do ziemi i z ramionami wyciągniętymi do przodu... Oczy miał zamknięte. W przejściu panowała ciemność. Wokół okna widać było jasną poświatę, która dalej nie przenikała. Colin oddychał delikatnie. Spał.

Izis pochyliła się, przyklękła przy nim i pogłaskała go po policzku. Skóra mu lekko zadrzała, a oczy poruszyły się pod powiekami. Spojrzał na Izis i wyglądało, jakby ponownie usnął. Izis potrząsnęła nim lekko. Usiadł, przetarł usta dłonią i powiedział:

— Spałem.

— Tak — powiedziała Isis. — Nie sypiasz już w swoim łóżku?

— Nie. Chciałem tu poczekać na doktora i iść po kwiaty.

Minę miał całkowicie zdezorientowaną.

— Co się stało? — zapytała Isis.

— Chloe — odpowiedział Colin. — Znowu kaszle.

— To tylko podrażnienie, które pozostało — stwierdziła Isis.

— Nie. To drugie płuco.

Isis podniosła się i pobiegła do sypialni Chloe. Drewno parkietu chlupało pod jej stopami. Nie mogła rozpoznać pokoju. Na łóżku Chloe z głową na wpół ukrytą pod jaśkiem kaszłała bezgłośnie, lecz bez przerwy. Uniosła się nieco usłyszawszy wchodzącą Isis i złapała od-dech. Uśmiechała się słabo, kiedy Isis podeszła do niej, usiadła na łóżku i wzięła ją za rękę jak chore dziecko.

— Nie kaszł, kochana Chloe — szepnęła Isis.

— Jaki masz piękny kwiat — powiedziała Chloe jednym tchem, wachając wielki czerwony goździk wpleciony we włosy Isis. — Od razu mi lepiej.

— Jeszcze jesteś chora?

— To drugie płuco, jak sądzę.

— Ależ skąd — zaprzeczyła Isis. — Kaszlesz jeszcze przez to pierwsze.

— Nie — powiedziała Chloe. — Gdzie jest Colin? — Poszedł po kwiaty dla mnie?

— Zaraz wróci — odrzekła Isis. — Spotkałam go. Czy ma pieniądze?

— Tak — odparła Chloe — ma jeszcze trochę. A zresztą co z tego, nic nie szkodzi!...

— Boli cię? — zapytała Isis.

— Tak — powiedziała Chloe — ale nie bardzo. Pokój się zmienił, jak widzisz.

— Tak mi się bardziej podoba — stwierdziła Isis. — Przedtem był za duży.

— A jak wyglądają inne pokoje? — zapytała Chloe.

— Och!... W porządku... — odpowiedziała Izis wymijająco.

Pamiętała jeszcze zetknięcie z parkietem zimnym jak bajoro.

— Mnie nie przeszkadza, że się zmienia — powiedziała Chloe. — Dopóki jest ciepło i nadal wygodnie...

— Pewnie! — zawołała Izis. — Małe mieszkanie jest o wiele sympatyczniejsze.

— Mysz jest cały czas ze mną — powiedziała Chloe. — Widzisz, siedzi tam, w kątku. Nie wiem, co tam robi. Nie chciała już więcej iść do korytarza.

— Tak... — przytaknęła Izis.

— Daj mi jeszcze swój goździk — powiedziała Chloe — dobrze mi robi.

Izis odpięła go od włosów i podała Chloe, która przytknęła kwiat do ust i wdychała głębokimi haustami.

— Jak się miewa Mikołaj? — zapytała.

— Dobrze — odpowiedziała Izis. — Ale nie jest już taki wesoły jak kiedyś. Przyniosę ci więcej kwiatów, kiedy przyjdę następnym razem.

— Bardzo lubiłam Mikołaja — rzekła Chloe. — Nie wyjdiesz za niego?

— Nie mogę — szepnęła Izis. — Nie jestem na jego poziomie.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Chloe — jeśli cię kocha...

— Moi rodzice nie śmią z nim o tym rozmawiać. Och!...

Goździk nagle zbladł, zmiął się, wyglądało, jakby usechł. Teraz opadał na pierś Chloe w postaci drobnego pyłu.

— Och — zawołała z kolei Chloe — znowu będę kaszleć... Widziałaś!...

Przerwała, żeby unieść rękę do ust. Schwycił ją gwałtowny atak.

— To... ta rzecz, którą mam... sprawia, że wszystko umiera... — wybełkotała.

— Nic nie mów — powiedziała Izis. — To bez znaczenia. Colin przyniesie świeże kwiaty.

Światło w sypialni było niebieskie, zaś w kątach prawie zielone. Nie było jeszcze śladów wilgoci, a dywan nadal pozostawał wysoki, lecz jedno z czterech

kwadratowych okienek było prawie całkiem zrosnięte.

Izis usłyszała wilgotny odgłos kroków Colina w wejściu.

— Oto i on — powiedziała. — Na pewno niesie dla ciebie kwiaty.

Pojawił się Colin. W ramionach niósł naręczą lili.

— Proszę, kochana Chloe — zawołał. — Weź je!...

Wyciągnęła rękę.

— Jesteś taki miły, kochanie — rzekła.

Położyła bukiet na drugiej poduszce, odwróciła się na bok i skryła twarz w białych, cukrowanych kiściach.

Izis wstała.

— Już wychodzisz? — zapytał Colin.

— Tak — powiedziała Izis. — Czekają na mnie. Wrócę z kwiatami.

— Będzie bardzo miło, jeśli przyjdiesz jutro rano — zasugerował Colin.

— Muszę pójść szukać pracy, a nic chciałbym zostawiać Chloe samej, dopóki nie obejrzy jej doktor.

— Przyjdę... — powiedziała Izis.

Nachyliła się, ostrożnie pocałowała Chloe w delikatny policzek. Chloe podniosła rękę i pogłaskała Izis po twarzy, lecz nie odwróciła głowy. Wdychała łąpczywie zapach lili, rozplywający się kłębam wokół jej lśniących włosów.

LI Colin brnął wzdłuż drogi. Kręciła się pośród kopców zwieńczonych szklanymi kopułami, które w świetle dnia nabierały niewyraźnego odcienia morskiej wody.

Od czasu do czasu zadzierał głowę i odczytywał napisy, żeby się upewnić, że idzie we właściwym kierunku, i wówczas widział niebo pokreślone poprzecznie brudnym brązem i błękitem.

W oddali ponad zboczami mógł dostrzec ciągnące się kominy głównej

szklarni.

W kieszeni miał gazetę, w której wyczytał, iż poszukiwano mężczyzn od dwudziestu do trzydziestu lat do pracy na rzecz obronności kraju. Szedł najszybciej, jak mógł, lecz nogi za-padały mu się w ciepłą ziemię, która wszędzie odzyskiwała stan posiadania kosztem budowli i drogi.

Roślin nie było widać. Głównie ziemia w jednakowych bryłach usypanych po obu stronach tworzyła nasypy o chwiejnej równowadze i niekiedy ciężka masa drgając toczyła się po skarpie i zwałała ospale na powierzchnię drogi.

W niektórych miejscach nasypy obniżały się i Colin rozróżniał przez mętne szyby kopuł jakieś ciemnoniebieskie postacie poruszające się na jaśniejszym tle.

Przyspieszył kroku, wrywając stopy z dziur, jakie robił w glebie. Ziemia zaciskała się natychmiast jak mięsień okrężny i pozostawało jedynie płytkie zagłębienie, ledwie wyraźne. Prawie natychmiast znikało.

Kominy zbliżyły się. Colin czuł, jak jego serce wierci się w piersi niby rozwścieczone zwierzę. Ścisnął gazetę przez materiał kieszeni.

Ziemia ślizgała się i umykała mu spod nóg, lecz mniej się zapadał, a droga wyraźnie twardniała. Tuż obok siebie dostrzegł pierwszy komin wbity w glebę jak pał. Brunatne pta-szyska kołowały wokół jego szczytu, skąd ulatywała wąska zielona smużka. Krągła wypu-kłość u podstawy komina zapewniała mu stabilność. Budynki zaczynały się nieco dalej. Były tam tylko jedne drzwi.

Wszedł, wyczyścił nogi o kratkę błyszczącą wyostrzonymi brzeszczotami i ruszył niskim korytarzem, wzdłuż którego ciągnęły się lampy o pulsującym świetle. Ściany były z czerwonej cegły, górną ich część oraz sufit ozdobiono szklanymi płytkami kilkunastocentymetrowej grubości, przez które przezierały jakieś masy, ciemne i nieruchome. Na samym końcu korytarza znajdowały się drzwi. Nosiły numer podany w ogłoszeniu, więc wszedł bez pukania.

Jakiś starszy mężczyzna w białej bluzie, o zmierzwionych włosach, czytał podręcznik siedząc za biurkiem. Na ścianach wisiały lśniące lornetki, broń wszelkiego kalibru: karabiny, śmiernionośniki oraz cała kolekcja wyrwaczy

serc wszystkich rozmiarów.

— Dzień dobry panu — powiedział Colin.

— Dzień dobry panu — odpowiedział mężczyzna.

Głos miał łamiący i zgrubiały wskutek wieku.

— Przychodzę z ogłoszenia — powiedział Colin.

— Ach! — powiedział mężczyzna. — Już od miesiąca ukazuje się bez rezultatu. Ta praca jest dosyć ciężka, wie pan...

— Tak — powiedział Colin — ale dobrze płatna!

— Mój Boże! To pana zniszczy, sam pan zobaczy i w ogóle rzecz jest pewnie niewarta zachodu, a zresztą obgadywanie administracji to nie moja sprawa. W końcu, jak pan widzi, ja jeszcze żyję...

— Długo pan już pracuje? — zapytał Colin.

— Rok — odpowiedział mężczyzna. — Mam dwadzieścia dziewięć lat.

Przeładził pomarszczoną i drżącą ręką fałdy na swojej twarzy.

— A teraz osiągnąłem to, jak pan widzi, że mogę siedzieć za biurkiem i czytać książkę przez cały dzień...

— Potrzebuję pieniędzy — rzekł Colin.

— To się zdarza — powiedział mężczyzna — ale praca zrobi z pana filozofa. Za jakieś trzy miesiące mniej ich pan będzie potrzebował.

— To na leczenie mojej żony — dodał Colin.

— Ach! Tak?

— Jest chora — wyjaśnił Colin. — Ja nie znoszę pracy.

— Bardzo mi pana żal — powiedział mężczyzna. — Kiedy kobieta jest chora, do niczego już się nie nadaje.

— Kocham ją — rzekł Colin.

— Niewątpliwie. Inaczej nie chciałby pan pracować. Pokażę panu stanowisko. To jest piętro niżej.

Poprowadził Colina przez czyste korytarze o obniżonych sklepieniach, po schodach z czerwonej cegły aż do drzwi oznaczonych stosownym symbolem,

sąsiadujących z innymi drzwiami.

— Proszę — powiedział mężczyzna. — Wyjaśnię panu, na czym polega praca.

Colin wszedł. Pomieszczenie było małe, kwadratowe. Ściany i podłogę wykonano ze szkła. Na podłodze spoczywała wielka bryła ziemi w kształcie trumny, lecz bardzo gruba, co najmniej na metr. Ciężka wełniana derka leżała zrolowana obok. Ani jednego mebla. W małej niszy w ścianie znajdowała się skrzynka z błękitnego żelaza. Mężczyzna podszedł do skrzynki i otworzył ją. Wyciągnął z niej dwanaście błyszczących, cylindrycznych przedmiotów z maleńką dziurką w środku.

— Ziemia jest sterylna, wie pan, co to znaczy — powiedział mężczyzna — dla obrony kraju potrzebne są materiały pierwszej jakości, ale żeby lufy karabinów rosły równomiernie i bez zniekształceń, jak już dawno stwierdzono, potrzebne jest ciepło ludzkie. Odnosi się to zresztą do każdej broni.

— Tak — rzekł Colin.

— Robi pan w ziemi dwanaście dziur, mniej więcej między sercem a wątrobą, i po zdjęciu ubrania kładzie się pan na niej. Przykrywa się pan derką z wyjąłowanej wełny, tą, która tam leży, i robi pan tak, żeby wydzielać regularnie ciepło.

Zaśmiał się krótko i poklepał po prawym udzie.

— Ja tak robiłem z czternastoma przez pierwszych dwadzieścia dni każdego miesiąca. Ach!... byłem silny!...

— I co? — zapytał Colin.

— I leży pan tak przez dwadzieścia cztery godziny, a po ich upływie lufy karabinów wyrosną. Potem zostaną wyciągnięte. Podlewa się glebę oliwą, a pan rozpoczyna od nowa.

— One rosną w dół? — zapytał Colin.

— Tak, oświetlanie jest od spodu — wyjaśnił mężczyzna. — Mają wprawdzie fototropizm dodatni, ale rosną w dół, bo są cięższe od ziemi, dlatego

też oświetlane są od spodu, żeby nie było zniekształceń.

— A gwint? — zapytał Colin.

— Z tego gatunku wyrastają już gwintowane — odparł mężczyzna. — Są to specjalnie wyselekcjonowane ziarna.

— Do czego służą kominy? — zapytał Colin.

— Do wentylacji — powiedział mężczyzna — i do sterylizacji derek oraz budynków. Nie warto sobie zawracać głowy jakimiś dodatkowymi środkami ostrożności, bo wszystko odbywa się bardzo rytmicznie.

— A ze sztucznym ogrzewaniem nie wychodzi? — zapytał Colin.

— Niezbyt. Potrzebne im jest ciepło ludzkie, żeby dobrze wzrastały.

— Zatrudniacie kobiety? — zapytał Colin.

— One nie nadają się do tej pracy — odpowiedział mężczyzna. — Nie mają piersi dość płaskiej, żeby ciepło równomiernie się rozkładało. A teraz już pana opuszczę.

— Ale na pewno zarobię dziesięć dublezonów dziennie? — zapytał Colin.

— Oczywiście — odpowiedział mężczyzna — i premię, jeśli pan przekroczy dwanaście luf...

Opuścił pomieszczenie i zamknął drzwi. Colin trzymał w dłoni dwanaście ziaren. Położył je obok siebie i zaczął się rozbierać. Oczy miał zamknięte, a wargi drżały mu od czasu do czasu.

LI — Nie wiem, co się dzieje — powiedział mężczyzna — na
I początku szło dobrze. Ale z tych ostatnich mogliśmy zrobić tylko
broń specjalną.

— Ale zapłacicie mi tak czy inaczej, co? — zapytał zaniepokojony Colin.

Powinien dostać siedemdziesiąt dublezonów i dziesięć premii. Starł się, jak mógł, ale kontrola luf wykryła pewne anomalie.

— Niech pan sam popatrzy — powiedział mężczyzna.

Trzymał jedną z luf przed sobą i pokazywał Colinowi rozszerzoną końcówkę.

— Nie rozumiem — rzekł Colin. — Pierwsze były doskonale cylindryczne.

— Oczywiście, można ich użyć do produkcji garłaczy — powiedział mężczyzna — lecz jest to model sprzed pięciu wojen, a mamy już ich niezły zapas. To dość przykre.

— Robię, co mogę — odparł Colin.

— Zapewne. Dam panu pańskie osiemdziesiąt dublezonów.

Wyciągnął z szuflady swego biurka opieczętowaną kopertę.

— Kazałem przynieść ją tutaj, żeby oszczędzić panu chodzenia do kasy — powiedział — czasami potrzeba miesięcy, żeby odebrać swoje pieniądze, a wygląda, że panu się spieszy.

— Bardzo panu dziękuję — rzekł Colin.

— Nie przeglądałem jeszcze pańskiej wczorajszej produkcji — powiedział mężczyzna. — Zaraz tu będzie. Nie zechciałby pan chwilkę zaczekać?

— Poczekam — odrzekł.

— Wie pan, bardzo musimy uważać na te szczegóły, bo jeden karabin musi być w końcu podobny do drugiego, nawet jeśli nie ma naboju...

— Rozumiem... — powiedział Colin.

— Często nie ma naboju — powiedział mężczyzna — jesteśmy do tyłu z programem naboju, mamy duże zapasy do typu karabinu, którego już się nie produkuje, ale nie dostaliśmy polecenia dotyczącego produkcji do nowych karabinów, więc nie można ich używać. Zresztą to nic nie szkodzi. Bo co można zdziałać karabinem przeciw maszynie na kołach. Wróg produkuje jedną maszynę na kołach na dwa nasze karabiny. Tak więc mamy przewagę liczebną. Ale maszyna na kołach nie obawia się karabinu, a nawet dziesięciu, tym bardziej bez naboju...

— A tutaj nie robi się maszyn na kołach? — spytał Colin.

— Owszem — odpowiedział mężczyzna — ale dopiero kończymy program z ostatniej wojny, więc kiepsko działają. Trzeba je niszczyć, a ponieważ są bardzo solidnej konstrukcji, zabiera to dużo czasu.

Ktoś zapukał do drzwi, pojawił się magazynier, pchający przed sobą biały sterylny wózek. Pod białą materią spoczywała produkcja Colina z poprzedniego dnia. W jednym miejscu materiał wybrzuszał się nieco. Nie powinno mieć to miejsca przy dokładnie walcowanych lufach i Colin poczuł niepokój. Magazynier wyszedł, zamykając drzwi.

— Ach!... — zawołał mężczyzna. — Nie wygląda, żeby się poprawiło.

Zdarł materiał. Leżało tam dwanaście luf, niebieskich i zimnych, a na końcu każdej rozkwitała piękna biała róża, świeża i z lekkim beżowym odcieniem w zagłębieniu aksamitnych płatków.

— Och!... — szepnął Colin. — Jakie piękne!...

Mężczyzna nic nie rzekł. Zakaszlał dwukrotnie.

— Nie warto, żeby pan jutro przychodził do pracy — powiedział z wahaniem. Jego palce czepiały się nerwowo krawędzi wózka.

— Czy mogę je wziąć? — zapytał Colin. — Dla Chloe?

— Umrą — powiedział mężczyzna — jeśli oderwie je pan od stali. One są ze stali, pan rozumie...

— To niemożliwe — stwierdził Colin.

Ujął delikatnie jedną z róż i usiłował złamać łodyżkę. Wykonał fałszywy ruch i jeden z płatków rozdarł mu rękę na długości kilkunastu centymetrów. Ręka krwawiła w powolnych pulsacjach dużymi haustami ciemnej krwi., którą machinalnie połykał. Patrzył na biały płatek naznaczony czerwonym półksiężycem, a mężczyzna klepnął go w ramię i lekko popchnął w stronę drzwi.

LII I

Chloe spała. W dzień nenufar przydawał jej pięknego, kremowego koloru swojej skóry, lecz w czasie snu już mu się nie chciało i wtedy powracały czerwone plamy na policzkach. Jej oczy dwoma niebieskimi plamami zaznaczyły się poniżej czoła, tak że z daleka nie było wiadomo, czy są otwarte. Colin siedział na krześle w jadalni i czekał. Wokół Chloe było mnóstwo kwiatów. Mógł przeczekać kilka godzin przed wyruszeniem na poszukiwanie nowej pracy. Chciał wypocząć, żeby zrobić dobre wrażenie i objąć stanowisko przynoszące naprawdę dochód. W pokoju było prawie ciemno. Okno zasklepiło się do wysokości dziesięciu centymetrów nad parapetem i światło wchodziło jedynie wąską szczeliną. Tylko oczy i czoło miał oświetlone. Reszta twarzy pozostawała w mroku. Adapter już nie działał i teraz trzeba było kręcić go ręcznie przy każdej płycie. Płyty również się zużywały. Teraz na niektórych z trudem można było rozpoznać melodię. Pomyślał, że gdyby Chloe czegoś potrzebowała, mysz z pewnością przyjdzie mu powiedzieć. Czy Mikołaj ożeni się z Izis? Jaką suknię założy Izis na swój ślub? Kto dzwoni do drzwi?

— Dzień dobry, Alizo — powiedział Colin. — Przyszłaś w odwiedziny do Chloe?

— Nie — odparła Aliza. — Przyszłam, ot, po prostu.

Mogli pozostać w jadalni. Dzięki włosom Alizy robiło się tam jaśniej. I były jeszcze dwa krzesła.

— Martwisz się — powiedział Colin. — Sam wiem, co to znaczy.

— Chick jest tam — powiedziała Aliza. — U siebie.

— Powinnaś się z nim zobaczyć — tłumaczył Colin.

— Nie — powiedziała Aliza — muszę być gdzie indziej.

— Tak — odparł Colin. — Właśnie odnawia mieszkanie...

— Nie. Ma swoje książki i mnie już nie chce.

— Zrobiłaś mu scenę?

— Nie.

— Źle zrozumiał, co mu powiedziałaś, ale kiedy już nie będzie zły, wyjaśnisz mu dokładnie!

— Powiedział mi po prostu, że dublezonów wystarczy mu akurat na obłożenie jego ostatniej książki w skórę z nicości, i że nie może mnie dłużej trzymać, bo nic mi nie może dać, i że ze zniszczonymi rękami będę brzydka.

— Ma rację — powiedział Colin. — Nie powinnaś pracować.

— Ale ja kocham Chicka — odparła Aliza. — Mogłabym dla niego pracować.

— To nic nie da. A poza tym nie możesz, jesteś zbyt piękna.

— Ale dlaczego wyrzucił mnie za drzwi? — zapytała Aliza. — Czy naprawdę jestem taka piękna?

— Nie wiem — odparł Colin. — Ale mnie osobiście podobają się twoje włosy i twoja twarz.

— Popatrz — powiedziała Aliza.

Podniosła się, pociągnęła za kółeczko zamka i suknia opadła na ziemię. Była to sukienka z jasnej wełny.

— Tak... — powiedział Colin.

W pomieszczeniu było bardzo widno i Colin widział Alizę w całej okazałości. Jej piersi wyglądały tak, jakby chciały odfrunąć, a długie mięśnie jej szczupłych nóg były w dotyku jędrne i ciepłe.

— Mogę pocałować? — zapytał Colin.

— Tak — zezwoliła Aliza. — Bardzo cię lubię.

— Będzie ci zimno — stwierdził Colin.

Podeszła do niego. Usiadła mu na kolanach, a jej oczy zaczęły bezgłośnie płakać.

— Dlaczego on już mnie nie chce?

Colin kołysał ją delikatnie.

— On po prostu nie rozumie. Wiesz, Alizo, mimo wszystko to dobry chłopak.

— Bardzo mnie kochał — powiedziała Aliza. — Myślał, że książki zaakceptują ten podział. Ale to jest niemożliwe.

— Zmarzniesz — zauważył Colin.

Całował ją i głaskał po włosach.

— Dlaczego ciebie nie spotkałam pierwszego? — zapytała Aliza. — Kochałabym cię tak samo, ale teraz już nie mogę. To jego kocham.

— Wiem o tym dobrze — rzekł Colin. — Ja też teraz bardziej kocham Chloe.

Postawił ją na nogi i podniósł jej sukienkę.

— Załóż to, koteczku. Zmarzniesz.

— Nie. A poza tym to bez znaczenia.

Ubrała się machinalnie.

— Nie chciałbym, żebyś się smuciła — rzekł Colin.

— Jesteś bardzo miły, ale ja jestem bardzo smutna. Sądzę jednak, że mimo wszystko będę mogła zrobić coś dla Chicka.

— Pójdziesz do swoich rodziców — powiedział Colin. — Może chcieliby się z tobą zobaczyć... albo do Izis.

— Chicka tam nie będzie — stwierdziła Aliza. — Nic potrzebuję chodzić do nikogo, jeśli Chick tam nie przyjdzie.

— Przyjdzie — zapewnił Colin. — Pójdę do niego.

— Nie — prosiła Aliza. — Nie można już do mego wejść. Jest zamknięty na klucz.

— Zobaczę się z nim i tak — powiedział Colin. — Albo on przyjdzie do mnie.

— Nie sądzą — odrzekła Aliza. — To już nie ten sam Chick.

— Ależ tak — powiedział Colin. — Ludzie się nic zmieniają. To rzeczy się zmieniają.

— Sama nie wiem — powiedziała Aliza.

— Odprowadzę cię. Muszę iść szukać pracy.

— Ale nie idę tamtędy — rzekła Aliza.

— Zejdziemy razem.

Stała naprzeciw niego. Colin położył obie ręce na ramionach Alizy. Czuł ciepło jej szyi i dotyk delikatnych, wypielęgnowanych włosów na swojej skórze. Powiódł dłońmi po ciele Alizy. Już nie płakała. Zdawała się być nieobecna.

— Nie chciałbym, żebyś zrobiła jakieś głupstwo — rzekł Colin.

— Och! — westchnęła Aliza. — Nie zrobię żadnego głupstwa...

— Wpadnij do mnie, jeśli będzie ci źle.

— Być może przyjdę cię odwiedzić — odparła Aliza.

Patrzyła gdzieś w głąb mieszkania. Colin wziął ją za rękę. Zeszli po schodach. Od czasu do czasu ślizgali się na wilgotnych stopniach. Na dole Colin pożegnał się z nią. A ona stała dalej i patrzyła, jak odchodzi.

L
V Ostatnia powróciła właśnie z oprawy i Chick głaskał ją przed odłożeniem na miejsce. Oprawiona była w skórę z nicości, grubą i zieloną, a nazwisko Partra odcinało się od obwoluty wklęsłymi literami. Na jednej półce Chick miał całe wydanie zwyczajne, zaś wszystkie warianty, rękopisy, pierwsze wydania i wkładki specjalne zajmowały poszczególne nisze wykute w ścianie.

Chick westchnął. Aliza opuściła go rano. Musiał kazać jej odejść. Pozostał mu tylko jeden dublezon i kawałek sera, a jej sukienki przeszkadzały w szafie, gdy chciał powiesić stare ciuchy Partra, które księgarz jakimś cudem zdobywał. Już nie pamiętał, kiedy ostatni raz ją pocałował. Nie mógł tracić czasu na całowanie się z nią. Musiał zreperować adapter, żeby nauczyć się na pamięć tekstów wykładów Partra. Gdyby przypadkiem rozbił płyty, zachował-by tekst. Miał wszystkie książki Partra, wszystkie opublikowane. Na luksusowe oprawy, starannie chronione przez skórzane etui, złociste okucia, cenne egzemplarze o

błękitnych marginesach, nakłady ograniczone wydrukowane na takich materiałach jak lepy na muchy lub papier wergententorykański była przeznaczona cała ściana, podzielona na przytulne wnęki, wyściełane aksamitną skórą. Każde dzieło zajmowało jedną komórkę. Przeciwległą ścianę przyozdabiały ułożone w pozszywane sterty artykuły Partra, wydarte z zapalem z gazet i licznych periodyków, które raczył zaszczyścić swoją owocną współpracą.

Chick przejechał dłonią po czole. Ile czasu Aliza z nim była?... Duplezony Colina były przeznaczone na ich wesele, ale jej nie zależało na tym tak bardzo. Wystarczało jej, gdy na niego czekała, wystarczało, że z nim była, ale przecież trudno wymagać od kobiety, żeby z tobą była tylko dlatego, że cię kocha. On też ją kochał. Nie mógł dopuścić do tego, żeby tracić swój czas, skoro nie interesowała się Partrem. Jak można nie interesować się takim człowiekiem jak Partre?... zdolnym do napisania czegokolwiek na jakikolwiek temat, i to z jaką precyzją... Zapewne Partre zużyje cały rok na realizację swojej *Encyklopedii mdłości*, a księżna de Bouvouard będzie go wspomagała w tej pracy i powstaną nadzwyczajne rękopisy. Trzeba będzie wkrótce zarobić dość duplezonów, i trzymać je w rezerwie, żeby dać księgarzowi chociaż zaliczkę. Chick nie zapłacił podatków. Ale ta kwota była mu bardziej przydatna w postaci egzemplarza *Dziurki Świętej Gołębicy*. Aliza wolała, żeby użył tych duplezonów do zapłacenia podatków, nawet zaproponowała mu, że w tym celu sprzeda coś ze swoich rzeczy. Zgodził się i akurat wystarczyło na oprawienie *Dziurki Świętej Gołębicy*. Aliza doskonale obchodziła się bez naszyjnika.

Wahał się, czy otworzyć drzwi. Może stała za nimi i czekała, aż obróci klucz w zamku. Raczej nie przypuszczał. Jej kroki na schodach rozbrzmiewały jak ciche, niktne stukanie młotkiem. Mogła powrócić do rodziców i kontynuować swoje studia. W końcu miała tylko niewielkie opóźnienie. Można szybko nadrobić wykłady, które opuściła. Ale Aliza nie robiła już nic zupełnie. Nadmiernie interesowała się sprawami Chicka, robieniem mu obiadu i praso-

waniem krawatów. A podatki i tak pozostałyby nie zapłacone. Czy były już wypadki, że przychodzą do domu nękać cię, dlatego że nie zapłaciłeś podatków? Nie, to się nie zdarza. Można przelać jako zaliczkę jednego dublezona, a dadzą ci święty spokój, i nie będzie o tym mowy przez jakiś czas. Czy taki facet jak Partre płaci podatki? Niewykluczone, a w końcu, czy z moralnego punktu widzenia należy je płacić po to, żeby w zamian mieć prawo dać się wsadzić do ciupy tylko dlatego, że inni płacą podatki, które służą do utrzymywania policji i różnych innych wyższych urzędników. To jakieś błędne koło, które trzeba przerwać, niech nikt nie daje ani grosza przez dłuższy czas, a wszyscy urzędnicy umrą na gruźlicę i nie będzie więc żadnych wojen.

Chick podniósł pokrywę swojego dwutalerzowego adaptera i nastawił dwie różne płyty Jean-Sol Partra. Chciał wysłuchać obu naraz, żeby wydobyć nowe myśli ze zderzenia dwóch starych. Usadowił się w równej odległości od obu głośników, tak aby głowa znalazła się dokładnie w miejscu, gdzie owo zderzenie miało miejsce, i by automatycznie przyjęła rezultaty wstrząsu.

Igły wydały trzask na początku spirali, po czym umieściły się w zagłębieniach rowków i słowa Partra rozbrzmiały w mózgu Chicka. Ze swojego miejsca patrzył przez okno i stwierdził, że tu i ówdzie ponad dachami unosiły się opary, wielkie niebieskie słupy, od dołu zabarwione na czerwono, jak dym powstały z papieru, widział, jak czerwień zdobywa przewagę nad błękitem i słowa, które zderzały się z ostrymi błyskami, dając jego zmęczeniu miejsce odpoczynku, miękkie jak mech w maju.

LV Seneszał policyjny wyciągnął gwizdek z kieszeni i użył go do palnięcia w wielki gong peruwiański, który wisiał tuż za nim. Dało się słyszeć galopadę podkutych butów na wszystkich piętrach, odgłos sukcesywnych upadków i po zjeździe wpadło do biura sześciu spośród jego

najlepszych zbrojnych agentów.

Wstali, otrzepali tyłki z kurzu i stanęli na baczność.

— Douglas! — zawołał seneszał.

— Jestem! — odpowiedział pierwszy zbrojny.

— Douglas! — powtórzył seneszał.

— Jestem! — powiedział drugi.

I dalej w ten sposób. Seneszał policyjny nie umiał zapamiętać nazwisk wszystkich swoich ludzi i Douglas stanowiło tradycyjne określenie.

— Misja specjalna — zarządził.

Jednoczesnym ruchem sześciu zbrojnych agentów położyło ręce na tylnych kieszeniach, żeby dowieść, że są uzbrojeni w swoje dwunastowytryskowe zrównywacze.

— Dowodzę osobiście! — podkreślił seneszał. Gwałtownie uderzył w gong. Drzwi otworzyły się i wszedł sekretarz.

— Wychodzę — oznajmił seneszał. — Misja specjalna. Niech pan kołonotatnikuje.

Sekretarz schwycił kołonotatnik oraz ołówek i przyjął regulaminową pozycję rejestracyjną numer sześć.

— Ściągnięcie podatków z pana Chicka, z uprzednim zajęciem mienia. Spuszczenie manta z małej wysokości i udzielenie surowej nagany. Konfiskata całkowita, albo nawet częściowa, połączona z profanacją domostwa.

— Zanotowane! — powiedział sekretarz.

— W drogę, Douglasy — zarządził seneszał policyjny. Podniósł się i stanął na czele eskadry, która ciężko ruszyła, naśladując swymi dwunastoma stopami lot kukułki skrzyżnej. Sześciu ludzi było ubranych w obcisłe kombinezony z czarnej skóry, opancerzone na piersiach i ramionach, a ich kaski z pociemniałej stali w kształcie czepka opadały im na karki chroniąc czoło i skronie. Wszyscy nosili ciężkie metaliczne buciory.

Seneszał posiadał strój analogiczny, tyle że z czerwonej skóry, a dwie złote

gwiazdy lśniły mu na ramionach. Zrównywacze wypychały tylne kieszenie jego pomocników, on zaś trzymał w dłoni złotą pałeczkę, a ciężki złoty granat dyndał mu u pasa. Zeszli głównymi schodami, a wartownik przyjął postawę zasadniczą, kiedy seneszał uniósł rękę do kasku. Specjalny samochód czekał na nich przed drzwiami. Seneszał usiadł samotnie z tyłu, a sześciu zbrojnych agentów ustawiło się na stopniach, na zewnątrz, dwóch grubych z jednej i czterech chudych z drugiej strony. Kierowca miał również kombinezon z czarnej skóry, ale nie nosił kasku. Ruszył. Samochód nie posiadał kół, lecz całe mnóstwo migotliwych stóp, tak że jakieś pogrubione ostre przedmioty nie groziły przebicciem opon. Stopy zaszurgotały po ziemi i kierowca ostro zakręcił na pierwszym rozwidleniu, wewnątrz miało się wrażenie pływania na grzbiecie załamującej się fali.

LVI Patrząc na oddalającego się Colina, Aliza ze wszystkich sił swojego serca mówiła mu do widzenia. Tak bardzo kochał Chloe, dla niej szedł na poszukiwanie pracy, żeby móc kupować jej kwiaty i walczyć z tym okropieństwem, które żerowało w jej piersiach. Ramiona Colina zapadły się nieco, wyglądał na bardzo zmęczonego, jego blond włosy nie były już uczesane i ułożone jak niegdyś. Chick umiał być taki czuły, mówiąc o książkach Partra i wyjaśniając Partra. Naprawdę nie może się obejść bez Partra, nawet mu do głowy nie przyjdzie, żeby zająć się czymś innym. Partre mówi o wszystkim, co on chciałby wiedzieć. Nie wolno pozwolić Partrowi, żeby opublikował tę encyklopedię, to będzie koniec Chicka, będzie kradł, zabije jakiegoś księgarza. Aliza powoli ruszyła w drogę. Partre spędzał swoje dni w szynku z sobie podobnymi, którzy przychodzili tam pić lub pisać, popijając herbatę gruzińską i słodkie wódki, co zwalnia ich od myślenia o tym, o czym piszą; wchodzą i wychodzą tłumy ludzi, a to porusza idee ukryte, od czasu do czasu złowi się jakąś i wcale nie trzeba eliminować całego wodolejstwa,

bierze się kilka myśli, trochę wody i już się płynie. Ludzie łatwiej łykają takie rzeczy, zwłaszcza kobiety nie lubią kawy na ławę. Droga do szynku wcale nie była długa, już z daleka Aliza ujrzała jednego z kelnerów w białej marynarce i cytrynowych spodniach podającego świńskie ucho z chrzanem Donowi Evany Marquému, słynnemu specjalście w hippice na własnym sprzęcie, który zamiast pić, czego nie cierpiał, pochłaniał ostre potrawy, żeby wzbudzić pragnienie u swoich sąsiadów. Weszła. Jean-Sol Partre siedział na swoim zwykłym miejscu, pisał, było mnóstwo ludzi, którzy cicho rozmawiali. Najzwyczajniej w świecie, co było nadzwyczajne, Aliza dostrzegła wolne krzesło obok Jean-Sola i usiadła. Położyła sobie na kolanach ciężką torebkę i rozpięła zamek. Przez ramię Jean-Sola ujrzała na kartce tytuł *Encyklopedia*, tom dziewiętnasty. Nieśmiało położyła rękę na ramieniu Jean-Sola; przerwał pisanie.

— Już tyle pan napisał — powiedziała Aliza.

— Tak — odparł Jean-Sol. — Pani chciała ze mną rozmawiać?

— Chciałam pana prosić, żeby jej pan nie publikował — powiedziała.

— Ciężko będzie — rzekł Jean-Sol. — Bardzo na nią czekają.

Zdjął okulary, chuchnął na szkła i założył je z powrotem; nie było już widać jego oczu.

— Oczywiście — przyznała Aliza. — Mnie chodzi o to, żeby ją tylko opóźnić.

— Och — powiedział Jean-Sol — jeśli chodzi tylko o to, to coś pomyślimy.

— Trzeba by ją opóźnić o dziesięć lat — dodała Aliza.

— Tak? — zapytał Jean-Sol.

— Tak — powtórzyła Aliza. — Dziesięć lat lub więcej, oczywiście. Wie pan, lepiej niech ludzie trochę zaoszczędzą, żeby móc ją kupować.

— Będzie nudna w czytaniu — powiedział Jean-Sol Partre — bo mnie się już znudziło pisanie. Zdrętwiała mi cała ręka od trzymania tej kartki.

— Bardzo mi pana żal.

— Że złapał mnie kurcz?

— Nie, że nie chce pan opóźnić publikacji.

— Dlaczego?

— Wyjaśnię panu: Chick wydaje całe pieniądze na to, co pan robi, i nie ma ich już więcej.

— Lepiej by zrobił kupując coś innego — powiedział Jean-Sol — ja nigdy nie kupuję swoich książek.

— On kocha to, co pan pisze.

— Jego prawo — rzekł Jean-Sol. — Dokonał wyboru.

— Uważam, że jest zbyt zaangażowany. Ja też dokonałam wyboru, ale ja jestem wolna, bo on już nie chce, żebym z nim żyła. Więc zabiję pana, skoro nie chce pan opóźnić publikacji.

— Odbierze mi pani środki do życia. Jak pani myśli, w jaki sposób będę korzystał z praw autorskich jako nieboszczyk?

— To już pańska sprawa — odparła Aliza — nie mogę przecież brać wszystkiego pod uwagę, ponieważ przede wszystkim chcę pana zabić.

— Ale chyba pani przyzna, że nie mogę uznać takiego wytłumaczenia? — zapytał Jean-Sol Partre.

— Przyznaję.

Otworzyła torebkę i wyciągnęła wyrywacz serc Chicka, który wyjęła z szuflady jego biurka kilka dni wcześniej.

— Czy będzie pan uprzejmy rozpiąć koszulę? — zapytała.

— Niech pani posłucha — powiedział Jean-Sol zdejmując okulary — uważam, że cała ta historia jest idiotyczna.

Rozpiął kołnierzyk. Aliza wyczerpała wszystkie siły i zdecydowanym gestem wbiła wyrywacz serc w pierś Partra. Spojrzał na nią, umierał bardzo szybko, rzucił jeszcze ostatnie zdziwione spojrzenie stwierdziwszy, że jego serce miało kształt czworościanu. Aliza zbladła, Partre był już nieżywy, a herbata stygła. Wzięła rękopis *Encyklopedii* i podarła go. Jeden z kelnerów przyszedł wytrzeć

krew i całe to paskudztwo, jakie powstało, gdy mieszało się z atramentem na prostokątnym stoliczku. Aliza zapłaciła mu, rozłożyła ramiona wyrywacza i serce Partra pozostało na stole. Złożyła lśniący instrument, włożyła go do torebki, po czym wyszła na ulicę, zabierając pudełko zapalek, które Partra miał w kieszeni.

LVI
I Obejrzała się. Gęsty czarny dym wypełniał witrynę, a ludzie zaczęli się przyglądać. Zużyła trzy zapalki, zanim się zajęło, książki Partra nie chciały się palić. Księgarz spoczywał za biurkiem, a jego serce leżące obok zaczęło płonąć czarnym płomieniem, Wyływały z niego kręte stróżki wrzącej krwi. Dwie pierwsze księgarnie, trzysta metrów wcześniej, płonęły trzeszcząc i hucząc, a księgarze leżeli martwi, wszyscy, którzy sprzedali książki Chickowi, musieli umrzeć w ten sam sposób, a ich księgarnie miały spłonąć. Aliza płakała i spieszyła się, pamiętała oczy Jean-Sol Partra widzącego swoje serce. Początkowo nie chciała go zabić, miała zamiar tylko przeszkodzić w ukazaniu się nowej książki i ocalić Chicka od ruiny, która powoli go pochłaniała. Wszyscy sprzysięgli się przeciw Chickowi. Chcieli mu wydrzeć pieniądze, wykorzystywali jego miłość do Partra, sprzedawali mu stare bezwartościowe ciuchy, fajki z odciskami, zasłużyli sobie na los, jaki ich czekał. Ujrzała po lewej stronie wystawę ozdobioną stertami książek, stanęła, złapała oddech i weszła. Księgarz podszedł do niej.

— Czym mogę służyć? — zapytał.

— Ma pan coś Partra? — zapytała Aliza.

— Oczywiście — powiedział księgarz — ale na razie nie mogę dostarczyć pani żadnych relikwii, bo na wszystkie mam stałego klienta.

— Czy to Chick? — zapytała Aliza.

— Tak — odparł księgarz — tak się chyba nazywa.

— Więcej nie przyjdzie nic kupować od pana — powiedziała Aliza.

Podeszła do niego i upuściła chusteczkę. Księgarz trzeszcząc kośćmi schylił się, żeby ją podnieść, a ona szybkim gestem wbiła mu w plecy wyrywacz serc. Znowu płakała i dygotała, księgarz padł twarzą na podłogę, a ona nie śmiała odebrać chusteczki, którą trzymał w zaciśniętych palcach. Wyrywacz wyszedł i w swoich łapach trzymał serce księgarza, całkiem małe i jasnoczerwone. Rozwarła łapki i serce potoczyło się obok swego właściciela. Należało się spieszyć, złapała stertę czasopism, potarła zapałkę, zrobiła pochodnię, rzuciła ją pod kontuar, po wierzchu przysypała gazetami, po czym podrzuciła do ognia tuzin Remów, które wzięła z najbliższej półki, a ogień rzucił się na książki z gorącym drzeniem. Drzewo lady trzeszczało i dymiło, opary wypełniały sklep. Aliza wepchnęła do ognia ostatni rząd książek i wyszła po omacku, zabrała klamkę, żeby nikt nie wszedł, i ruszyła pędem. Oczy ją szczypały, a włosy śmierdziały dymem, biegła, łzy prawie nie płynęły jej po policzkach, wiatr osuszał je natychmiast. Zbliżała się do dzielnicy, w której mieszkał Chick, zostały już tylko dwie czy trzy księgarnie, pozostałe nie stanowiły dla niego niebezpieczeństwa.

Obejrzała się przed wejściem do następnej, daleko z tyłu widać było wielkie kolumny dymu wznoszące się w niebo i ludzi spieszących, żeby zobaczyć, jak działają skomplikowane aparaty pompiaży. Ich wielkie białe samochody przejechały ulicą, gdy zamykała drzwi, spoglądała za nimi przez szybę, a księgarz podszedł do niej pytając, czym może służyć.

LVII — Wy — rozkazał seneszał policyjny — staniecie po prawej
I stronie drzwi, a wy Douglas — kontynuował, zwróciwszy się
do drugiego z grubych agentów — staniecie po lewej i nie
wpuszczają mi nikogo.

Obaj wyznaczeni zbrojni agenci wzięli swoje zrównywacze w prawe ręce i opuścili je wzdłuż prawego uda skierowawszy lufy w kierunku kolan w regulaminowej pozie. Pod brodą dopięli dyndające z obu stron paski swoich kasków. Seneszal wszedł, a za nim czterech chudych agentów, znów rozstawił po jednym z każdej strony drzwi z zadaniem niewypuszczenia nikogo. Udał się na schody wraz z pozostałymi dwoma chudymi. Byli do siebie podobni, obaj mieli śniadą cerę, czarne oczy i wąskie usta.

LIX Chick wyłączył adapter, żeby zmienić obie płyty, których jednocześnie wysłuchał do końca. Wziął dwie z innej serii, pod jedną z płyt znalazł fotografię Alizy, o której myślał, że zaginęła. Aliza widniała na niej w trzech czwartych oświetlona stonowanym światłem, fotograf musiał umieścić lampę za nią, żeby udawała blask słoneczny, w górnych partiach jej włosów. Chick zmienił płyty i trzymał fotografię w dłoni. Rzuciwszy okiem przez okno stwierdził, że nowe słupy dymu wznosiły się bliżej niego. Miał zamiar przesłuchać te dwie płyty i pójść do księgarni w sąsiedztwie. Usiadł, jego ręka uniosła zdjęcie do oczu, zaczął się przyglądać uważniej; ona była podobna do Partra; powoli jego rysy powstawały na rysach Alizy. Uśmiechnął się do Chicka, na pewno zadedykuje mu to, co on zechce. Na schodach słychać było czyjeś kroki, przez chwilę nasłuchiwał, potem rozbrzmiało pukanie do drzwi. Odłożył fotografię, wyłączył adapter i poszedł otworzyć. Tuż przed nosem ujrzał czarny skórzany kombinezon jednego z agentów, później drugiego, zaś na końcu szedł seneszal. W mroku podestu po jego czerwonym stroju i czarnym kasku pełzały ulotne ogniki.

— Pan się nazywa Chick? — zapytał seneszal.

Chick cofnął się i twarz mu pobladła. Wycofał się aż do ściany, gdzie stały jego piękne książki.

— Co ja takiego zrobiłem? — zapytał.

Seneszał pogrzebał w kieszeni na piersi i przeczytał papier:

„Ściągnięcie podatków z pana Chicka z uprzednią konfiskatą mienia. Spuszczenie manta z małej wysokości i udzielenie surowej nagany. Konfiskata całkowita albo nawet częściowa połączona z profanacją domostwa”.

— Ależ... ja zapłacę podatki — powiedział Chick.

— Pewnie — odparł seneszał — zapłaci pan później. Najpierw musimy panu spuścić manto z małej wysokości. Będzie za to bardzo ciężkie, działamy krótko, a treściwie, żeby się ludzie za bardzo nie wzruszyli.

— Zaraz wam dam pieniądze — rzekł Chick.

— No pewnie — powiedział seneszał.

Chick podszedł do stołu i wyciągnął szufladę. Trzymał tam wyrywacz serc dużego kalibru i glinobój w kiepskim stanie. Nie znalazł wyrywacza, ale glinobój wyrzuszał stertę starych papierzyk.

— Ej, panie — zapytał seneszał — czy aby na pewno szuka pan tam pieniędzy?

Obaj agenci odsunęli się od siebie i wymierzili zrównywacze. Chick wyprostował się trzymając glinobój w dłoni.

— Szefie, ostrożnie! — krzyknął jeden ze zbrojnych.

— Szefie, prac? — zapytał drugi.

— Nie dostaniecie mnie tak łatwo! — krzyknął Chick...

— W porządku — odparł seneszał — wobec tego zabierzemy pańskie książki.

Jeden z agentów schwycił książkę, którą miał w zasięgu ręki.

— Sama pisanina, szefie — oznajmił.

— Profanować — powiedział seneszał.

Agent złapał książkę za okładkę i potrząsnął nią mocno. Chick ryknął.

— Nie rusz tego!...

— Panie — rzekł seneszał — czemu nie użyjesz pan swego glinoboja?

Wiesz pan przecież dobrze, że na papierze stoi: Profanacja domostwa.

— Zostaw to! — wrzasnął Chick ponownie i uniósł glinobój, lecz stał opadła bez trza-śnięcia.

— Szefie, prac? — zapytał agent ponownie.

Książka właśnie oderwała się od okładki, a Chick ruszył do przodu, porzucając bezużyteczny glinobój.

— Prac — powiedział seneszał, cofając się.

Ciało Chicka zważyło się u stóp zbrojnych agentów; obaj wystrzelili jednocześnie.

— Spuszczamy mu manto z małej wysokości, szefie? — zapytał jeden z agentów.

Chick jeszcze się trochę ruszał. Uniósł się na rękach i udało mu się uklęknąć. Trzymał się za brzuch, krzywiąc twarz w grymasie, a krople potu zalewały mu oczy. W czole miał wielką ranę ciętą.

— Zostawcie te książki... — wyszeptał. Głos miał chrapliwy i rwący.

— A właśnie że je podepczemy — powiedział seneszał. — Sądzę, że za kilka sekund będzie pan martwy.

Głowa Chicka opadła, próbował ją wyprostować, lecz brzuch bolał go tak, jakby we-wnątrz obracały się jakieś trójkątne ostrza. Udało mu się postawić na ziemi jedną stopę, lecz drugie kolano nie chciało się zgiąć. Zbrojni agenci podeszli do książek, a seneszał zrobił dwa kroki w kierunku Chicka.

— Nie dotykajcie tych książek — powiedział Chick. Słysząc było, jak krew gulgotze mu w gardle, głowa opadała coraz bardziej. Puścił brzuch, ręce miał czerwone, zamachnął się nimi beładnie i upadł twarzą na podłogę. Nie poruszał się już, a rozwarte oczy patrzyły gdzieś poza pokój. Twarz miał przedzieloną na pół strużką krwi, która wypłynęła z jego czoła.

— Deptać, Douglassy! — rozkazał seneszał. — Ja osobiście rozwalę ten przyrząd do robienia hałasu.

Podszedł do okna i ujrzał, jak wielki grzyb dymu wznosił się ku niemu,

wychodząc z parteru sąsiedniego budynku.

— Nie warto deptać zbyt dokładnie — dorzucił — właśnie się pali sąsiednia chałupa. Najważniejsze to działać szybko. Nie pozostaną żadne ślady, ale wszystko przedłożę w raporcie.

Twarz Chicka była całkiem czarna. Pod jego ciałem kałuża krwi krzepła w kształcie gwiazdy.

LX Mikołaj przeszedł koło przedostatniej księgarni podpalonej przez Alizę. Minął się z Colinem podążającym do pracy; znał zmartwienia swojej siostrzenicy. Zadzwońiwszy do swojego klubu, natychmiast dowiedział się o śmierci Partra i wyruszył w pogoń za Alizą. Chciał ją pocieszyć, poprawić jej morale i zatrzymać ją przy sobie, dopóki nie stanie się wesola jak dawniej. Ujrzał dom Chicka, długi wąski płomień wychodził ze środka witryny sąsiedniej księgarni, której szyba pękła jak pod uderzeniem młota. Przed drzwiami dostrzegł samochód seneszała policyjnego i zobaczył, jak szofer wycofuje wóz z niebezpiecznej strefy, dostrzegł również czarne sylwetki zbrojnych agentów. Prawie natychmiast pojawili się Pompierze. Ich wóz zatrzymał się przed księgarnią ze strasznym piskiem. Mikołaj już walczył z zamkiem. Udało mu się kilkoma kopniakami rozwalić drzwi, wpadł do środka. Wewnątrz wszystko płonęło. Ciało księgarza leżało rozciągnięte, nogami w ogniu, serce spoczywało obok niego, a na podłodze dostrzegł wyrywacz serc Chicka. Ogień buchał wielkimi czerwonymi kulami i ostrymi jęzorami, które jednym uderzeniem przebijały grube mury sklepu, więc Mikołaj rzucił się na ziemię, żeby nie zostać trafionym. W tym momencie poczuł nad sobą gwałtowne wirowanie powietrza spowodowane gaśniczym wytryskiem z aparatów Pompierzy. Trzask ognia wzmógł się, a strumień dopadł jego centrum. Książki płonęły trze-szcząc, kartki unosiły się podfruwając i przelatowały ponad

głową Mikołaja, w kierunku przeciwnym do strumienia. Wreszcie mógł oddychać, tyle to dawało zgiełku i płomieni. Miał nadzieję, że Aliza nie pozostała w ogniu, ale nie widział drzwi, którymi mogłaby umknąć. Ogień walczył z Pompierzami, wyglądało, jakby gwałtownie się uniósł, uwalniając dolne partie pogorzelniska, które zdawało się przygasać. Pośród smolistych popiołów świeciło jasne światło, jaśniejsze niż płomienie.

Dym rozwiął się bardzo szybko, wciągnięty ku górnym piętrům. Książki zgasły, lecz sufit płonął silniej niż dotychczas. Na wysokości podłogi pozostał jedynie ów blask.

Uwalany popiołem, z pociemniałymi włosami, z trudem łapiąc oddech, Mikołaj pełził w kierunku światła. Słyszał stukot butów, krzątających się Pompierzy. Pod jedną z poskręca-nych żelaznych belek dostrzegł olśniewającą blond grzywę. Płomienie nie mogły jej pochłonąć, gdyż była o wiele jaśniejsza od nich. Schował ją do wewnętrznej kieszeni i wyszedł.

Szedł niepewnym krokiem. Pompierze przyglądali mu się, gdy odchodził. Ogień czynił spustoszenie na wyższych piętrach, a oni przygotowywali się do odizolowania całej grupy budynków, żeby pozwolić im spłonąć doszczętnie, gdyż skończył się płyn gaśniczy.

Mikołaj szedł dalej chodnikiem. Trzymając prawą rękę na piersi, głaskał włosy Alizy. Usłyszał warkot samochodu seneszala, który właśnie go wyprzedził. W tyle dostrzegł czerwony kombinezon seneszala. Odchyliwszy nieco połę marynarki został zalany potokami słońca. Jedynie jego oczy pozostawały w cieniu.

LXI Colin dostrzegł trzeci filar. Od rana maszerował wokół piwnicy Składnicy Złota. Jego zadanie polegało na podnoszeniu alarmu, gdy ktoś przychodził kraść złoto. Piwnica była olbrzymia. Maszerując szybko, trzeba było całego dnia, żeby ją obejść. Na samym środku znajdowała się komora pancerna, w której złoto dojrzewało powoli w atmosferze trujących gazów.

Ten zawód był bardzo dochodowy, jeśli udało się obejść całość w ciągu jednego dnia. Colin nie czuł się najlepiej, a poza tym w piwnicy było zbyt ciemno. Wbrew sobie odwracał się od czasu do czasu i wypadał z rozkładu, z tyłu widział jedynie malutki świetlny punkcik ostatniej lampy, a z przodu kolejną lampę, powoli rosnącą.

Złodzieje złota nie przychodzili codziennie, lecz mimo wszystko należało skontrolować w przewidzianym momencie, w przeciwnym razie można było doświadczyć obcięcia zarobków. Należało ściśle trzymać się rozkładu, żeby być w gotowości do podnoszenia alarmu na widok przechodzących złodziei. Na ogół byli to ludzie bardzo punktualni.

Colina bolała prawa stopa. Piwnica, zbudowana ze sztucznego kamienia, miała podłogę nierówną i chropowatą. Przekraczając ósmą białą linię, przyspieszył trochę, by dotrzeć do trzeciego filara w zamierzonym czasie. Żeby mu się różniej szło, zaczął wyśpiewywać na całe gardło, lecz zaraz przerwał, gdyż echo odpowiadało słowami urwanymi i groźnymi, śpiewając piosenkę całkiem sprzeczną z jego własną.

Z obolałymi nogami szedł niestrudzenie i minął trzeci filar. Machinalnie odwrócił się, myśląc, że zobaczy coś za sobą. Znów stracił pięć sekund i zrobił kilka szybszych kroków, żeby je nadrobić.

LXII Do jadalni nie dawało się już wejść. Sufit prawie dotykał podłogi, z którą był połączony za pomocą jakichś substancji na poły roślinnych, na poły mineralnych, które rozwijały się w wilgotnym mroku. Drzwi od korytarza już się nie otwierały. Pozostało jedynie wąskie przejście prowadzące do sypialni Chloe. Izis weszła pierwsza, Mikołaj postępował za nią. Miał tępy wyraz twarzy. Coś wypychało wewnętrzną kieszeń jego marynarki i od czasu do czasu unosił rękę do piersi.

Przed wejściem do sypialni Izis rzuciła okiem na łóżko, Chloe nadal była otoczona kwiatami. Jej ręce wyciągnięte na kołdrze z trudem utrzymywały wielką białą orchideę, która na tle przezroczystej skóry wydawała się beżowa. Chloe miała oczy otwarte i ledwie się poru-szyła widząc, jak Izis siada obok niej. Mikołaj spojrzał na Chloe i odwrócił głowę. Bardzo chciał się do niej uśmiechnąć. Podeszedł i pogłaskał ją po rękę. Też usiadł, a Chloe powoli przymknęła oczy, po czym znów je otworzyła. Wyglądała na ucieszoną ich widokiem.

— Spałaś? — cicho zapytała Izis.

Chloe zaprzeczyła oczami. Szczupłymi paluszkami odszukała rękę Izis. Pod drugą dłonią chowała mysz, tak że widać było jedynie, jak błyszczą jej czarne, żywe oczka. Myszka podreptała po łóżku w kierunku Mikołaja. Ten ujął ją delikatnie i pocałował w lśniący pyszczek, a ona powróciła do Chloe. Kwiaty drżały wokół łóżka, nie mogły się długo opierać o Chloe, z godziny na godzinę czuła się coraz słabiej.

— Gdzie jest Colin? — zapytała Izis.

— W pracy... — powiedziała Chloe jednym tchem.

— Nic nie mów — rzekła Izis. — Będę pytała inaczej.

Przybliżyła piękną brązową główkę do głowy Chloe i pocałowała ją ostrożnie...

— Pracuje w swoim banku? — zapytała.

Powieki Chloe opadły.

Nagle usłyszeli kroki przy wejściu. W drzwiach stanął Colin. Niósł nowe kwiaty, lecz stracił pracę. Tamci ludzie przyszli za wcześnie, a on już nie mógł chodzić. Ponieważ starał się, jak umiał, zarobił trochę pieniędzy, akurat na te kwiaty.

Teraz Chloe wyglądała na uspokojoną, prawie się uśmiechała, a Colin usiadł tuż obok. Kochał Chloe teraz o wiele ponad jej siły i ledwie ją muskał, bojąc się uszkodzić do reszty. Biednymi rękami, dodatkowo jeszcze zniszczonymi przez pracę, przyglądał ciemne włosy.

Byli tam Mikołaj, Colin, Izis i Chloe. Mikołaj zaczął płakać, bo Chick i Aliza nigdy nie mieli się już zjawić, a Chloe czuła się tak bardzo źle.

LXII
I Administracja dawała Colinowi mnóstwo pieniędzy, ale było już za późno. Teraz codziennie musiał chodzić do ludzi. Otrzymywał specjalną listę i miał oznajmiać nieszczęścia w ich przeddzień.

Codziennie szedł do dzielnic robotniczych, a nawet do dzielnic bogaczy. Pokonywał wiele schodów. Był bardzo źle przyjmowany. Rzucano mu na głowę ciężkie, kaleczące przedmioty, obrzucano go słowami ostrymi i twardymi, wyrzucano za drzwi. Dostawał za to pieniądze i wynagradzał krzywdy. Wiedział, że zatrzyma tę pracę. To było to, jedyna rzecz jaką potrafił — dać się wyrzucić za drzwi.

Zmęczenie go obezwładniało, usztywniało kolana, orało twarz. Oczy widziały jedynie brzydotę ludzką. Bez przerwy oznajmiał nadchodzące nieszczęścia. Bez przerwy go wygania-no kopniakami, wrzaskami, łzami, klątwami.

Wszedł po dwóch stopniach, przemierzył korytarz i zastukał, natychmiast cofając się o krok. Ludzie, widząc jego czarny kask, pojmowali od razu,

maltretowali go, lecz Colinowi nie wolno było nic powiedzieć, za to mu płacono. Drzwi otworzyły się. Ostrzegł i odszedł. Ciężki kawałek drewna trafił go w plecy.

Poszukał na liście następnego nazwiska i ujrzał, że było to jego własne. Wtedy rzucił kask i ruszył ulicą. Serce miał ołowiane, bo wiedział już, że nazajutrz Chloe umrze.

LXI V

Zakonnik rozmawiał ze Sfajcarem, a Colin czekał, aż skończą, po czym zbliżył się. Nie widział już gruntu pod stopami i za każdym razem się potykał. Przed oczami miał Chloe spoczywającą na ich małżeńskim łożu, zmatowiałą, z mrocznymi włosami, jej prosty nos, lekko wypukłe czoło, twarz o zaokrąglonym i delikatnym owalu, zamknięte powieki, które ją odepchnęły od świata.

— Chodzi panu o pogrzeb? — zapytał Zakonnik.

— Chloe umarła — powiedział Colin.

Usłyszał, jak Colin rzekł: „Chloe umarła”, i nie mógł w to uwierzyć.

— Wiem — rzekł Zakonnik. — Ile pieniędzy chce pan na to wyłożyć? Życzy pan sobie niewątpliwie jakiejś pięknej ceremonii?

— Tak — odparł Colin.

— Mogę urządzić panu coś bardzo dobrego za dwa tysiące dublezonów — powiedział Zakonnik. — Mam również droższe...

— Mam tylko dwadzieścia dublezonów — rzekł Colin. — Mógłbym mieć może trzydzieści, czterdzieści więcej, ale nie od razu.

Zakonnik nabrał powietrza w płuca i prychnął z obrzydzeniem.

— Więc chce pan po prostu ceremonii dla biedaków.

— Jestem biedny. A Chloe umarła...

— Tak — rzekł Zakonnik. — Ale zawsze należy tak sobie zorganizować

umieranie, żeby było za co dać się przyzwoicie pogrzebać. Więc nie ma pan nawet pięciuset dublezonów?

— Nie — odparł Colin. — Może udałoby mi się dojść do stu, gdyby zgodził się pan przyjąć w ratach. Czy pan zdaje sobie sprawę, co to znaczy powiedzieć sobie: „Chloe umarła”?

— Wie pan — rzekł Zakonnik — ja się już przyzwyczailem, więc na mnie to nie robi wrażenia. Powinienem panu polecić, by zwrócił się pan do Boga, lecz obawiam się, czy przy tak nędznej sumie zwracanie Mu głowy nie byłoby przeciwwskazane...

— Och! — zawołał Colin. — Nie będę Mu przeszkadzał, nie sędzę, żeby wiele mógł, sam pan widzi, skoro Chloe umarła...

— Zmieńmy temat — powiedział Zakonnik. — Niech pan pomyśli... o... bo ja wiem, o czymkolwiek... na przykład...

— Czy za sto dublezonów będę miał przyzwoitą ceremonię? — zapytał Colin.

— Nie chcę nawet brać pod uwagę takiego rozwiązania — powiedział Zakonnik. — Dojdzie pan przecież do stu pięćdziesięciu.

— Będę potrzebował czasu, żeby panu zapłacić.

— Ma pan rację... podpisze mi pan papierek...

— Jak pan uważa.

— W tych warunkach dojdzie pan być może do dwustu i będzie pan miał Kościelniaka i Sfajcara po swojej stronie, podczas gdy za sto pięćdziesiąt będą oni w drużynie przeciwnej.

— Nie sędzę — odparł Colin. — Przypuszczam, że niezbyt długo będę miał tę pracę.

— Więc, powiedzmy sto pięćdziesiąt — zgodził się Zakonnik. — Jest to pożałowania godne, ceremonia będzie naprawdę ohydna. Napawa mnie pan wstrętem, to już przesadne sknerstwo...

— Bardzo przepraszam — powiedział Colin.

— Chodź pan podpisać te papiery — rzekł Zakonnik i popchnął go brutalnie.

Colin zawadził o krzesło. Zakonnik, zezłoszczony tym hałasem, popchnął go ponownie w kierunku zakrystii i ruszył za nim mruczając pod nosem.

LX
V

Dwaj tragarze dotarli do Colina, który czekał na nich przy wejściu do mieszkania. Cali byli pokryci jakimiś świństwami, gdyż schody rozkładały się coraz bardziej. Lecz mieli na sobie najstarsze ciuchy, które składały się z samych dziur. Przez ubytki w uniformach widać było rude kłaki na ich obrzydliwych, krzywych nogach. Witając Colina walnęli go w brzuch, tak jak to jest przyjęte na pogrzebach biedaków. Wejście przypominało teraz korytarz piwniczny. Pochylili głowy, żeby dojść do pokoju. Stolarze od trumny już poszli. Teraz nie było widać Chloe, lecz tylko starą czarną skrzynię, oznaczoną numerem porządkowym, całkiem zdeformowaną. Schwycili ją i używając jako taranu wyrzucili przez okno. Umarłych znoszono na ramionach począwszy od pięciuset duplezonów.

To dlatego — pomyślał Colin — skrzynia ma tyle gór i dołów — i zapłakał, bo Chloe na pewno została posiniaczona i zraniona.

Pomyślał, że ona i tak nic już nie czuje i zapłakał jeszcze mocniej. Skrzynia huknęła o bruk i złamała nogę dziecku, które bawiło się tuż obok. Zepchnięto je na chodnik, a trumnę wsadzono na samochód dla zmarłych. Była to stara ciężarówka pomalowana na czerwono, prowadził jeden z tragarzy.

Bardzo mało ludzi szło za ciężarówką — Mikołaj, Isis i Colin oraz dwoje czy troje, których nie znali. Samochód jechał dość szybko, musieli za nim biec, żeby nadążyć. Kierowca śpiewał na całe gardło. Milczał dopiero od dwustu pięćdziesięciu duplezonów.

Zatrzymali się przed kościołem, czarna skrzynia została na samochodzie,

podczas gdy oni weszli wziąć udział w ceremonii. Zakonnik z nadąsaną miną odwrócił się do nich plecami i zaczął kręcić się bez przekonania. Colin stanął przed ołtarzem.

Podniósł oczy: przed nim, przybity do ściany, wisiał Jezus na swoim krzyżu. Wyglądał, jakby się nudził, i Colin go zapytał:

— Dlaczego Chloe umarła?

— Ja nie biorę za to najmniejszej odpowiedzialności — odparł Jezus. — Może pogada-my o czymś innym...

— A czyja to sprawa? — zapytał Colin.

Rozmawiali bardzo cicho i nikt ich nie słyszał.

— W każdym razie nie nasza — rzekł Jezus.

— Zaprosiłem cię na mój ślub — przypomniał Colin.

— Był udany — rzekł Jezus — dobrze się ubawiłem. Dlaczego tym razem nie dałeś więcej pieniędzy?

— Nie mam ich już — powiedział Colin — a poza tym teraz nie jest to mój ślub.

— Tak — rzekł Jezus.

Wyglądał na zażenowanego.

— To zupełnie co innego — powiedział Colin. — Teraz Chloe umarła... Nie podoba mi się pomysł z tą czarną skrzynią.

— Mmmmmm — mruknął Jezus.

Patrzył gdzieś w bok i wyglądał na znudzonego. Zakonnik wywijał grzechotką i wywrzaskiwał łacińskie wersety.

— Dlaczego sprawiłeś, że umarła? — zapytał Colin.

— Och! — zawołał Jezus. — Daj już spokój.

Szukał wygodniejszej pozycji na swoich gwoździach.

— Była taka delikatna — powiedział Colin. — Nigdy nie wyrządziła zła, ani myślą, ani uczynkiem.

— To nie ma żadnego związku z religią — wymamrotał Jezus ziewając.

Potrząsnął lekko głową, żeby zmienić nachylenie swojej korony cierniowej.

— Naprawdę nie wiem, co takiego uczyniliśmy — rzekł Colin. — Nie zasłużyliśmy na to.

Spuścił oczy. Jezus nic nie odpowiedział. Colin podniósł głowę. Pierś Jezusa unosiła się delikatnie i miarowo. Jego rysy wyrażały całkowity spokój. Oczy miał zamknięte i Colin słyszał, jak z jego nozdrzy wydobywa się cichy pomruk zadowolenia. W tym momencie Zakonnik przeskoczywszy z nogi na nogę zadął w tubę i ceremonia się skończyła.

Zakonnik pierwszy opuścił kościół i wrócił na plebanię założyć podkute buciory.

Colin, Izis i Mikołaj wyszli i czekali za ciężarówką.

Wówczas pojawili się Sfajcar i Kościelniak odziani w bogate stroje w jaskrawych kolorach. Zaczęli wygwizdywać Golina i tańczyli wokół ciężarówki jak dzicy. Colin zatkał sobie uszy, lecz nie mógł na to nic poradzić, podpisał umowę na pogrzeb dla biedaków i nawet nie drgnął, gdy trafiła go garść kamieni.

LXV
I

Bardzo długo szli ulicami. Ludzie się nie odwracali, a słońce zachodziło. Cmentarz biedaków był bardzo daleko. Czerwona ciężarówka toczyła się i podskakiwała na nierównościach jezdni, podczas gdy silnik wesoło popyrkiwał.

Colin już nic nie słyszał, myślami wrócił do przeszłości i uśmiechał się od czasu do czasu, przypominając sobie wszystko. Mikołaj i Izis szli tuż za nim. Czasem Izis dotykała ramienia Colina.

Droga doszła do końca i ciężarówka też, stanęli nad wodą. Tragarze zdjęli

czarną skrzynię. Colin po raz pierwszy przyszedł na cmentarz, mieścił się on na wyspie o niewyraźnych kształtach, której kontury często ulegały zmianom wraz ze zmieniającym się ciężarem wody. Ledwie można było ją dostrzec poprzez opary. Ciężarówka pozostała na brzegu, na wyspę wchodziło się po długiej desce, szarej i sprężystej, której odległy koniec ginał gdzieś we mgle. Tragarze głośno zaklęli i pierwszy ruszył po desce; była na tyle szeroka, że można było po niej przejść. Czarną skrzynię nieśli na pasach z nie wyprawionej skóry, opierających się na ich ramionach i oplatających szyję tak, że drugi tragarz zaczął się dusić. Zrobił się całkiem fioletowy i na szarym tle mgły wyglądało to niezwykle smutno. Colin szedł tuż za nimi, także Mikołaj i Izis ruszyli kolejno po desce — pierwszy tragarz specjalnie mocno stąpał, żeby ją rozbujać w prawo i w lewo. Zniknął pośród oparów, które strzępiły się niczym cukrowe pasemka w słodzonej wodzie. Ich kroki rozbrzmiewały na drewnie jak opadająca gama. Deska powoli wykręciła się, zaś oni zbliżali się do centrum. Kiedy tam dotarli, kładka dotykała wo-dy, a symetryczne falki chlupotały po obu stronach. Woda, która prawie ją pokrywała, była mroczna i przezroczysta. Colin pochylił się na prawą stronę, popatrzył w głąb i wydawało mu się, że widzi jakąś białą rzecz poruszającą się niewyraźnie w głębinie. Mikołaj i Izis zatrzymali się za nim, wyglądało to, jakby stali na powierzchni wody. Tragarze szli dalej. Druga połowa drogi wznosiła się i kiedy przekroczyli jej środek, falki złagodniały, a deska oderwała się od wody z ssącym odgłosem.

Tragarze zaczęli biec. Tupotali, a rączki czarnej skrzyni klekotały o ścianki. Znaleźli się na wyspie, zanim Colin i jego przyjaciele dotarli do wąskiej ścieżki, którą z obydwu stron okalał żywopłot z jakichś ponurych roślin. Ziemia była porowata i sypka, a ścieżka kreśliła dziwne meandry o smutnych kształtach. Stała się nieco szersza. Liście roślin poszarzały i tylko żyłki odcinały się złościście od ich aksamitnej skórki. Długie i giętkie drzewa opadały łukami z jednego brzegu ścieżki na drugi. Poprzez utworzone w ten sposób sklepienie światło słoneczne dawało białą poświatę bez blasku. Droga rozdzieliła się na

kilka odgałęzień, lecz tragarze bez wahania ruszyli w prawo. Colin, Izis i Mikołaj pędzili, żeby ich dogonić. Pośród drzew nie było słyhać żadnych zwierząt. Tylko niekiedy odrywały się szare liście, by ciężko opaść na ziemię. Przemierzali kolejne rozwidlenia drogi. Tragarze po drodze kopali drzewa, a ich ciężkie buciory robiły w gąbczastej korze głębokie niebieskawe rany. Cmentarz znajdował się dokładnie na środku wyspy, wdrapawszy się na głązy, w oddali, ponad szczytami cherlawych drzew, można było dostrzec na drugim brzegu rzeki niebo, przetykane czernią i pocięte śladami ciężkiego lotu ślepowronów ponad polami gwiazdnicy i fenkułu.

Tragarze zatrzymali się nad krawędzią wielkiego dołu. Rozhuścili trumnę Chloe śpiewając *Pije Kuba* i nacisnęli zapadkę. Uniosło się wieko i coś wpadło do dziury z głośnym traskiem. Drugi tragarz zwałił się na wpół uduszony, gdyż pas nie odczepił się dostatecznie szybko od jego szyi. Colin i Mikołaj dotarli biegiem, a Izis kuśtykała z tyłu. Wtedy Kościelniak i Sfajcar w starych ogrodnickach umazanych smarem wyskoczyli nagle zza kurhanu i zaczęli wyc jak wilki, rzucając ziemię i kamienie do dołu.

Colin osunął się na kolana. Głowę ukrył w dłoniach, kamienie padając wydawały głuchy odgłos, a Sfajcar, Kościelniak i dwaj tragarze podali sobie ręce, tańczyli wokół dziury, po czym rzucili się nagle na dróżkę i zniknęli przy dźwiękach farandoli. Kościelniak dał w wielki kromon i chrapliwe dźwięki wibrowały w martwym powietrzu. Ziemia osuwała się powoli i po dwóch czy trzech minutach ciało Chloe znikło zupełnie.

LXVI
I Szara czarnowąsa mysz uczyniła ostatni wysiłek i udało jej się przejść. Tuż za nią jednym skokiem sufit połączył się z podłogą, wystrzeliły długie wyrostki bezwładnej materii i wypęły powoli przez szczeliny w spojeniu. Mysz przebiegła w pośpiechu

przez mroczny korytarz wyjściowy, którego ściany zbliżały się do siebie chwiejnie, i udało jej się wysmyknąć pod drzwiami. Dopadła do schodów i zbiegła. Przystanęła dopiero na chodniku. Przez moment wahała się, zorientowała się i ruszyła drogą w kierunku cmentarza.

LXVII I

—Doprawdy — rzekł kot. — Niezbyt mnie to interesuje.

— Źle czynisz — powiedziała mysz. — Jeszcze jestem młoda i aż do ostatniej chwili byłam bardzo dobrze

karmiona.

— Ale ja też jestem bardzo dobrze karmiony — odparł kot — i nie mam najmniejszej ochoty na samobójstwo, więc chyba sama rozumiesz, dlaczego uważam to za normalne.

— To dlatego, że go nie widziałeś — powiedziała mysz.

— A co on robi? — zapytał kot.

Nie miał wcale zbyt wielkiej ochoty, żeby to wiedzieć. Było gorąco i cała jego sierść stała się bardzo elastyczna.

— Siedzi na brzegu — powiedziała mysz — czeka, a kiedy nadchodzi właściwa pora, wbiega na deskę i zatrzymuje się na środku. Coś tam widzi.

— Wiele to tam nie zobaczy — stwierdził kot. — Najwyżej jakiegoś nenufara.

— Właśnie — powiedziała mysz — on czeka, aż się tamten wynurzy, żeby go zabić.

— Bzdury — rzekł kot. — Nie widzę w tym nic ciekawego.

— Kiedy godzina mija — ciągnęła mysz — on wraca na brzeg i patrzy na zdjęcie.

— Nigdy nie jada? — zapytał kot.

— Nie — odparła mysz — robi się coraz słabszy, a ja nie mogę tego

znieść. Pewnego dnia zrobi fałszywy krok, idąc po tej wielkiej desce.

— Co to ciebie może obchodzić? — zapytał kot. — A więc on jest nieszczęśliwy?...

— Nie jest nieszczęśliwy — powiedziała mysz. — On ma do siebie żal. Właśnie tego nie mogę znieść. A poza tym na pewno wpadnie do wody, za bardzo się wychyla.

— A więc — rzekł kot — w takim razie oddam ci tę przysługę, ale sam nie wiem, dlaczego mówię „w takim razie”, skoro nic a nic nie rozumiem.

— Jesteś bardzo dobry — stwierdziła mysz.

— Wsadź głowę do mojego pyska — powiedział kot — i czekaj.

— Długo to będzie trwało? — zapytała mysz.

— Aż mi ktoś nadepnie na ogon — odrzekł kot. — Potrzebuję silnego bodźca. Nie obawiaj się, wystawię ogon odpowiednio.

Mysz rozwarła kocie szczęki i wsadziła łebek między ostre zęby. Prawie natychmiast wyciągnęła go z powrotem.

— Ej, ty — zawołała — jadłeś dziś rano rekina?

— Słuchaj — powiedział kot — jeśli ci się nie podoba, możesz się wynosić. Takie imprezy mnie wkurzają. Radź sobie sama.

Wyglądał na wściekłego.

— Nie złość się — prosiła mysz.

Zamknęła czarne oczka i znów umieściła głowę we właściwej pozycji. Kot ostrożnie ułożył ostre kły na delikatnej mysiej szyi. Jej czarne wąsy mieszały się z jego własnymi. Rozwinął puszysty ogon i położył go na chodniku.

Ze śpiewem na ustach nadchodziło jednaście ślepych dziewczynek z sierocińca im. Juliusza Apostolskiego.

Memphis, 8 marca 1946

Davenport, 10 marca 1946

